Prześwietlamy teczkę ambasadora Przyłębskiego

Jak **Soros** finansuje inwazję imigrantów

Dieta, która **chroni przed rakiem**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 11/213 13–19 MARCA 2017

Ujawniamy kulisy ostrej walki o posadę Donalda Tuska

ICH CZŁOWIEK W BRUKSELI

eprasa.pl 9637e63beb

Mecenas filmu **PGE Polska Grupa Energetyczna**
z dumą zaprasza do kin.

Więcej informacji o sponsoringu kultury
na **www.gkpge.pl/sponsoring-kultury**
oraz na profilach GK PGE na Youtubie i Facebooku

PGE - Zapewniamy energię artystom

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 9637e63beb

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zerwana zasłona poprawności

Przywódcy Unii Europejskiej potrzebowali do wyboru Donalda Tuska na drugą kadencję szefa Rady Europejskiej zaledwie 20 minut – triumfalnie obwieściły liberalne media. Miało to pokazać nie tylko to, że polski protest był nieskuteczny, lecz także to, że nikt go poważnie nie potraktował, a polscy dyplomaci okazali się grupą nieudolnych partaczy. Jednak szybkość wyboru wcale nie musi oznaczać, że inne scenariusze nie były możliwe.

To, że Tusk ma największe szanse na zwycięstwo, było z góry wiadome. Żadne ważne europejskie państwo nie chciało podejmować dyskusji na temat nowej obsady stanowiska szefa RE. Jedni uważali, że Tusk się sprawdził, inni z kolei sądzili, że Unia stoi obecnie przed dużo poważniejszymi problemami – polityka imigracyjna, Brexit – niż kwestia tego, kto będzie sekretarzem organizującym pracę narodowych rządów – a do tego ostatecznie sprowadza się szumna nazwa przewodniczącego Rady Europejskiej. Opowieści niektórych posłów PO i sprzyjających opozycji komentatorów, według których Tusk jest postacią na miarę Jana Pawła II, najważniejszym i najbardziej wpływowym bohaterem dziejów świata, można włożyć między bajki. Jego pozycja była, owszem, niezagrożona, ale nie ze względu na nadzwyczajne zasługi – po prostu kwestię tę uważano za zbyt mało istotną.

Nie jest też prawdą, że przegrana walka o stanowisko szefa Rady Europejskiej oznaczała, iż polski rząd poniósł klęskę. Zgłaszając kandydaturę Jacka Saryusz-Wolskiego, mógł pokazać, że nie występuje przeciwko Polakowi ani nie kieruje się egoizmem partyjnym. Mógł zyskać przychylność tych kręgów i środowisk z różnych państw unijnych, które od początku kwestionują dziwaczny i niedemokratyczny tryb wyboru szefa Rady. Ostry sprzeciw wobec złamania przez Tuska zasady neutralności utrudni też temu ostatniemu w przyszłości krytykę władz w Warszawie – za każdym razem, kiedy będzie próbował to robić, pojawi się przecież zarzut, że to forma zemsty. To wszystko są wymierne korzyści polityczne.

Dobrzy gracze muszą jednak wiedzieć, kiedy skończyć. I tego właśnie zrozumienia, sądzę, polskim dyplomatom zabrakło. Jaki sens miało podtrzymywanie do ostatnich chwil iluzji, zgodnie z którymi rząd zablokuje wybór Tuska? Dlaczego wiedząc, że państwa UE są zdeterminowane, żeby wybrać Tuska, polska premier zdecydowała się na list protestacyjny do przywódców innych państw? Czy nie wygląda on teraz jak krzyk rozpaczy? Polscy dyplomaci ostatniego dnia w Brukseli zachowywali się tak, jakby szli na czołowe zderzenie ze ścianą albo jakby do końca zaklinali rzeczywistość.

Co do jednego nie można mieć wątpliwości – przebieg wyboru szefa Rady Europejskiej pokazał, jak dalekie od rzeczywistości są deklaracje unijnych przywódców. Sytuację, w której większość wybiera przewodniczącego wbrew wyraźnemu sprzeciwowi państwa, z którego pochodzi kandydat, można uznać nie tylko za złamanie reguł współpracy europejskiej, lecz także za jaskrawe pogwałcenie suwerenności narodowej. Przecież głównym zadaniem szefa Rady ma być prowadzenie dialogu i szukanie kompromisów między różnymi członkami Unii. Czy do tej funkcji nadaje się polityk tak wyraźnie skonfliktowany z rządem własnego państwa? Jeszcze gorsze skojarzenia musi budzić dialog premier Szydło i prezydenta Francji, François Hollande'a, który odpowiadając na słowa o tym, że Polska ma swoje zasady, stwierdził, że „my mamy fundusze strukturalne". Jeśli to prawda, wówczas byłby to skandaliczny przykład szantażu i brutalnego nacisku, godny raczej postsowieckiego aparatczyka, a nie polityka demokratycznego. Być może zerwanie owej pozornej zasłony politycznej poprawności jest jednym z najważniejszych owoców szczytu. Pytanie tylko, czy cenę za taką wiedzę warto było zapłacić. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 9637e63beb

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
JESZCZE WIĘCEJ TEGO SAMEGO
Donald Tusk a kryzys Unii Europejskiej

19 MARCIN MAKOWSKI
OPERACJA „SARYUSZ-WOLSKI"

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SĘDZIOWIE W OKOPACH
Wymiar sprawiedliwości kontra władza

25 ŁUKASZ WARZECHA
PRZEDSIĘBIORCY W SIECI SKARBÓWKI

28 KAMILA BARANOWSKA
CIEŃ PORTUGALII

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PRZESZŁOŚĆ AMBASADORA

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TWEET ZA TWEET

34 ROZMOWA Z JANEM WRÓBLEM
NIE CZUJĘ PĘTLI NA SZYI DEMOKRACJI

36 GRZEGORZ DRYMER Z LONDYNU
POLONIJNE ŚWIĘTO

38 MAGDALENA OGÓREK
NIECHCIANA SZTUKA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
ZEMSTA JEGO PRZEZNACZENIEM
Serial „Tabu" – triumf Toma Hardy'ego

46 ROZMOWA Z ARAELEM ZURLIM
MORALNOŚĆ PANI ZAPOLSKIEJ

48 KRZYSZTOF MASŁOŃ
CONRAD W STARCIU Z LEŚMIANEM

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PROROCKI CHAOS
Cztery lata pontyfikatu Franciszka

60 ROZMOWA Z PIOTREM APELEM
NIE JESTEŚMY CICHYM KOALICJANTEM PIS

HISTORIA

64 JACEK KOMUDA
O WŁOS OD POLSKIEJ SZABLI
Szwedzcy królowie bez przerwy narażali życie podczas wojen. Kilkakrotnie omal nie zginęli z rąk naszych żołnierzy

68 MARIA RUTOWSKA, STANISŁAW ŻERKO
AKCJA „ISKRA-DOG"

70 WITOLD ORZECHOWSKI
ZAPOMNIANY BOHATER

ŚWIAT

72 TERESA STYLIŃSKA
DOBROCZYNNOŚĆ Z PODTEKSTEM
Szokujące kulisy kryzysu imigracyjnego

74 JACEK PRZYBYLSKI
OBAMA INWIGILATOR?

78 OLIVIER BAULT
STRASZNA POLSKA WE FRANCJI

80 WITOLD REPETOWICZ
SZARIAT NA DZIEŃ KOBIET

EKONOMIA

82 ROZMOWA Z MICHAŁEM KRUPIŃSKIM
I POLSKIE, I GLOBALNE
Fundusz Witelo – kapitał wspierający talenty

SPORT

86 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZŁOTA ZMIANA
Po 60 latach znów mamy polski lekkoatletyczny Wunderteam

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ
POMIDOR ZAMIAST RAKA
Zdrowie na talerzu

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (67), GABRYEL, RYBIŃSKI (85), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 9637e63beb

Drodzy Czytelnicy,

W tym wydaniu komentarze do tekstów z ostatniego numeru naszego tygodnika oraz kolejny głos w sprawie „Klątwy". Zapraszamy na naszą stronę www.dorzeczy.pl, gdzie informujemy o najważniejszych wydarzeniach dnia oraz o obecności naszych publicystów w innych mediach.

Zmieniony ton w smoleńskiej opowieści

Dziwnie mówi o katastrofie smoleńskiej Antoni Macierewicz w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy" (10/2017). Okazuje się, że już nie zamach, lecz katastrofa. I przedstawimy nie bombę, lecz „przyczyny techniczne tragedii". Pojawia się jeszcze „sprawstwo Rosjan", ale widać, że minister wycofuje się z opowieści o cynicznym politycznym mordzie. Niby Macierewicz podtrzymuje jeszcze opowieść, że Smoleńsk to jeden z etapów rosyjskiej agresji, ale coraz ciszej i słabiej brzmią oskarżenia o działanie bezpośrednie. Jak tak dalej pójdzie, to pozostaną zarzuty dotyczące złego stanu lotniska i kiepskiego naprowadzenia samolotu.

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

„Terroryści FETO w Polsce?"

Dziękuję za niesamowitą opowieść o tureckiej diasporze w Polsce, którą przynosi artykuł Witolda Repetowicza („Do Rzeczy" 10/2017). Okazuje się, że nasz kraj jest areną sekretnych działań, gdzie spór wiodą różne zwalczające się odłamy emigracji. W tle należąca – jak czytam – do tureckiego biznesmena Akademia Finansów i Biznesu Vistula (czy nie tam rektorował Wasz felietonista Krzysztof Rybiński?). Artykuł uzmysławia, jak wielkie niebezpieczeństwo przyniosłaby niekontrolowana fala imigrantów, którzy swoje spory rozstrzygaliby także na terytorium naszego państwa.

Z poważaniem
Eryk Łukasz

O „Klątwie" raz jeszcze

Poruszony wystawioną w Teatrze Powszechnym w Warszawie sztuką, która ma prawdopodobnie zachęcić twórców do walki z Kościołem, sięgnąłem do pracy wybitnego historyka brytyjskiego Iana Kershawa, który w latach 70. ubiegłego wieku badał postawę społeczeństwa Bawarii wobec nazizmu.

Dotarł do licznych raportów policyjnych, w których były informacje o „atakach nazistów na kościoły chrześcijańskie" w katolickiej Bawarii w latach 30. XX w. Wzmianka o tych wydarzeniach została umieszczona w jego wydanej w Polsce książce „Hitler, Niemcy i ostateczne rozwiązanie", Poznań 2010, s. 11. Dom Wydawniczy Rebis.

Uczestnicy i propagatorzy warszawskiego spektaklu uważają się za wolnomyślicieli, Europejczyków i postępowców walczących z kołtuństwem i zabobonem. W istocie są nieznoszącymi krytyki faszystami. [...]

PS Byłoby dobrze, gdyby Ministerstwo Kultury ogłosiło program badawczy „Stosunek nazistów niemieckich do Kościoła". Napiszmy Niemcom rzetelną historię.

Janusz Woźnica

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Tomasz Gzell/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 9637e63beb

Od „Głębokiego Gardła” do Snowdena

Jacek Przybylski

Tysiące tajnych dokumentów z centrum wywiadu cybernetycznego USA opublikował w zeszłym tygodniu portal WikiLeaks, wprawiając w przerażenie agentów służb. Jakie przecieki wcześniej wstrząsały Ameryką?

Z najnowszych doniesień WikiLeaks wynika, że CIA stworzyła narzędzia pozwalające w czasie rzeczywistym podsłuchiwać miliony użytkowników na całym świecie za pomocą smartfonów, laptopów, a także inteligentnych telewizorów (specjalne hakerskie oprogramowanie pozwala ponoć na uruchomienie wbudowanego w telewizor mikrofonu i rejestrowanie dźwięków bez wiedzy użytkownika). To kolejna z serii dokumentów publikowanych przez ten portal.

MANNING I LADY GAGA

W 2010 r. były analityk wojskowego wywiadu, starszy szeregowy Bradley Manning, przekazał portalowi WikiLeaks ćwierć miliona poufnych i tajnych dokumentów armii oraz wywiadu, które odsłaniały kulisy wojen w Iraku i w Afganistanie, a także tysiące depesz dyplomatycznych Departamentu Stanu. Starszy szeregowy oszukał kontrwywiad, zapisując tajne dane z bazy wojskowej na płytach Lady Gagi. Wpadł, ponieważ ujawnił, co zrobił, Adrianowi Lamo – jednemu z najbardziej znanych hakerów na świecie – a ten poinformował o wszystkim amerykańskie władze. Chociaż prokuratura żądała co najmniej pół wieku więzienia, to w sierpniu 2013 r. sąd skazał żołnierza na 35 lat pozbawienia wolności. Manning ogłosił wówczas, że jest transseksualistą. Rok później sądownie zmienił zaś imię na Chelsea. W styczniu 2017 r., w ostatnim tygodniu prezydentury, Barack Obama złagodził wyrok do siedmiu lat więzienia. Już w maju Manning będzie znów na wolności.

AFERA SNOWDENA

Jeden z największych wycieków danych w historii, który kompletnie skompromitował amerykański wywiad, również nastąpił za rządów prezydenta Baracka Obamy. W 2013 r. 29-letni wówczas Edward Snowden, były pracownik CIA i analityk realizujący zlecenia dla najtajniejszej amerykańskiej agencji wywiadowczej, ujawnił mediom kilkaset tysięcy poufnych, tajnych i ściśle tajnych dokumentów, ukazujących, jak władze w Waszyngtonie masowo podsłuchują i śledzą nie tylko cudzoziemców, lecz także własnych obywateli. Dotyczyły one m.in. programu PRISM, który pozwala służbom specjalnym masowo podsłuchiwać rozmowy prowadzone za pośrednictwem Internetu, a także przeglądanie poczty elektronicznej, czatów czy wiadomości zamieszczanych w najpopularniejszych serwisach społecznościowych. W 2013 r. Snowden – poszukiwany przez USA pod zarzutem szpiegostwa i ujawnienia tajemnic państwowych – otrzymał azyl w Rosji, a po roku władze w Moskwie przyznały mu prawo stałego pobytu.

PANAMA PAPERS

W 2016 r. do mediów wyciekło aż 2,6 TB danych (w tym 4,8 mln e-maili). W plikach zapisanych było ponad 11 mln dokumentów świadczących o tym, że kancelaria prawnicza z Panamy – Mossack Fonseca – miała pomagać znanym politykom, sportowcom, celebrytom, mafiosom i tysiącom mniej znanych ludzi w praniu brudnych pieniędzy i ukrywaniu ogromnych majątków. Na liście osób, które korzystały z usług spółek w rajach podatkowych, znalazły się takie postacie jak prezydent Rosji Władimir Putin, obecny przywódca Syrii Baszar al-Asad, a także były premier Ukrainy Petro Poroszenko, były libijski dyktator Muammar Kaddafi czy też były prezydent Egiptu Hosni Mubarak. A także kilkadziesiąt innych głów państw, szefów rządów etc. Ujawnione dokumenty dotyczyły okresu od 1977 r. aż do grudnia 2015 r.

WATERGATE

Ponad 40 lat temu, zanim ktokolwiek słyszał o terabajtach danych, wybuchła afera, która zmieniła bieg amerykańskiej historii. Autor jednego z najsłynniejszych przecieków – o pseudonimie Głębokie Gardło – przekazywał dziennikarzom „The Washington Post” tajne dane ze śledztwa dotyczącego nielegalnego inwigilowania przeciwników politycznych przez ludzi z najbliższego otoczenia prezydenta Richarda Nixona. Doprowadził tym samym do wybuchu gigantycznej afery, która zakończyła się w 1974 r. dymisją skompromitowanego gospodarza Białego Domu.

Nazwa afery nawiązywała do ogromnego kompleksu biurowo-hotelowego Watergate, w którym mieścił się sztab wyborczy Partii Demokratycznej w Waszyngtonie. To właśnie tam na gorącym uczynku w 1972 r. przyłapano na próbie podłożenia podsłuchów m.in. członka Komitetu Reelekcji Prezydenta Nixona. Śledztwa w tej sprawie nie udało się zatuszować właśnie dzięki informacjom „Głębokiego Gardła”.

O przeciek podejrzewano różnych polityków i szefów służb. Sami dziennikarze przez dziesięciolecia konsekwentnie chronili jednak dane informatora. Dopiero w 2005 r. były wiceszef FBI Mark Felt przyznał, że to on był źródłem informacji w słynnej aferze. Jego pseudonim został zaczerpnięty z filmu pornograficznego, który w latach 70. cieszył się w USA dużą popularnością. Wiceszef FBI spotykał się z dziennikarzami na podziemnym parkingu pod Waszyngtonem. O zamiarze spotkania informował reporterów, przesuwając doniczkę na balkonie w swoim apartamencie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

JUŻ ZA TYDZIEŃ Z TYGODNIKIEM

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PREMIERA DVD

Fabularna wersja życia Snowdena pokazana oczami Olivera Stone'a staje się chwilami ekscytującym thrillerem politycznym [...].

Film opowiedziany jest z werwą i energią, a kolejne sceny niesie wyśmienity w swojej roli Joseph-Gordon Levitt, który jest tak dobry, że gdy rozmawiał telefonicznie z rodziną prawdziwego Snowdena, ci myśleli, że rozmawiają ze swoim synem!

film.com.pl

SZUKAJ W DOBRYCH KIOSKACH I SALONACH PRASOWYCH

eprasa.pl 9637e63beb

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Algorytm Petru

Dzisiaj, rozmawiając o wyborach samorządowych, proponuję prawybory, które byłyby realizowane we wszystkich dużych miastach, ale nie na bazie naszych członków, nie na bazie sondaży […]. Natomiast na bazie wszystkich mieszkańców danego miasta" – z tą propozycją Ryszard Petru wystąpił 7 marca w trakcie wizyty w programie „#dziendobryWP".

Według lidera Nowoczesnej sprawa jest banalnie prosta.

„Wszyscy, którzy są uprawnieni do głosowania w Warszawie, we Wrocławiu, w Szczecinie, mogliby oddać głos na jednego z naszych kandydatów – PO i Nowoczesnej. Na całym świecie tak się organizuje. Robimy to internetowo i kilka lokali wyborczych" – proponuje Petru.

Od pewnego czasu zastanawiałem się, jak Nowoczesna poradzi sobie z propozycją Grzegorza Schetyny, by wobec „dyktatury PiS" wystawić w całej Polsce jedną, zjednoczoną listę całej opozycji w wyborach do samorządu w 2018 r.

Schetyna uzasadnia swój pomysł, wskazując przede wszystkim na potrzebę ratowania samorządów przed „zamordyzmem PiS". Jednak Petru dobrze wie to, o czym lider PO woli nie mówić zbyt głośno: że Platforma ma o wiele lepiej rozbudowane struktury i znacznie więcej już działających samorządowców. Wielki i silny zawsze zyskuje na retoryce jedności. A z Nowoczesną jest dokładnie na odwrót.

Propozycja Petru brzmi demokratycznie, ale w przypadku wcielenia w życie może w sprytny sposób zniwelować przewagę PO. Jeśli, według propozycji lidera Nowoczesnej, w prawyborach mogliby uczestniczyć wszyscy chętni – to największe szanse zdobycia głosów „zwykłych wyborców" i potem na obsadzenie najlepszych miejsc mieliby ci, którzy przeprowadzą najefektowniejszą kampanię. A Petru wierzy, że to on ma lepszych PR-owców i niezgrane jeszcze twarze.

Przypomina się zapomniany już Marian Krzaklewski, lider Akcji Wyborczej „Solidarność", który dla wyważenia liczby miejsc dla NSZZ „Solidarność" i licznych partii prawicowego planktonu wymyślił specjalny, słynny wtedy algorytm do obliczania, ile komu należy się miejsc na listach AWS. Jako inżynier informatyk był z tej metody bardzo dumny.

Tyle że wtedy, w 1997 r., związek Solidarność był silny, a partie słabe i brały, co im dawano. Natomiast Nowoczesna nie uważa się za młodszą siostrę Platformy, ale ostro z nią rywalizuje.

To jednak nie koniec problemów dla PO związanych ze wspólną listą „obrony demokracji". Jeśli ogłoszone zostaną prawybory na jedną listę opozycji, to jak spod ziemi wyrosną ambitni aktywiści KOD, wojownicze feministki i politycy SLD, którzy upomną się o równe szanse dla siebie. I wtedy już naprawdę zacznie się robić ciasno. A platformerscy samorządowcy na serio zaczną się martwić, czy aby coś jeszcze dla nich zostanie. Łatwo jest reklamować wspólną listę jako młot na PiS, ale trudniej dzielić się miejscami.

Na razie Petru może być z siebie zadowolony. Nikt nie może mu zarzucić niechęci do idei jednej listy, ale za pomocą pomysłu prawyborów pomieszał szyki Schetynie.

Ciekawe, czy wymyśli jakiś swój własny algorytm? W końcu on też studiował na Wydziale Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej. ©℗

FOT. LEE JIN-MAN/AP/EAST NEWS

IMPEACHMENT PREZYDENT KOREI

Park Geun-hye, prezydent Korei Południowej, przejdzie do historii jako pierwszy demokratycznie wybrany przywódca tego kraju, który został zmuszony do rezygnacji z urzędu. Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego Korei Południowej jednogłośnie podtrzymali w piątek decyzję parlamentu o odsunięciu jej od władzy w związku z oskarżeniami o korupcję i płatną protekcję. Polityczny skandal wywołał w kraju wielomilionowe burzliwe protesty. W piątek przed siedzibą Trybunału zginęło dwóch demonstrantów. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl 9637e63beb

Jacek Sobala prezesem Polskiego Radia

Rada Mediów Narodowych wybrała w zeszłym tygodniu nowego prezesa Polskiego Radia. Jacek Sobala zastąpi Barbarę Stanisławczyk-Żyłę, która w połowie lutego podała się do dymisji. Sobala ma duże doświadczenie zawodowe, był m.in. szefem radiowej Trójki, Jedynki, Radia Bis, a ostatnio

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

TVP Warszawa. – Jest radiowcem, od lat prowadził różne programy i pełnił kierownicze funkcje w różnych stacjach radiowych. Zna radio publiczne, w którym był dyrektorem kilku programów, i radio komercyjne – zauważył szef Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański. Wiceprezesem Polskiego Radia jest Mariusz Staniszewski, wcześniej m.in. publicysta „Do Rzeczy" i wicenaczelny „Wprost". ©℗ ***(jap)***

NAUCZYCIELE ZAPOWIADAJĄ STRAJK

Związek Nauczycielstwa Polskiego zapowiedział ogólnopolski strajk. 31 marca nauczyciele nie będą uczyć, odejdą od tablic. Głównym celem strajku jest sprzeciw wobec rządowej reformy edukacji, ale są też konkretne postulaty strajkowe. ZNP domaga się m.in. zagwarantowania miejsc pracy dla nauczycieli i pracowników obsługi w placówkach do 2020 roku. Związkowcy żądają również wzrostu wynagrodzeń zasadniczych nauczycieli o 10 proc. oraz gwarancji, że nie będą dokonywane niekorzystne dla pracowników zmiany warunków pracy. ©℗ ***(luz)***

„ALARM", CZYLI PATRIOTYCZNY BEATROCK

PATRONAT DO RZECZY

Do sklepów muzycznych trafiła płyta „Alarm" Bartasa Szymoniaka, absolwenta Wydziału Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach, w latach 2007–2015 wokalisty grupy Sztywny Pal Azji, jednego z kandydatów do ubiegłorocznej nagrody Strażnik Pamięci.

To dziewięć utworów będących muzycznymi aranżacjami wierszy poetów pokolenia 1920. Wszystkie nagrane zostały w nowym stylu muzyki, który sam wokalista nazywa beatrockiem – lirycznym, poetyckim tekstom oprócz jednego instrumentu, w tym przypadku gitary, towarzyszą dźwięki imitujące bas, perkusję, skrzypce, ale wytwarzane jedynie przez aparat mowy muzyka.

Patronad nad płytą objął tygodnik „Do Rzeczy". ©℗ ***(ww)***

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 22 lutego 2017 roku zmarł w Londynie

ŚP.

płk Franciszek Józef Szuta

urodzony 10 grudnia 1920 roku w Kościerzynie.
W czerwcu 1940 roku przekroczył granicę słowacką, następnie przez Węgry i Jugosławię przedostał się na Bliski Wschód.
W styczniu 1941 roku wstąpił w Palestynie do Polskich Sił Zbrojnych.
Od marca 1941 roku żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Od sierpnia 1941 roku uczestnik kampanii libijskiej.
Walczył pod Tobrukiem, Gazalą i Bardią. Od kwietnia 1942 roku słuchacz szkoły podchorążych rezerwy w Egipcie.
Od lutego 1944 roku uczestniczył w kampanii włoskiej w składzie 1. baterii 2. pułku artylerii lekkiej 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Korpusu Polskiego.
We wrześniu 1944 roku awansowany do stopnia podporucznika.
Walczył nad rzeką Sangro, pod Monte Cassino, Ankoną oraz Bolonią.
W latach 1946–1947 pełnił służbę wojskową w Wielkiej Brytanii. Pozostał po wojnie na emigracji.
Uhonorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych,
Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Wojska czterokrotnie, Medalem „Pro Patria"
oraz innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.
Jeden z ostatnich oficerów 3. Dywizji Strzelców Karpackich.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym. Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 9637e63beb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Modna bzdura

Jak co roku w święto wymyślone niegdyś przez Clarę Zetkin i Różę Luksemburg zalani zostaliśmy aborcjonistyczną demagogią o „prawie kobiety do wyboru" (taka nowa narracja: nie chcemy wcale zabijać nienarodzonych dzieci, domagamy się tylko, żeby kobieta miała prawa wyboru, czy chce je urodzić czy zabić – błyskotliwe, prawda?). Wydaje się, że na ten temat powiedziano już wszystko – ale nie. Nie powiedziano rzeczy może najbardziej oczywistej.

Zabicie dziecka nie jest decyzją kobiety. To jest zawsze decyzja mężczyzny

A mianowicie – że nie ma większej bzdury niż fundamentalne dla feminizmu twierdzenie, iż zabicie dziecka to „decyzja kobiety". Nikt, kto zetknął się z aborcją, nie jako postulatem ideologicznym, ale jako życiowym nieszczęściem, dotykającym realnych ludzi w realnym świecie, nie może wątpić, że wręcz przeciwnie. To jest zawsze decyzja mężczyzny.

Fakt, że zwykle narzucana partnerce w sposób niebezpośredni. Nie trzeba jej wydawać polecenia „Wyskrob się". Można oczywiście skusić męskim „pseudohonorem": „Nie martw się, ja zapłacę", ale i to nie jest konieczne. Wystarczy po prostu dać do zrozumienia, że w kwestii tego, co się za sprawą podejmującego decyzję zalęgło u kobiety w brzuchu, nie może ona liczyć na żadną jego pomoc, a w każdym razie na żadną inną niż w pozbyciu się „tego".

Sposobów jest pewnie wiele, nie o wszystkich słyszałem (choć, jako „wannabe" pisarz, chłonąłem w pewnym okresie życia różne życiowe historie masowo – myślę czasem, że gdyby marzenie mamy i babci się spełniło, to byłbym naprawdę świetnym spowiednikiem). Od zwykłego zniknięcia do dyskretnego: „Hm, kochanie, no to trzeba znaleźć większe mieszkanie, ile to będzie roboty z przeprowadzką, te kartony książek… No, ale ty zdecyduj, to sprawa kobiety". Biedna niewiasta wydana jest na pastwę hormonalnej burzy i naporu przerażających wizji przyszłości, więc jeśli ktoś potrafił ją zbajerować na tyle, by zaciągnąć do łóżka, to zwykle zbajeruje i do usunięcia skutków, i to tak gładko, że potem będzie sama przekonana, iż to ona tak właśnie zdecydowała.

W końcu – jej brzuch, jej sprawa. W tym z kolei punkcie feministki się akurat nie mylą, aczkolwiek także to tak chętnie przez nie wznoszone hasło oznacza w praktyce zupełnie co innego, niż się im zdaje. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O nagłej zmianie poglądów

W poniedziałek 26 lipca 1943 r., dzień po aresztowaniu Mussoliniego, Giorgio Almirante, redaktor naczelny dziennika „Tevere", nawet na tle faszystowskiej prasy wyróżniającego się rasistowską zajadłością, poszedł rano do pracy. Przed redakcją podbiegł do niego kolega. – Giorgio! Nie wchodź! – krzyknął.
– Dlaczego? – Bo antyfaszyści okupują redakcję. – Jacy antyfaszyści? – Nasi dziennikarze.
– No, ale jeszcze wczoraj, kiedy wychodziłem z redakcji, wszyscy byli faszystami?! – Ale w nocy stali się antyfaszystami i teraz chcą cię pobić. – A skąd oni mogą wiedzieć, czy ja też w nocy nie stałem się antyfaszystą?! – zakończył. Jak opisuje Luca La Rovere w książce „L'eredità del fascismo" („Dziedzictwo faszyzmu"), tego ranka ze ścian i z biurek znikły portrety Duce. Wraz z legitymacjami partyjnymi wylądowały na śmietnikach. Poszły w ruch młotki. Ci, którzy na swoich domach umieścili symbole faszyzmu, teraz je na gwałt odbijali. Ba! Wierni, dzień wcześniej wiwatujący na cześć Duce, zamawiali msze dziękczynne za upadek diabolicznego faszyzmu.

Komuniści, gdy skonał szczodry moskiewski sponsor, natychmiast przepoczwarzyli się w socjaldemokratów.

W czasach postprawdy, gdy poglądy straciły jakiekolwiek znaczenie, nigdzie nie widać tego lepiej niż we Włoszech. Spośród 930 parlamentarzystów wybranych w lutym 2013 r. aż 447 zmieniło barwy partyjne. Niektórzy trzy razy.
W tym czasie dwa razy zmieniał się rząd. Kiedy wybory? Na pewno po 15 września, bo dopiero wówczas połowa wybrańców narodu nabierze praw emerytalnych.

Najczęstszy ludzki błąd: nie przewidzieć burzy, gdy morze spokojne. Nie wolno być niewolnikiem własnych słów – pisał Niccolò Machiavelli w „Księciu" już w 1513 r. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia

eprasa.pl 9637e63beb

ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Państwowcy

Jacek Saryusz-Wolski to kompletna niedojda. Marginalny, nieznany europoseł, którego Platforma Obywatelska trzymała właściwie tylko z łaski, żeby ułomny umysłowo człeczyna miał z czego żyć. A teraz PiS bierze go na sztandary. Jak to PiS, przecież zależy mu wyłącznie na psuciu państwa.

Tak mniej więcej brzmi narracja, którą próbuje nam wciskać Platforma, od kiedy Jacek Saryusz-Wolski został kandydatem rządu Prawa i Sprawiedliwości na przewodniczącego Rady Europejskiej i opuścił partię, której członkiem był od lat. Narracja niemająca oczywiście nic wspólnego z rzeczywistością, bo w historii polskiego członkostwa w Parlamencie Europejskim europosłów równie kompetentnych co Saryusz-Wolski można policzyć na palcach jednej ręki. Dosłownie.

Na państwowców w rodzaju Saryusza-Wolskiego należy chuchać i dmuchać, a trzymanie ich w trzecim szeregu jest zbrodnią wobec państwa

Przede wszystkim jednak jest Jacek Saryusz-Wolski państwowcem, co było widać szczególnie wyraźnie, odkąd względy wewnątrzkrajowej wojenki kazały europosłom PO w różnych kwestiach opowiadać się przeciw polskiemu interesowi. Saryusz-Wolski od takich działań się odcinał. I robił to coraz bardziej ostentacyjnie.

W momencie, gdy piszę ten tekst, nie wiadomo jeszcze, jak przebiegnie szczyt Rady Europejskiej, na którym ma nastąpić wybór przewodniczącego RE. Jednak też nie o tym jest ten felieton. On jest o tym, że na państwowców w rodzaju Saryusza-Wolskiego należy chuchać i dmuchać, a trzymanie ich w trzecim szeregu jest zbrodnią wobec państwa.

Owszem, jest skrajnie mało prawdopodobne, żeby to polski kandydat otrzymał stanowisko przewodniczącego RE. Jeżeli jednak PiS nie ma w zanadrzu planu wykorzystania wiedzy i umiejętności Saryusza-Wolskiego, to popełnia zbrodnię identyczną jak Platforma. Zbrodnię marnowania talentu, który mógłby wydajniej służyć polskiemu państwu.

Owszem, wielu ludzi myślących w kategoriach państwa pracuje dziś dla Polski. Są osoby, takie jak ministrowie Anna Streżyńska i Konrad Szymański, ludzie tacy jak ambasador Arkady Rzegocki. Państwowcy wręcz modelowi. To świetnie, ale wciąż za mało. Niestety, wielu podobnych Jackowi Saryuszowi-Wolskiemu jest dziś na marginesie, płacąc cenę za swoją intelektualną niezależność. Polskie państwo nie korzysta z wiedzy i umiejętności Pawła Kowala czy Marka Cichockiego. Z boku wylądował Paweł Szałamacha. Trudno nazwać to inaczej niż marnotrawieniem zasobów, których i tak mamy niewiele. W dobie partyjniackich utarczek, momentami tak zaciętych, że aż żenujących, Polska nie powinna marnować ani jednego podobnego talentu. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49 ZŁ

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 19 marca 2017 r.

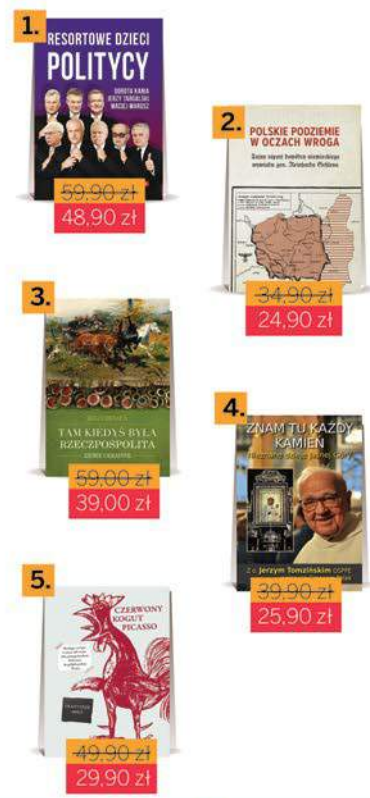

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 9637e63beb

I CÓŻ, ŻE BEZ SZPILEK?

Aneta Kręglicka, pierwsza polska i jedyna jak dotąd Miss Świata, według kolorowych magazynów należy do najlepiej ubranych Polek. Ostatnio pożaliła się jednak, że zabrakło jej w domu miejsca do przechowywania butów. Musiała więc zbudować specjalne pomieszczenie, aby mieć je gdzie trzymać. – Obecnie najwięcej mam butów. Nigdy wcześniej aż tylu ich nie miałam. Żeby wszystkie je pomieścić, musiałam zbudować dla nich oddzielną garderobę – wyznaje w jednym z wywiadów.

Na tym nie koniec dramatów gwiazdy. Aneta podkreśla, że choć zawsze jest dobrze ubrana, to kompletnie nie bawią jej zakupy. Wręcz ich nie lubi. – Zakupy to raczej nie jest moja bajka. Najczęściej robię je podczas wyjazdów zagranicznych. Wracając z plaży, wpadam do butiku i kupuję coś fajnego z nowej kolekcji. Wtedy sprawia mi to frajdę – wyznaje. Mówi też, że najczęściej wybiera dżinsy, T-shirt, marynarkę i obowiązkowo sportowe buty. – Jeśli chcę być bardziej sexy, noszę krótkie sukienki, a do tego cienkie rajstopy, pończochy albo kabaretki – opowiada. – Nawet gdy idę na jakieś spotkanie, to do garnituru zakładam adidasy. Tak mi się najlepiej pracuje, bo nie muszę się skupiać na wysokich szpilkach, które wbijają mi się w mózg – dodaje. Skoro to nie wina szpilek, to trudno powiedzieć, dlaczego Aneta opowiada to, co opowiada.

SPOŁECZEŃSTWO NIE DORASTA JEJ DO PIĘT

Aktorka serialowa Anna Oberc poczuła się w obowiązku podzielić się ze światem swoją krytyczną refleksją na temat polskiego społeczeństwa. – Polskie społeczeństwo jest pruderyjne i dwulicowe. Jak aktorka czy osoba publiczna wyjdzie, epatując ciałem spod kostiumu, np. nie włożyłabym stanika, od razu jest to komentowane, hejtowane. Nie jesteśmy przystosowani do epatowania nagością. Znam mnóstwo ludzi, którzy wiodą podwójne życie. Na zewnątrz są grzecznymi, a gdzieś tam w ciemnościach wychodzą z nich różne rzeczy – stwierdziła w jednym z wywiadów. To straszne, że aktorka Oberc musi się tak męczyć z tym strasznym, pruderyjnym i dwulicowym społeczeństwem. Naszym zdaniem powinna je zmienić na inne. Wyszłoby to jej pewnie na dobre. A społeczeństwu na jeszcze lepsze!

FOT. PAWEŁ GROMADA

DLA DOBRA ZWIERZĄT?

FOT. FORUM

Kasia Moś to piosenkarka, która w tym roku będzie reprezentować Polskę w konkursie Eurowizji w Kijowie. Trzy razy próbowała, za trzecim się udało. Przy tej okazji media przypomniały, że Moś wystąpiła kiedyś na okładce „Playboya". Dzisiaj tłumaczy, że zrobiła to z troski o dobro zwierząt. – Dostałam propozycję rozebrania się dla „CKM" i na to się nie zgodziłam. Jak przyszła propozycja z „Playboya", też byłam sceptyczna, ale po dywagacjach pomyślałam, że jeśli taka sesja mogłaby powiedzieć o czymś ważnym, to tak. Redakcja poszła na moje warunki, to były psy ze schroniska, psy po przejściach – powiedziała. – Od lat walczę o prawa zwierząt, bo ludzie to najbardziej brutalny z wszystkich gatunków – dodała. Po sesji dla „Playboya" widać, że walczy całą sobą! Dosłownie.

SIĄŚĆ I PŁAKAĆ

Skoro na początku było o miss, to na końcu dla równowagi będzie o misterze, co prawda nie świata, lecz tylko Polski, i to sprzed trzech lat, ale i tak to zawsze coś. Rafał Maślak, bo o nim mowa, to celebryta pełną gębą. Jest stałym bywalcem wszelkich ścianek, ciągle zamieszcza swoje półnagie fotki w sieci i – co najważniejsze – udziela licznych wywiadów na tematy wszelakie. A że nie ma zbyt wiele do powiedzenia, bo co miał, to powiedział już trzy lata temu, to wychodzi zwykle bardzo śmiesznie. Maślak ma też dziewczynę Kamilę Nicpoń, którą w ramach walki o zachowanie prywatności mocno promuje. Ostatnio dziewczyna Maślaka w rozmowie z plotkarskim portalem przyznała, że często płacze, czytając plotki na temat swojego ukochanego i jego wywiady. I w przeciwieństwie do nas nie płacze ze śmiechu. – Odgraniczam to od życia prywatnego i jest lepiej – dodała na koniec optymistycznie. Jej wersję potwierdził sam Maślak: – Nieraz Kamila płakała przez wywiady. Mówię: „Nie czytaj, wpuszczaj jednym uchem i wypuszczaj drugim" – poradził jej. W sumie dobrze jej poradził. Prostsze do zrobienia jest to, by ona nie czytała wywiadów, niż by on zaczął w nich mówić tak, by nie trzeba było płakać. Czy to z rozpaczy, czy ze śmiechu. ©℗

eprasa.pl 9637e63beb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, uspokajamy: to mistrzostwo świata polskich skoczków jest co najmniej dyskusyjne. Na świecie istnieje coś ok. 200 państw, a wystartowało przecież tylko 12. Cóż, takie to mistrzostwo świata, jak wygrana pis w wyborach.

Pewnie się martwicie, że przez intrygę z Saryuszem-Wolskim pan Premier nie zostanie na kolejną kadencję Królem Europy? Cóż, my trochę też, ale jednak nie do końca.

Weźcie bowiem pod uwagę, iż w obecnej sytuacji poparcie tego kraju mogłoby być tylko obciążające. Jesteśmy w stanie wyobrazić sobie sytuację, kiedy brukselskie guje i timmermąse wzywają pana Premiera i mówią: Donald, pardon, ale popiera Cię ten kraj, więc sam rozumiesz, ktoś z takim poparciem nie zostaje Królem Europy.

Tymczasem pan Premier jest oczywistą ofiarą zmasowanego ataku nienawiści ze strony różnych szubrawców, ludzi małych i oszołomów, którzy plują jadem, są po polsku zawistni i już teraz pakują walizki z myślą o kolejnych wakacjach za „500+". Zresztą, czym tu się martwić – druga kadencja panu Premierowi się po prostu należy, a każda próba zmiany Króla Europy to działanie antyunijne, obliczone na zachwianie Unijnej Jedności, a na korzyść Trumpa, Putina, Rydzyka, Kaczyńskiego, Le Pen i nawet tego gościa od Chińczyków.

Największym problemem współczesnego feminizmu jest to, że podczas seksu można zajść w ciążę

Na podstawie protestów waginoosób w całym tym kraju dochodzimy do wniosku, iż największym problem współczesnego feminizmu i w ogóle (jeśli przyjąć, iż feministki reprezentują wszystkie waginoosoby) – współczesnych waginoosób – jest to, iż w wyniku uprawiania seksu można zajść w ciążę. No i jeszcze że ksiądz co wieczór im sprawdza, z kim kładą się do łóżek.

Wydaje nam się tak, iż waginoosoby domagają się przede wszystkim prawa do: antykoncepcji, sterylizacji, aborcji i edukacji seksualnej. To wszystko nie byłoby potrzebne, gdyby seks nie prowadził do prokreacji. Niestety, wygląda na to, iż współżycie seksualne jest narzędziem patriarchalnej dominacji, która ma sprowadzać postulaty feministek niemal tylko i wyłącznie do tego jednego tematu. Podobno co prawda istnieje coś takiego jak cykl miesięczny, dni płodne i naturalne metody, ale to po pierwsze, watykańska ściema (a przypominamy, iż żaden ksiądz nie będzie decydował o naszym ciele!!!), a po drugie, komu by się chciało tym zajmować, skoro można zmusić społeczeństwo, iżby fundowało pigułki i kondonki xD

Nieszczęśliwe dla tenkrajowych wojujących feministek choćby tzw. gender gap w tym kraju jest kłopotliwie niski, a według badania „The Economist" mają większe szanse na równe traktowanie niż np. we Francji, w Danii czy Niemczech. Dlatego wszystkim hejterom, którzy dopytują, czemu feministki zajmują się tylko sprawami okołogenitalnymi, odpowiadamy: No a czym mają się zajmować, wy janusze???

Wogóle cały ten Dzień Kobiet nie dość, iż samą nazwą stygmatyzuje, dyskryminuje i nie nadąża za współczesnością, to jeszcze jest takim typowo szowinistycznym gestem wyższości ze strony społeczeństwa patriarchalnego, wykonanym w stronę uciemiężonych waginoosób wszystkich płci.

Jeden dzień w roku, kiedy zamiast bicia kablem od żelazka (oczywiście końcówką z żelazkiem) waginoosoby dostają kwiatka – a w kwiaciarniach kto pracuje? Of kors większość osobopracowników stanowią waginoosoby! I tak: fallusododatni świętują kosztem osobokobiet, które nawet w tak symbolicznym i z łaski przyznanym dniu są zaganiane do pracy.

Poza tym kwiatek to prezent seksistowski. Gdyby waginoosoby otrzymywały w prezentach części samochodowe, jakiś przyjemny wał korbowy lub nawet łańcuszek (ale rozrządu), jakąś zaprawę albo worek cementu – wtedy taki upominek nie byłby stygmatyzujący, a do roboty zagoniony by został sprzedawca fallusododatni. I to by było w porządku i sprawiedliwe!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 9637e63beb

dwaj panowie g

Odetchnęliśmy z ulgą. Donald Tusk ponownie królem Europy i nie wraca do kraju. Od razu zaczął wiać wiosenny wiatr. A nie, przepraszamy, to tylko Grzegorz Schetyna – ten to dopiero odetchnął z ulgą.

Mamy dobrą wiadomość dla naszego zielonego brata Kosiniaka-Kamysza, który chce, żeby poddawać polityków badaniom psychiatrycznym. Jacka Saryusza-Wolskiego badać nie trzeba, jest normalny. Skąd ta pewność? Otóż wbrew sugestiom kolegów z PeŁo wcale nie chciał być ministrem spraw zagranicznych. W PiS też wszyscy chyba zdrowi na umyśle, bo nikt mu nie proponował.

À propos Saryusza-Wolskiego. Jego odstępstwo od ideałów PeŁo zostało w „Wyborczej" napiętnowane najsurowiej, jak można. Wytknięto mu, że w 1986 r. zapisał się do PZPR. I że był adiunktem w Zakładzie Ekonomii Politycznej Socjalizmu UŁ. Zgadzamy się z „Wyborczą". Nie mamy zaufania do byłych członków PZPR i byłych ekonomistów socjalistycznych. Na przykład do Leszka Balcerowicza. Mimo że w odróżnieniu od Saryusza on przynajmniej uważał, że socjalizm to jakiś problem. No bo przecież inaczej nie pracowałby w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR.

Zła wiadomość dla wszystkich z okolic Zjednoczonej Prawicy, którzy ścigają się w informowaniu, kto z nich wymyślił, żeby Saryuszem-Wolskim uderzyć w prezydenta Europy Tuska. Otóż pomysł był Kaczora-Dyktatora. Co więcej, szczegóły mrocznego planu omawiał on osobiście z Jackiem S-W w Warszawie, będzie tak ze trzy tygodnie temu.

Zmiany, zmiany, zmiany. Jacek Sobala nowym prezesem Polskiego Radia. Co wywołało już popłoch zarówno na Niepodległości, jak i na Myśliwieckiej. Ma jednak już o jedno zadanie mniej. Nie musi wyrzucać Magdy Jethon z roboty. Po wywiadzie, jakiego udzieliła Mazurkowi, nawet najtwardsze KOD-uchy załamały ręce. Jej nie trzeba wyrzucać, jej trzeba dać jak najczęściej się wypowiadać.

Kłopot z nazwą nowego BOR. Wiadomo, że nie może mieć w nazwie „biuro", bo to się źle kojarzy. Nie może też mieć „agencja", bo to się źle kojarzy. Całkiem serio relacjonujemy rozterki MSWiA. Największe szanse ma słowo „służba", ale trzeba je sprytnie opakować, bo w zestawie z „bezpieczeństwem" też się źle będzie kojarzyć. Mamy propozycję – po prostu Narodowa Służba. NASA.

Tak à propos bezpieczeństwa i procedur. Zainteresowaliśmy się tym, jak na ostatni szczyt Grupy Wyszehradzkiej przybyli do Warszawy dostojni sąsiedzi. Dane są ciekawe. Na przykład prezydent Słowacji, premier Słowacji i wicepremier Słowacji wylądowali na Okęciu trzema osobnymi samolotami. Tak na wszelki wypadek. Oczywiście byłaby to podziwu godna ostrożność tylko wówczas, gdyby Słowacją rządziła PeŁo. Bo gdyby PiS, to mielibyśmy do czynienia z karygodną rozrzutnością.

Nie będziemy ukrywać, że IPN to jedna z naszych ulubionych instytucji. Jednak w sprawie ambasadora Andrzeja Przyłębskiego dała ciała. Pocieszające jest, że wszystko wskazuje na to, iż będzie to teraz najszybsze postępowanie lustracyjne w historii wszechświata. Ambasador ma niebawem złożyć wyjaśnienia

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 9637e63beb

przed surowym obliczem prokuratura lustracyjnego.

Z zainteresowaniem przyjmujemy rosnącą rolę zaświatów w polskiej polityce. Po wywiadach ze zmarłymi przyszła pora na interwencje niebieskie, przynajmniej zdaniem Jana Hartmana, który wzywał Jacka Saryusza-Wolskiego do opamiętania się, bo patrzy na niego z nieba Bronisław Geremek. Co nie zmienia faktu, że wolimy nie wiedzieć, kto patrzy z nieba na Hartmana. Albo z innego kierunku.

Jan Hartman, znany bojownik o tolerancję i prawa kobiet, będzie miał niedługo powód do radości. Otóż kobieta będzie chciała zostać prezydentem jego ukochanego Krakowa. A dokładnie Małgorzata Wassermann. Mamy nadzieję, że Hartman będzie wspierał tę kandydaturę z całych sił, w końcu ileż można w Krakowie żyć w mrokach patriarchatu.

À propos praw kobiet. W tefauenach u resortowej bejbi Olejnik z okazji Dnia Kobiet jako specjalista od tych spraw wystąpił Robert Biedroń. Doprawdy, nie wiemy, co o tym sądzić.

Tego samego dnia mieszkańcy Poznania odkryli na ósmomarcowym wiecu, że prezydent Jacek Jaśkowiak ma żonę i że ona z kolei ma cenne przemyślenia na temat rządów kaczystowskich. „Brakuje mi słów. Tylko jedno przychodzi mi do głowy. Jestem wkurwiona" – mówiła do zgromadzonych na placu Wolności.

Na tej samej imprezie wystąpiła Marta Mazurek, pełnomocniczka prezydenta Poznania ds. przeciwdziałania wykluczeniom, która powiedziała: „Wiele z nas wychodzi dziś na ulice z poczuciem, że historia zatacza błędne koło". Nie wiemy, jakim językiem posługują się urzędnicy Jaśkowiaka, ale na pewno nie jest to język polski. No, chyba że jesteśmy w mylnym błędzie.

Chcieliśmy przy okazji oświadczyć, że niestety nie mamy pojęcia, gdzie macice mają kolana, z których mogłyby wstać (transparent z takim hasłem niesiono na ostatniej manifie). No ale wychowywano nas w czasach, kiedy gimnazja jeszcze nie istniały, więc co tam możemy wiedzieć.

Tabloidy żyły przez chwilę informacją, że kaczystowska policja zabrała Kamilowi Durczokowi nie tylko prawo jazdy, lecz także broń, na którą miał pozwolenie. Nas najbardziej zainteresował fakt, że w arsenale Durczoka oprócz pistoletu Walther i pistoletu gazowego znajdował się sztucer myśliwski. Czyżby oznaczało to, że Durczok chodzi na polowania? W sumie nawet by pasowało – od dawna sądzimy, że jeśli chodzi o charyzmę i lekkość dowcipu, Durczokowi najbliżej do Bronka Komorowskiego.

Uwaga! Zdrajca! Apelujemy do władz PeŁo o objęcie ścisłym nadzorem prezydenta Sosnowca Arkadiusza Chęcińskiego. W Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych paradował w koszulce z wizerunkiem „Łupaszki", włączając się tym samym w kaczystowską politykę historyczną. Co dalej? Może jeszcze zechce z ramienia PiS kandydować na szefa Rady Europejskiej?

À propos żołnierzy wyklętych – bardzo ucieszyliśmy się w dniu ich święta, że pałac prezydenta Andrzeja Sebastiana był podświetlony. Nie wiemy tylko, dlaczego na zielono (podczas gdy na

przykład Pałac Kultury i Nauki normalnie, na biało-czerwono). Widzimy tylko jedno możliwe wytłumaczenie – to wyraz poparcia dla ministra Jana Szyszki, najbardziej wyklętego z PiS-owskich ministrów.

Sensacja ze świata politycznej mody – wpływowy kukista Marek Jakubiak chwilowo przestał nosić fular, czy jak się tam ta pieluszka pod szyją nazywa. Złośliwi mówią, że po to, by chwalić się świeżą opalenizną. Sam Jakubiak mówi to samo.

Opalenizna to nabytek z wycieczki na Kubę, gdzie Jakubiak dosłoneczniał swój narodowy organizm przez bite dwa tygodnie. Raz sierpem, raz młotem w słoneczną spiekotę!

Jeszcze o kukistach. Wszyscy w klubie się zastanawiają, co łączy szefa klubu Kukiz'15 Dariusza Pitasia z niejaką Moniką Piątkowską? Dlaczego? Podobno bardzo intensywnie szuka jej roboty. Ostatnio w radzie nadzorczej PAP. Podpowiadamy: idą kolejne konkursy Rady Mediów Narodowych w rozgłośniach regionalnych Polskiego Radia. Wiemy, że nie wszystkie miasta w Małopolsce się Pitasiowi dobrze kojarzą, jak choćby Nowy Sącz, ale może udałoby się wybrankę losu pchnąć na prezia Radia Kraków? ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 9637e63beb

Piotr Semka

Jeszcze więcej

Reelekcja Donalda Tuska jest w dużej mierze wynikiem kalkulacji Angeli Merkel przed wyborami w Niemczech. Kontrolowalny Tusk jest jej potrzebny w obliczu coraz gorszych sondaży

Gdy dziewięć miesięcy temu Brytyjczycy zadecydowali o Brexicie, unijni przywódcy stanęli przed dwiema możliwościami: zastanowić się, dlaczego dumny Albion trzasnął drzwiami, albo zagłuszyć problemy hałaśliwymi wezwaniami do jeszcze ściślejszej i szybszej integracji.

Dzisiaj coraz wyraźniej widać, że dwóch najważniejszych graczy – Paryż i Berlin – skłania się ku tej drugiej drodze. Zwyciężają stare nawyki i niechęć do zmian, przyzwyczajenie do wysuwania „swoich" ludzi na ważne stanowiska unijne. Ta niechęć do zmian nad Sekwaną i Sprewą wzmacniana jest dodatkowo wewnętrznymi kłopotami politycznymi. A te kłopoty to wynik problemów Unii. Tak powstaje zaklęty krąg. Im bardziej zjawiska kryzysowe destabilizują Unię, tym bardziej zamyka się w starych schematach myślenia.

Dopiero na tle tych tendencji można zrozumieć pomysł Berlina i Paryża na „Europę różnych prędkości" i ich upór przy lansowaniu reelekcji Donalda Tuska.

DUCH WERSALU

Prezydent Francji François Hollande zadbał, by zaszłotygodniowy szczyt, na który zaprosił kanclerz Niemiec oraz premierów Włoch i Hiszpanii, odbył się w scenerii przypominającej potęgę Francji. Pałac w Wersalu, efektownie rozstawiona gwardia republikańska – wszystko to było dobrym tłem dla deklaracji pogłębionej integracji – by „Europa poszła jeszcze dalej".

– Musimy się zdobyć na odwagę i zgodzić na to, by niektóre państwa szły do przodu, jeżeli nie wszystkie chcą iść wspólną drogą. Europa różnych prędkości jest konieczna, w innym przypadku staniemy w miejscu – powiedziała w Wersalu Angela Merkel.

Prezydent François Hollande jako przykłady „przyspieszonych" pól działania podawał wspólną politykę bezpieczeństwa i obrony, strefę euro i współpracę kulturalną.

Spotkanie wersalskie jak każda demonstracja miało jednych pokrzepić, innych przywołać do porządku.

Ostrzeżenie było wysłane wyraźnie wobec państw wyszehradzkich, głównie Warszawy i Budapesztu, krajów najbardziej irytujących Berlin, ale także Pragi oraz Bratysławy, które wzbraniają się przed zgodą na odgórny rozdział imigrantów.

Jednak było też w demonstracji Hollande'a przypomnienie, że Francja zawsze była krytyczna wobec rozszerzenia Unii na wschód.

W wywiadzie dla siedmiu gazet europejskich opublikowanym w dniu rozpoczęcia szczytu prezydent Francji się skarżył: „Rozszerzenie Unii odbyło się w imię szczytnych zasad, ale nowym krajom pozwoliliśmy konkurować na bardzo korzystnych dla nich zasadach. Czy należało zastosować dłuższy okres przejściowy? Z pewnością".

Pytanie jednak: Dlaczego do idei Europy różnych prędkości przekonały się Niemcy?

Przecież zamknięcie się Francji, RFN, Hiszpanii i Włoch w minisuperpaństwie unijnym nie rozwiąże problemu niechęci rządów w Madrycie ani Rzymie do ścisłej dyscypliny finansowej. A Francja ze swoim nawykiem ingerowania państwa w gospodarkę szybko zderzy się z dużo bardziej liberalnym podejściem Niemców. Powstanie strefy „przyspieszonej integracji" nie wniesie też zbyt wiele do budowania wspólnej, unijnej siły wojskowej. W miarę silną armię ma Francja, na papierze silną, ale faktycznie słabszą – Niemcy, ale już armie włoska i hiszpańska – oprócz misji pokojowych – od dawna nie uczestniczyły w żadnych walkach serio.

Odpowiedź na pytanie, w jakim celu doszło do spektaklu w Wersalu, będzie wyraźniejsza, jeśli przyjrzymy się poli-

eprasa.pl 9637e63beb

tego samego

Szczyt w Wersalu był demonstracją polityczną, podczas której przywódcy Francji, Niemiec, Włoch i Hiszpanii opowiedzieli się za „Unią różnych prędkości" FOT. GETTY IMAGES

tycznej sytuacji czwórki liderów, którzy byli gośćmi François Hollande'a. Sam gospodarz jest tak słaby politycznie, że jako pierwszy powojenny prezydent nie ubiega się o reelekcję (oprócz Georges'a Pompidou, który zmarł w trakcie kadencji). Benoît Hamon, kandydat socjalistów w tegorocznej kampanii prezydenckiej, nie ma szans nawet na dotarcie do pierwszej rundy wyborów. Wzorcem siły politycznej nie jest też hiszpański premier Mariano Rajoy z Partii Ludowej, którego gabinet przegłosowała w Kortezach „wiązana sznurkiem" koalicja dopiero za czwartym razem. Równie słabe zaplecze polityczne ma lewicowy premier Włoch Paolo Gentiloni, nad którym wciąż wisi wizja przedterminowych wyborów.

W opałach znalazła się wreszcie Angela Merkel, której CDU niedawno – po raz pierwszy od dekady – dała się wyprzedzić socjaldemokratom z SPD. Co więcej, Merkel wydaje się dość bezradna wobec skoku w górę Martina Schulza, socjalistycznego kandydata na kanclerza. Oznacza to, że cała ta czwórka: Hollande, Merkel, Rajoy i Gentiloni, pilnie potrzebowała na rynek wewnętrzny jakiegoś symbolicznego gestu dla wyborców: wcale nie jest źle z Unią, kontrolujemy sytuację, podejmujemy odpowiednie kroki.

Dla Włochów i Hiszpanów to także cicha nadzieja na to, że ciocia Angela pomoże spłacić ich długi. A dla pani kanclerz cała idea wciąż jest na tyle mglista, by móc w razie czego wycofać się z finansowych obciążeń.

Gdzieś w tle inicjatywy wersalskiej był też mściwy uraz wobec weta państw wyszehradzkich dla pomysłu obowiązkowych kwot uchodźców. A cała czwórka ma z nimi spory problem. We Francji ciągły alert antyterrorystyczny obciąża państwo, w Hiszpanii Afrykanie szturmują afrykańskie enklawy Melilla i Ceuta, Włosi zmagają się z napływem pontonów z uchodźcami, a Niemcy mają problemy z ponad milionem imigrantów przyjętych przez Merkel w 2015 r. W kampanii w RFN Martin Schulz bardzo perfidnie gra hasłem obowiązkowych kwot dla wszystkich, wiedząc, że rozbudzi to nastroje schadenfreude w stylu „skoro Wschód bierze od nas pieniądze, to niech też się zmierzy z tym co my".

LĘK PRZED MARGINALIZACJĄ

„Gdyby nie awantura o Tuska, to na pewno zaproszono by Polskę do Wersalu" – ten refren pojawiał się ostatnio w wypowiedziach polityków Platformy Obywatelskiej.

Skąd ta pewność? Jeśli przyjąć, że o zaproszeniach do Wersalu zadecydowała przynależność do strefy euro, to Polska postanowiła nie przyjmować wspólnej waluty jeszcze za czasów rządów PO. A z kolei takie kraje jak Finlandia, Austria i Słowacja euro przyjęły, ale nikt ich do pałacu króla wcale nie zapraszał.

Wszystko to potwierdza podejrzenie, że szczyt wersalski był gestem mającym pokazać wolę działania i odreagowaniem irytacji na samodzielność Grupy Wyszehradzkiej. Jednak w historii zdarza się tak, że to, co bywa gestem, zamienia się w rzeczywistość polityczną. Na razie jednak Wersal to straszak dla europoprawnych elit w Polsce czy na Węgrzech pod hasłem: pociąg odjeżdża bez nas.

Dopiero na tym tle można zrozumieć decyzję Berlina i Paryża – „żadnych eksperymentów, pozostajemy przy w pełni kontrolowalnym Donaldzie Tusku".

Ci, którzy dziś twierdzą, że reelekcja Tuska była pewna od dawna, robią pewną siebie minę po wygranej rozgrywce.

Jeszcze w grudniu Tusk nie był wcale pewny swojej najbliższej przyszłości i w wywiadzie dla TVN zapowiadał walkę z tymi, którzy szkodzą Polsce, czy to w Brukseli, czy to w kraju. Poważne dzienniki spekulowały wówczas, że skoro konserwatysta Antonio Tajani dostał szefostwo europarlamentu, to socjalista – myślano o Martinie Schulzu lub Dunce Helle Thorning-Schmidt – zażąda fotela przewodniczącego Rady Europejskiej.

Z kolei jeszcze w lutym Angela Merkel odwiedziła Jarosława Kaczyńskiego i wysłuchała zapowiedzi stanowczego sprzeciwu prezesa PiS wobec kandydatury Tuska. Z otoczenia Jarosława Kaczyńskiego pochodzą informacje, że jeszcze 10 tygodni temu wysłannicy Merkel deklarowali, że Tusk nie uzyska reelekcji wobec sprzeciwu Polski.

eprasa.pl 9637e63beb

Nadzieje na zmianę na stanowisku szefa Rady Europejskiej dawały też wypowiedzi takich polityków CDU jak Elmar Brok, który jeszcze na początku lutego podkreślał na łamach „Die Welt": „Jądro Europy w przyszłości powinny tworzyć na pewno Niemcy, Francja i – jeśli to możliwe – Włochy i Polska". Wydaje się, że wszystko zmienił zaskakujący skok w sondażach Schulza i SPD.

Merkel poczuła się nagle zagrożona i uznała, że najbezpieczniejsze dla niej będzie pozostawienie na stanowisku w pełni dyspozycyjnego Tuska. Wiedziała, że jeśli mogłoby dojść do zmiany, to tylko na jakiegoś socjalistę. A na to pani kanclerz nie mogła się zgodzić. Obawiała się, że nowy, socjalistyczny szef Rady może w jakiś sposób wesprzeć Schulza w finale kampanii wyborczej w Niemczech.

A PiS na Tuska zgodzić się nie mógł i aby uniknąć zarzutu jałowej negacji, wystawił Jacka Saryusz-Wolskiego.

Gdy Niemcy zademonstrowali swoją determinację w obronie Tuska, w mniejszych krajach unijnych zwyciężył lęk przed wielkim Berlinem, wzmocniony obawą, że germański cerber uważnie obserwuje, kto nie poprze Tuska, i nie wpuści potem nieprawomyślnych do Unii „wyższej prędkości".

ZAGRAJMY TO JESZCZE RAZ

Wraz z ideą, by „Europa poszła jeszcze dalej", wraca doszczętnie, zdawałoby się, skompromitowana idea „even closer union" – jeszcze bardziej zintegrowanej Unii. Nic dziwnego – wraz z Brexitem odszedł jej najbardziej zdeterminowany przeciwnik. A Grupa Wyszehradzka jest zbyt słaba i mało solidarna, by stawiać opór unijnym utopiom.

Tym bardziej że idea pogłębionej integracji to ulubiona śpiewka unijnej lewicy, która od dawna widzi w tym szansę na unifikację ideologiczną naszego kontynentu. Socjaliści, tacy jak Schulz i Hollande, nie mają ochoty przyznawać się do jakichkolwiek błędów w kwestii polityki imigracyjnej. Za to chętnie podnoszą sztandar walki z USA Donalda Trumpa z zachodu, z Putinem ze wschodu (to już mniej wyraziście) i wreszcie z wrogiem wewnętrznym – Polską i Węgrami. Dopóki Kaczyński i Orbán są u władzy, dopóty trzeba wykorzystać dwie prędkości Unii do wypchnięcia ich na margines. Ten pomysł na mściwą karę za ideologiczne odstępstwa dobrze oddaje fragment z komentarza Barbary Wesel, brukselskiej korespondentki „Deutsche Welle":

Gdy Niemcy zademonstrowali swoją determinację w obronie Tuska, w mniejszych krajach unijnych zwyciężył lęk przed wielkim Berlinem

„W Berlinie i Brukseli każdy będzie oczywiście zaprzeczał, jakoby w Europie miał powstać system dwuklasowy. Angela Merkel raz po raz podkreśla, że wszyscy są zaproszeni do współdziałania. W praktyce jednak kraje Europy mają do wyboru: albo ścisła współpraca w dziedzinie obronności, polityki finansowej, podatkowej etc., albo życie na marginesie UE. Europa dotarła do punktu, w którym – jak się wydaje – inaczej się nie da. »Mąciwody« zaczynają się bać [...]. Budzą się ci, którzy dotąd traktowali UE tylko jako kiesę, z której czerpie się miliardy do swojego budżetu [...], polskie media stwierdzają z niepokojem, że europejski pociąg może odjechać, nie czekając na Polskę. Wiele państw członkowskich przyczyniło się do problemów Europy. Prawie nikt nie jest bez winy. Jednak wkład niektórych był szczególnie destruktywny. Jak krnąbrne małolaty robiły wszystko, by doprowadzić do rozpadu rodzinnego domu. Już w końcu tego miesiąca w Rzymie zostaną wytyczone pierwsze kierunki europejskich reform. Niektórzy mogą się wkrótce obudzić za drzwiami Europy".

Teoretycznie taki pełen mściwości, konfrontacyjny wobec Europy Środkowej ton powinien dziwić w przypadku komentatorki z Niemiec. Kraju, który w najbliższym czasie może się zmagać z wieloma problemami. Od możliwego triumfu Partii Wolności Geerta Wildersa w Holandii, niedającej się wykluczyć wygranej w wyborach prezydenckich we Francji Marine Le Pen i Fraxitu, do ochłodzenia relacji gospodarczych z USA rządzonych przez Donalda Trumpa, rosnącej wrogości Turcji i związanej z tym wizji ponownej fali uchodźczej zmierzającej do RFN.

Okładka „Do Rzeczy" z 16 marca 2015 r.

We wszystkich tych sprawach spokój w relacjach z Polską winien być dla Niemiec bardzo ważny. I być może byłby, gdyby Merkel była silna. Jednak jest słaba, a nastroje nad Renem przesuwają się na lewo. Jeśli w Niemczech wygra Schulz i powstanie lewicowa koalicja, a we Francji zwycięży centrolewicowiec Emmanuel Macron, to ze zdwojoną siłą wróci – już i tak silna – idea zmuszenia krajów wyszehradzkich do pełnej uległości.

Kanclerz Austrii, socjalista Christian Kern, już postuluje ograniczenie unijnych funduszy dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które w dalszym ciągu odmawiają przyjęcia uchodźców. „Jeśli państwa nadal będą konsekwentnie uchylały się od rozwiązania problemu migracji albo uprawiały dumping podatkowy kosztem sąsiadów, nie powinny w przyszłości otrzymywać miliardowych dotacji z Brukseli" – powiedział Kern w wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Die Welt".

Problem w tym, że zachodnia lewica snująca plany „nauczenia rozumu" kraje Wyszehradu nie znajduje żadnej przeciwwagi po prawej stronie zachodniej sceny politycznej.

Merkel aż do jesieni musi w pocie czoła walczyć o przetrwanie u władzy. We Francji konserwatysta François Fillon woli porozumieć się z Kremlem, niż zauważyć grupę V4, a hiszpańscy ludowcy wyzbyli się już dawno wszelkich ambicji w europejskiej polityce.

A w Polsce opozycja wypatruje jedynie pomocy Brukseli i już wymyśla nowy slogan: „PiS wypchnął nas z centrum Unii i tak naprawdę szykuje Polexit".

Angela Merkel jeszcze przed głosowaniem w sprawie reelekcji Donalda Tuska ogłosiła, że wybór ambitnego gdańszczanina będzie demonstracją stabilizacji Unii. Sam fakt, że nie pozwolono nawet na zaprezentowanie się Jackowi Saryusz-Wolskiemu na szczycie w Brukseli, pokazuje, jak w sytuacji kryzysu powraca dobrze znany styl zamordyzmu ze strony Berlina i Paryża. Na tyle, że doszło do precedensu – nominacji na ważne unijne stanowisko kandydata wbrew woli jego macierzystego kraju.

Trudno w tej sytuacji wierzyć, że wszystkie negatywne tendencje w Unii mogą zostać zatrzymane. Wręcz przeciwnie – mogą się nasilić. A przed krajami wyszehradzkimi stają nowe, niepokojące dylematy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Operacja „Saryusz-Wolski”

Marcin Makowski

Gowin, Bielan, Czarnecki, Kaczyński – kto wymyślił kandydaturę Jacka Saryusza-Wolskiego na szefa Rady Europejskiej w kontrze do Donalda Tuska?

Pogłoski o nominacji Jacka Saryusza-Wolskiego na kandydata polskiego rządu w wyścigu o fotel szefa Rady Europejskiej dotarły do opinii publicznej dokładnie 27 lutego. Tego dnia w „Financial Timesie” swój tekst opublikowali Henry Foy oraz Arthur Beesley i również wtedy padło nazwisko prominentnego polityka PO oraz Europejskiej Partii Ludowej, który miałby rzucić rękawicę Donaldowi Tuskowi. Chociaż wielu komentatorów wydawało się zaskoczonych tą informacją, a zainteresowany milczał, „operacja Saryusz-Wolski” nie narodziła się w zaciszu Nowogrodzkiej dwa tygodnie przed brukselskim szczytem. Nie wymyślił jej również Donald Tusk w celach dezinformacyjnych jak w wywiadzie dla radiowej Jedynki zasugerował marszałek Senatu Stanisław Karczewski (PiS).

Każdy, kto uważnie obserwował ewolucję ideową byłego wiceprzewodniczącego europarlamentu, musiał widzieć, że od czasu przejęcia władzy przez PiS oraz przeniesienia wewnątrzpolskiego sporu politycznego na arenę europejską, coś w nim pękło. Nie chodził na głosowania dotyczące nakładania sankcji unijnych na Polskę, rzadko wypowiadał się w mediach, dystansował od strategii „ulica i zagranica” lobbowanej przez europarlamentarzystów Platformy Obywatelskiej. – Jacek Saryusz-Wolski nie zmienił swojego nastawienia z dnia na dzień. Nieformalne rozmowy z przedstawicielami rządu były prowadzone przynajmniej od roku – mówi jeden z wysoko postawionych polityków PiS. Aby zrozumieć decyzję o wystartowaniu w wyścigu, w którym od początku nie miał właściwie szans na przegonienie Tuska, trzeba zrozumieć, jaką drogą Jacek Saryusz-Wolski doszedł do decyzji, którą oficjalnie ogłoszono 4 marca.

OD ZAWSZE W EUROPIE

Jak polska polityka długa i szeroka, nie ma drugiej osoby, która pod względem wiedzy i doświadczenia unijnego przewyższałaby Jacka Saryusza-Wolskiego. Nie chodzi tutaj o budowaną naprędce przez prawicę „legendę” buntownika, który przeszedł do obozu władzy, ale o fakty i życiorys, których nie da się wymazać. Wspólnotami europejskimi – od uczelni, przez funkcje negocjacyjne do roli aktywnego uczestnika – Saryusz-Wolski zajmował się właściwie od dekad. Już w latach 70. na Uniwersytecie Łódzkim naukowo badał relacje gospodarcze i ekonomiczne państw EWG, uzyskując stopień doktora nauk ekonomicznych. Następnie na własne oczy obserwował ich funkcjonowanie w praktyce na studiach podyplomowych w Centre Européen Universitaire we francuskim Nancy. Parlament Europejski odwiedził – jako jeden z nielicznych wówczas Polaków – w 1972 r.

W latach 1986–1989 należał do PZPR. Od początku powołania do życia Solidarności działał w jej lokalnych strukturach, jednocześnie kontynuując pracę akademicką, która pod koniec lat 80. zaprowadziła go na stanowisko szefa Ośrodka Badań Europejskich Uniwersytetu Łódzkiego. Stąd po upadku komunizmu droga wiodła w kierunku polityki. W styczniu 1991 r. Saryusz-Wolski został mianowany przez premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego pierwszym pełnomocnikiem ds. integracji europejskiej i pomocy zagranicznej, który pod koniec roku w imieniu Polski podpisał Układ Europejski. Jego ostatecznym i dalekosiężnym celem było członkostwo naszego kraju w EWG, która dwa miesiące później, po traktacie w Maastricht, zamieniła się w Unię Europejską.

W 1994 r. szef MSZ Andrzej Olechowski złożył oficjalny wniosek akcesyjny do UE. Pomimo rozbudzonych ambicji politycznych na Saryusza-Wolskiego nie czekały jednak teka ministra ani ważne stanowisko w krajowej polityce. Wrócił do gry, znowu w roli eksperta i sekretarza Komitetu Integracji Europejskiej, w 2000 r. – podczas negocjacji traktatu nicejskiego. Między innymi w wyniku jego pracy Polska zagwarantowała sobie fotel unijnego komisarza oraz 50 miejsc w Parlamencie Europejskim. To on, a nie Jan Maria Rokita, jako pierwszy ukuł słynne hasło: „Nicea albo śmierć”.

Cztery lata później, po unijnej akcesji, rzeczą naturalną wydawało się, że powinien kontynuować swoją pracę w Unii. Tak też się stało, a Saryusz-Wolski z teoretyka unijnej dyplomacji zamienił się w jej rozgrywającego. Do stycznia 2007 r. pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, następnie odbił z rąk niemieckiego europosła Elmara Broka stanowisko szefa komisji spraw zagranicznych. W wyniku tego ruchu funkcje przewodniczącego komisji budżetowej stracił Janusz Lewandowski, który po latach

eprasa.pl 9637e63beb

zamienił się w jednego z największych krytyków swojego niedawnego partyjnego kolegi. Jacek Saryusz-Wolski przez trzy kolejne kadencje w strukturach europejskich stopniowo „odpływał" od krajowych sporów partyjnych, zajmował się umacnianiem polityki wschodniej Unii, m.in. brał udział w ukraińskim Majdanie w 2014 r. W tym samym czasie, bez wyraźnego entuzjazmu, włączył się we wsparcie Donalda Tuska w jeszcze nieformalnym wyścigu na przewodniczącego Rady Europejskiej. Po tym wydarzeniu zaczął jednak wyciszać swoją publiczną aktywność jako polityk Platformy Obywatelskiej, z której ramienia nie doczekał się nigdy nominacji choćby na stanowisko eurokomisarza czy ministra.

KTO POCIĄGAŁ ZA SZNURKI?

Trudno dzisiaj spekulować na temat autentycznych motywacji stojących za decyzją Saryusza-Wolskiego, której konsekwencje doprowadziły go do otwartego wystąpienia przeciwko niedawnemu zwierzchnikowi partyjnemu. Nieco światła na to zagadnienie rzuca prof. Zdzisław Krasnodębski. – Decyzja Saryusza-Wolskiego nie jest niczym zaskakującym. Wiele osób od dawna pytało, co on właściwie w Platformie robi. Przecież jawnie bojkotował debaty o stanie demokracji w Polsce, nie brał udziału w głosowaniach nad rezolucjami krytykującymi Polskę. W prywatnych rozmowach można było stwierdzić między nami wiele punktów wspólnych. On od zawsze był konserwatystą, aktywnie zwalczał budowę gazociągu Nord Stream 2. W swojej wizji polityki zagranicznej ostro oponował przeciwko zbliżeniu z Rosją. Saryusz-Wolski nie podjął swojej decyzji, licząc na wysokie stanowisko. Przecież musiał wiedzieć, że nie ma wielkich szans na wygraną na szefa RE. O innych umowach z PiS nie słyszałem – dodaje europoseł PiS.

– Prywatnie Saryusz-Wolski od dawna wypowiadał się krytycznie na temat głosowania dotyczącego ewentualnego nałożenia sankcji na Polskę – twierdzi prof. Ryszard Legutko, dodając, że to kandydat merytoryczny, ale niestety to nie merytoryka decyduje w Unii o obejmowaniu najważniejszych stanowisk.

O ile odnośnie do powodów, dla których Saryusz-Wolski podjął swoją decyzję, politycy prawicy są zgodni, o tyle w kwestii genezy jego kandydatury na szefa RE panują rozbieżności. O tym, że jako pierwszy podobny pomysł zaprezentował Jarosław Gowin, mówił m.in. Adam Bielan. – To nieprawda. Za kandydaturą Saryusza-Wolskiego opowiedział się bezpośrednio Jarosław Kaczyński pod koniec lutego. Gowin wspominał o nim w jednym z wywiadów, ale ostatni raz rozmawiał z nim, gdy był jeszcze w Platformie. Bezpośrednim „egzekutorem" i osobą nadzorującą całą akcję był natomiast Ryszard Czarnecki – twierdzi jeden z europosłów PiS. Czarnecki o swojej roli w całej operacji opowiadać nie chce. – Oczywiście przed ogłoszeniem kandydatury Jacka Saryusza-Wolskiego odbywały się różne dyskusje, ale to były rozmowy poufne – odpowiada wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

– Z tego, co wiem, tydzień przed ogłoszeniem kandydatury Saryusza-Wolskiego doszło do jego spotkania z prezesem Jarosławem Kaczyńskim w hotelu Bristol w Warszawie – twierdzi z kolei prof. Krasnodębski. Inne źródła wskazują na Nowogrodzką. Natomiast większość polityków w nieformalnych rozmowach potwierdza, że przed 4 marca doszło do długiej

FOT. MACIEJ JARZĘBIŃSKI/FORUM

dyskusji pomiędzy byłym politykiem PO a prezesem PiS. – Bielan i Gowin jako pomysłodawcy kandydatury Saryusza-Wolskiego? Być może różne inicjatywy działy się równocześnie, ale nie mam wiedzy o ich bezpośrednich działaniach – dodaje prof. Ryszard Legutko.

– Ideowo Saryuszowi-Wolskiemu może bliżej do partii Gowina niż PiS – komentuje prof. Krasnodębski, odnosząc się do spekulacji o przejściu kandydata rządu do Polski Razem.

GRA PRZECIEKAMI

Z punktu widzenia „kuchni politycznej" interesujące wydaje się również źródło przecieku, za którego pomocą ogłoszono plany polskiego rządu. – Fakt, że kolejny raz po ujawnieniu dokumentów dotyczących mojej współpracy z MSZ na temat wewnętrznej polityki polskiego rządu jako pierwszy wypowiada się Henry Foy, nie przestaje mnie dziwić – mówi Matthew Tyrmand. – Albo PiS ma jakiegoś kreta w partii, który wypuszczając informację o Saryuszu-Wolskim, chciał sabotować jego kandydaturę, albo „dobra zmiana" nie ma instynktu samozachowawczego i za pomocą „Financial Timesa" chciała wysondować, jak na jego kandydaturę zareagują inne państwa europejskie. Oba warianty nie są optymistyczne – zauważa.

Innego zdania jest prof. Zdzisław Krasnodębski. – Myślę, że „Financial Times" mógł otrzymać informacje przez źródła wewnątrzunijne wspierające Tuska – mówi. – Może ktoś z prezydencji maltańskiej, której przedstawiciele nie kryli później niechęci wobec zaproszenia Jacka Saryusza-Wolskiego na szczyt w Brukseli, był źródłem przecieku? Przecież już w lutym trwały poufne konsultacje i rozeznanie sytuacji przed wysłaniem oficjalnej noty dyplomatycznej. Wtedy nieliczni politycy unijny mogli się dowiedzieć o planach rządu – wskazuje europoseł Prawa i Sprawiedliwości, dodając, że możemy mówić otwarcie o grze przeciekami, której celem było „osłabienie pozycji negocjacyjnej Polski".

Jak twierdzi dr Maciej Szymanowski, kandydatura Jacka Saryusza-Wolskiego oraz związane z nią przecieki informacji mogły być konsekwencją odejścia od nieformalnych ustaleń pomiędzy Jarosławem Kaczyńskim a Angelą Merkel. – Ewidentnie w trakcie tej gry dyplomatycznej coś się zmieniło. Kilka państw zapowiedziało przecież, że nie będzie lobbować Donalda Tuska, jeśli polski rząd go nie poprze, ale później zmieniły zdanie – mówi Szymanowski. – Powodem oczywiście może być kampania wyborcza, co widać choćby po spotkaniu w Wersalu, ale nie zmienia to faktu, że poza wiedzą opinii publicznej coś jeszcze musiało się wydarzyć. Chociaż Saryusz-Wolski został zgłoszony późno i nie miał większych szans na wybór, to niedobrze, że Unia brnie w scenariusz „my wiemy lepiej" – podkreśla. I dodaje, że właśnie takie postępowanie unijnych decydentów było jedną z przyczyn Brexitu.

– Zamiast człowieka znającego się na polityce europejskiej i takiego, który chce ją zmieniać, postawiono na Donalda Tuska. On nie ma w Unii swojego zaplecza politycznego, dlatego jest łatwy do sterowania np. przez Niemcy. Jeśli ktoś głównie siedzi i pije z Grasiem whisky, to jak je ma zbudować? – wytyka prof. Legutko. – Poparcie Niemiec dla Tuska jest o tyle zrozumiałe, że kanclerz Merkel ma teraz poważniejsze problemy przed wyborami niż otwieranie puszki z nowymi kandydatami.

CO DALEJ?

Niestety, jak można było się spodziewać, kandydatura Jacka Saryusza-Wolskiego nie znalazła uznania w oczach szefów państw Unii Europejskiej podczas unijnego szczytu w Brukseli, który odbył się 9 marca. Pytanie o polityczną ocenę podobnego ruchu to jedno, natomiast realne w tej chwili wydają się przede wszystkim pytania o przyszłość polskiego kandydata, któremu opozycja wytykała pragmatyczną motywację swojej decyzji.

– Scenariuszy na przyszłość polityczną Saryusza-Wolskiego jest wiele – mówi jeden z polityków bliski kancelarii premiera. – Nie sądzę, aby liczył na stołek szefa MSZ, ale zupełnie realna jest kandydatura „z miejsca biorącego" z list PiS w następnych wyborach do europarlamentu. W Platformie nie miałby już raczej podobnej szansy, a o powrocie do polityki krajowej mógłby przecież zapomnieć. Za dużo zbudował w Brukseli, żeby to teraz zostawiać.

– Może Saryusz-Wolski wystartuje z listy innej partii w eurowyborach? Może wróci na uczelnie? – spekuluje prof. Krasnodębski. – Gdyby zaszła kiedykolwiek taka potrzeba, mógłby być świetnym ministrem albo ambasadorem, np. przy NATO, ONZ czy w USA. Jest perfekcyjny językowo, dla takiego człowieka zawsze znajdzie się miejsce – może nie za rządów PO, ale w każdym innym przypadku tak – dodaje europoseł Prawa i Sprawiedliwości.

– To by bardzo źle świadczyło o polskiej polityce, gdyby nie znalazło się w niej miejsce dla Saryusza-Wolskiego. Nie może być tak, że ktoś pracuje całe życie na swoje kompetencje oraz pozycje i nagle ląduje na marginesie – dodaje Ryszard Legutko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Sędziowie w okopach

Rafał A. Ziemkiewicz

Prawniczy establishment to jedna z ostatnich barykad układu, który rządził przed PiS

Wniosek 50 posłów PiS podważający legalność wyboru prezes Sądu Najwyższego to dalszy ciąg wojny na kruczki prawne. Skoro „opozycja totalna", z którą zdaje się sympatyzować większość prawniczego establishmentu, chce, by prezes SN podważyła legalność wyboru prezes Trybunału Konstytucyjnego – władza daje tej drugiej możliwość podważenia wyboru tej pierwszej. Oczywiście, w pewnym uproszczeniu – prezes Przyłębska nie będzie podejmować decyzji w sprawie prezes Gersdorf osobiście, zrobi to grupa sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Jednak to ona ten skład wyznaczyła i czystym przypadkiem z piątki sędziów, których do rozpatrzenia wniosku posłów PiS delegowała, czterech wybranych zostało przez Sejm bieżącej kadencji.

PRAWNICZA WOJNA

Nie będę się wdawał w prawne zawiłości argumentacji, na której opierają swój wniosek poseł Mularczyk i sygnatariusze apelu, ale taki tryb wyboru prezesa SN stosowany był nie tylko wobec sędzi Gersdorf, lecz także jej poprzedników i wcześniej nikomu – także PiS przez ostatnie półtora roku – proceduralny szczegół, czy akt wyboru prezesa

eprasa.pl 9637e63beb

Szykujące się wzajemne zdelegitymizowanie się prezes Sądu Najwyższego (na zdjęciu) i prezes Trybunału Konstytucyjnego to tylko jedna z bitew skomplikowanej kampanii

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

nazwany jest „uchwałą", czy „wyborami", nie przeszkadzał. Rzecz wygląda więc na mocno naciąganą. Jednak przecież nie bardziej niż decyzje Andrzeja Rzeplińskiego, który „orzekając bezpośrednio na podstawie konstytucji", pozwolił sobie bez jakiejkolwiek ku temu podstawy prawnej, po uważaniu, nie dopuszczać części sędziów do orzekania czy nawet wprost odrzucał – niewygodne dla toczonej przez niego walki – zapisy konstytucji, choćby te, które nakazywały Trybunałowi procedowanie spraw – w każdej sprawie, a więc także w ocenie ustawy regulującej procedowanie spraw – zgodnie z aktualną ustawą, bo TK związany jest „domniemaniem konstytucyjności", tzn. każde prawo jest obowiązujące, zanim nie zapadnie wyrok orzekający jego nieważność.

Oczywiste naginanie prawa przez prof. Rzeplińskiego – odpowiedzą na to jego zwolennicy – było jednak tylko odpowiedzią na naginanie go przez Sejm (który unieważnił wybór całej piątki sędziów TK nominowanych przez poprzedni Sejm, a nie tylko tych dwóch, których poprzedni Sejm wybrać nie miał prawa) oraz prezydenta (który od nowo wybranych przyjął ślubowanie w nocy, aby postawić TK przed faktem dokonanym). Na to oczywiście zwolennicy władzy mają argument, że to właśnie wybór „dodatkowych" sędziów przez PO i PSL był szwindlem obliczonym na postawienie przed faktem dokonanym zwycięzców ostatnich wyborów. Gdyby bowiem PiS zachował się standardowo i zgodnie z procedurami, to Trybunał prof. Rzeplińskiego zapewne orzekłby, że wyboru sędziów PO i PSL dokonano niezgodnie z konstytucją, ale też – na mocy wspomnianej zasady domniemania konstytucyjności, którą wtedy by zapewne prof. Rzepliński uznał za obowiązującą – orzekłby, że nie wolno tak wybierać na przyszłość.

KOLEJNA LINIA OPORU

Tak, w największym skrócie, można streścić wojnę, w którą wciągnięte zostały Komisja Wenecka, Komisja Europejska i całe środowisko prawnicze. W istocie sprowadza się ona do jednego: układ rządzący od ośmiu lat, a w pewnym uproszczeniu – od czasów Okrągłego Stołu, postanowił uczynić z Trybunału Konstytucyjnego i z sądów kolejną linię obrony przed zmianami. Uznał, że skoro nie dało się zapobiec wygranej przez PiS wyborów, to da się uniemożliwić nowemu rządowi rządzenie – właśnie przez wykorzystanie tego, iż ogromna część prawniczego establishmentu to nie tylko ludzie sprzyjający PO, PSL czy ewentualnym nowym politycznym reprezentacjom elit III RP, lecz także często wręcz ich „kość z kości". Zresztą zajadłość grupy profesorów, którzy od półtora roku kursują między studiami TVN i TOK FM a wiecami KOD w całej Polsce z przesłaniem „walczyć z PiS wszystkimi dostępnymi sposobami", nie pozostawia co do tego wątpliwości.

Z punktu widzenia prawa mamy więc od samego początku do czynienia z festiwalem naginania, a od czasu do czasu otwartego łamania przepisów i procedur w imię polityki. I to po obu stronach. Obie strony bez zażenowania sięgają po wszelkiego rodzaju kruczki i konstruują piramidalne wykładnie w przekonaniu, że działają w stanie wyższej konieczności. Prawo i Sprawiedliwość nie ukrywa, że zabetonowane w wymiarze sprawiedliwości układy i patologie rodem z PRL uważa za główną przeszkodę w budowie obiecanej wyborcom IV Rzeczypospolitej. Prawniczy establishment głosi natomiast – i jego liderzy wydają się w to wierzyć – że walka o zachowanie w branży status quo to walka o wszystko – o zagrożoną wolność Polski, demokrację, prawa człowieka i obywatela. To nikt inny, tylko sama prezes Gersdorf oznajmiła wszak, że broni przed PiS „wszystkiego, co udało się osiągnąć od czasu rozbiorów".

Chociaż prawdziwymi przywódcami są w tej wojnie inni, to prezes TK i prezes SN zostały siłą rzeczy ustawione na górujących nad polem bitwy pagórkach. Owym polem bitwy i prawdziwym obiektem sporu jest zaś w tej chwili opinia środowiska sędziowskiego. Środowiska, które „opozycja totalna" próbuje od półtora roku zmobilizować wokół obrony swojego stanu posiadania, a które PiS wydaje się poddawać intensywnej pedagogice „bardziej się opłaci poprzeć zmianę, niż stawiać opór, który i tak okaże się daremny".

BITEWNY BILANS

Na razie establishment nie ma wielkich sukcesów. Udało się zainspirować rady wydziałów prawa na kilku uczelniach do przegłosowania potępiających władzę oświadczeń i pokazać w zaprzyjaźnionych telewizjach pełne sale prawników robiących „standing ovation" Rzeplińskiemu, a ostatnio Gersdorf. Jednak już pierwsze z planowanych posunięć, mających zjednoczyć środowisko przeciwko PiS, czyli „nadzwyczajny kongres sędziów" we wrześniu ubiegłego roku, delikatnie mówiąc, zupełnie nie spełniło pokładanych w nim nadziei. Nie potrafiąc wyjaśnić, jaki był klucz doboru uczestników (teoretycznie udział mógł wziąć każdy z ok. 10 tys. polskich sędziów, w istocie salę mieszczącą ok. 300 osób w znacznej części wypełnili emeryci) ani porządek

eprasa.pl 9637e63beb

obrad, organizatorzy zdecydowali się utajnić liczbę uczestników i zapis samych obrad przed dziennikarzami oraz opinią publiczną. Zamiast, jak planowano, wrażenia jedności sędziów w walce z reżimem, do mediów przebił się z tego wydarzenia jedynie fatalny dla opozycji przekaz, że sędziowie uważają się za „nadzwyczajną kastę ludzką". Nieco lepiej udał się zjazd adwokatury dwa miesiące później, ale i tam, poza ostentacyjnymi oklaskami, nie udało się niczego „opozycji totalnej" uzyskać – głównie dlatego, że adwokaci akurat bodaj najmniej ze wszystkich prawników są z obecnego działania sądów zadowoleni.

Starania jednak trwają. Na niedawnej konferencji na Uniwersytecie Śląskim pt. „Sędzia a konstytucja", którą w znacznym stopniu przekształcono w antyrządowy wiec, prof. Marek Safjan wystąpił z wezwaniem, które wcześniej wygłaszał już w mediach – o „rozproszoną kontrolę konstytucji", pod którą to nazwą rozumie po prostu ignorowanie przez sędziów orzekających wyroków Trybunału Konstytucyjnego. A nawet gorzej jeszcze – dowolne wybieranie sobie przez każdego sędziego, które z przepisów w rozpatrywanej przez niego sprawie uzna za obowiązujące, a które za „niekonstytucyjne", bo uznane za konstytucyjne przez niekonstytucyjnych z założenia „dublerów" – jak nazywa „opozycja totalna" sędziów TK wybranych głosami PiS.

Profesor Safjan nie może nie wiedzieć, że dawne orzeczenia Trybunału – z czasów, gdy jego składu nikt nie kwestionował – w tej akurat kwestii stanowią bardzo jednoznacznie: sądy powszechne nie mają prawa orzekać w kwestiach konstytucyjnych. Jeśli taki sąd uzna, że w rozpatrywanej sprawie istnieją uzasadnione wątpliwości tego rodzaju, to musi zwrócić się do Trybunału Konstytucyjnego o wykładnię. Safjan wzywa więc ni mniej, ni więcej, tylko do otwartego buntu. Można być pewnym, że tam, gdzie jego wezwanie zostanie wysłuchane, pierwszą ofiarą padną obywatele – trudno bowiem wyobrazić sobie chaos wynikający z otwartego stosowania przez kolejne instancje widzimisię sędziego czy – powiedzmy wręcz – jego poglądów politycznych. Drugą zaś, niewykluczone, sami sędziowie, bo przecież zawsze może się okazać, że organa oceniające orzeczniczy dorobek sędziów znajdą się akurat pod wpływem opcji przeciwnej.

Władza z kolei zdaje się grać na dwa sposoby. Po pierwsze, pokazuje determinację i nieprzejednanie, czego dowodem jest przyjęcie przez rząd projektu ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa w wersji nieuwzględniającej uwag zgłaszanych przez organa samorządu i stowarzyszenia sędziowskie. Po drugie, co rusz wypuszcza przecieki dotyczące konkretnych planów przyszłego zorganizowania wymiaru sprawiedliwości, i są to często pomysły dla wtajemniczonych oznaczające, że „wiele się musi zmienić, ale może się zmienić tak, że się nie zmieni". Mamy tu więc klasyczną politykę kija i marchewki. Przy czym niedwuznacznie widać sugestię, że kij jest przeznaczony dla establishmentu, a zwykli, szeregowi sędziowie mogą na przytarciu mu nosa zyskać.

KTO ZADOWOLONY?

Władza oczywiście wiąże nadzieje na udaną rewolucję z owymi szeregowymi sędziami, których obecny system – tak dobrze oceniany przez sędziowską generalicję – obciąża pracą ponad siły, i dla których owe 10 tys., niefortunnie zdezawuowane przez prezes Gersdorf, to pieniądze bynajmniej nie do pogardzenia. Liczy też na presję społeczną, pod którą się znajdują.

Strategia „ani kroku w tył" daje władzy zielone światło do potraktowania sędziów, w imię niezbędnych zmian, stanowczo

Prawniczy establishment bowiem – jak to zwykle establishment – ma naturalną skłonność do zupełnego ignorowania rzeczywistości. Zna ją z gazet, a czyta tylko te „właściwe" (charakterystyczne, że gdy pewien profesor w liście do swojej gazety był łaskaw zaatakować naszą publikację, zaczął od wylewnych wyjaśnień, że „takich gazet" nie czytuje i tylko przypadkiem wpadło mu w ręce, ktoś mu podetknął etc.), oraz z opinii znajomych, wywodzących się z tych samych elitarnych kręgów. Nie znał jej zresztą bodaj nigdy, bo przecież droga na szczyty aparatu sprawiedliwości wiodła nie przez sale sądowe i borykanie się z realnymi problemami, ale poprzez uniwersyteckie katedry i roztrząsania teoretyczne. Prezesom i profesorom łatwo więc wierzyć, że naród widzi w nich i w całym systemie, którym zarządzają, ostoję swojej wolności.

Tymczasem w społeczeństwie, mówiąc z niewielką przesadą, są tylko dwie grupy zadowolone z obecnego stanu wymiaru sprawiedliwości: ci, którzy sami go współtworzą, i ci, którzy mieli szczęście dotąd się z nim bliżej nie zetknąć. O przewlekłych terminach, gubieniu akt, sądowych pomyłkach, niekiedy tak kardynalnych jak wydawanie w bałaganie wyroków na zupełnie inne osoby, szkoda wspominać, bo od pewnego czasu temat ten nieustannie gości w mediach. Podobnie jak informacje o kolejnych bezkarnych ekscesach przedstawicieli „nadzwyczajnej kasty". Oczywiście trudno odmówić słuszności opozycji, gdy wskazuje, że zainteresowanie mediów tymi sprawami, nierzadko sprzed wielu miesięcy, „nie jest przypadkiem", i że w ten sposób propagandowo przygotowuje się „zamach" na sądownictwo. Tylko że wszystkie owe błędy i nadużycia nie są, niestety, zmyślone, co zresztą sprawia, że od tematu nie mogą uciec także media sprzyjające „opozycji totalnej". Wymiar sprawiedliwości po prostu, mówiąc potocznie, „leży", i to mimo że Polska ma znacznie więcej sędziów w proporcji do liczby obywateli oraz znacznie więcej wydaje na sądy niż średnia w Unii Europejskiej.

Strategia „ani kroku w tył", symbolizowana przez liderów takich jak prof. Safjan czy prezes Gersdorf, jest więc na dłuższą metę strategią samobójczą, bo daje władzy zielone światło do potraktowania sędziów, w imię niezbędnych zmian, stanowczo, przy poklasku opinii publicznej. Niestety, rozgrzesza to też z góry władzę z wprowadzania niekoniecznie takich zmian, które wymiar sprawiedliwości uzdrowią i uczynią lepszym dla obywateli, ale takich, które będą najkorzystniejsze dla niej i pomocne w wygraniu kolejnych politycznych wojen z kolejnymi zasiedziałymi elitami i układami III RP.

Szykujące się wzajemne zdelegitymizowanie się prezes Sądu Najwyższego z prezes Trybunału Konstytucyjnego jest więc tylko jedną z bitew w bardzo skomplikowanej i długotrwałej kampanii. Nie najważniejszą, choć zapewne bardziej widowiskową od innych. I na pewno nie ostatnią.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Przedsiębiorcy w sieci skarbówki

Łukasz Warzecha

Od 1 marca zaczęła działać wyposażona w nadzwyczajne uprawnienia Krajowa Administracja Skarbowa. Czy nowa struktura ułatwi życie uczciwym firmom?

Telewizja Polska przypomniała niedawno film „Układ zamknięty" Ryszarda Bugajskiego. Film rodził się bólach, Polski Instytut Sztuki Filmowej odmówił reżyserowi wsparcia, a realizatorzy otrzymywali groźby. Film, trudny do oglądania bez ogromnych emocji, pokazuje mechanizm niszczenia w majestacie prawa dobrze prosperującej, działającej legalnie i prężnie firmy przez klikę złożoną m.in. z naczelnika miejscowego urzędu skarbowego i prokuratora okręgowego. Niezależnie od tego, czy scenariusz rzetelnie odtworzył historię prawdziwych przedsiębiorców – Lecha Jeziornego, Pawła Reya i Grzegorza Nici – pokazał autentyczne mechanizmy, pozwalające zniweczyć plon pracy każdego biznesmena, który nie da łapówki, nie pójdzie na układ albo po prostu jest potrzebny po to, żeby skarbówka mogła się wykazać sukcesami. To miało się skończyć wraz z dojściem do władzy Prawa i Sprawiedliwości, które podczas kampanii wyborczej odmieniało zwrot „małe i średnie przedsiębiorstwa" po wielekroć przez wszystkie przypadki.

Polska skarbówka miała przez lata fatalną opinię. Potwierdziła ją za czasów Platformy. To wtedy, na początku 2015 r., na spotkaniu kierownictwa resortu z naczelnikami izb skarbowych powstała notatka – jej autorstwa wypierał się wiceminister Jacek Kapica, nadzorujący skarbówkę – w której stwierdzano, że kontrole mają przynosić dochody budżetowe. Czytaj: inspektorzy skarbowi mają za wszelką cenę starać się nakładać na kontrolowanych kary.

Wcześniej, bo już w 2013 r., fiskus jednych rozbawił, a innych przeraził twórczymi interpretacjami tego, co jest przychodem. Okazało się, że może nim być nie tylko korzystanie ze służbowego auta, lecz także ze służbowego telefonu, a nawet cateringu zafundowanego przez firmę z okazji świąt. Gorzej, że fiskalne wariacje uderzały w uczciwie prowadzone interesy. Tak jak wówczas, gdy małej firmie produkującej lizaki lodowe w Starych Bogaczowicach fiskus naliczył nagle kilkaset tysięcy rzekomo zaległego za kilkanaście lat podatku VAT, stwierdzając, że sprzedawane przez nią lody to napój, obciążony najwyższą stawką 23 proc. We wrześniu 2015 r. przedsiębiorca wygrał w tej sprawie proces przed wojewódzkim sądem administracyjnym. Jednak cóż z tego, skoro jego firma wcześniej zbankrutowała? Był to bardzo częsty scenariusz, zaś kosztów takich działań skarbówki, ponoszonych ostatecznie przez państwo, nikt nie bilansował. Nikt nie liczył, ile nas kosztują odszkodowania dla niesłusznie gnębionych biznesmenów i zasiłki dla zwalnianych pracowników. Urzędnicy skarbówki nigdy nie ponosili kary za swoje skandaliczne działania.

Nikt nie liczył, ile nas kosztują odszkodowania dla niesłusznie gnębionych biznesmenów i zasiłki dla zwalnianych pracowników

PODATKOWA STATYSTYKA

Idąc do wyborów, PiS wiedział, że będzie w trudnej sytuacji. Z jednej strony emablował mały i średni biznes, obiecując, że go doceni, że niszczenie i gnębienie się skończą, że państwo wie, jak ważne są prywatne firmy. Z drugiej wiadomo było, że koszty składanych obietnic socjalnych pójdą w dziesiątki miliardów złotych i skądś te pieniądze trzeba będzie wziąć. Jednym ze źródeł – jak się potem okazało, w zasadzie głównym, jeśli nie jedynym – zwiększenia wpływów budżetowych miało być uszczelnienie systemu podatkowego. I faktycznie – bilans za rok 2016 wygląda nieźle – to ponad 126 mld zł. Dla porównania: w 2015 r. były to 123 mld zł, w 2014 r. – 124 mld zł, w 2013 r. – 113 mld zł, a 10 lat wcześniej, w roku 2003, zaledwie 61 mld zł. Szczególne wrażenie robi statystyka za styczeń 2017 r. – wpłynęły aż 22 mld zł.

Tyle że statystyka bywa myląca. Bilans wpływów podatkowych, zwłaszcza w przypadku VAT, zależy od terminu zwrotów tego podatku przedsiębiorcom. Eksperci wskazują, że w grudniu 2016 r. wielkość wpływów z VAT niespodziewanie znacząco spadła, podczas gdy na początku tego roku nagle wzrosła. Styczniowe wpływy z tego podatku były najwyższe na przestrzeni ponad dekady. Wygląda więc na to, że to, co trzeba by zwrócić na początku nowego roku, zwrócono na koniec ubiegłego. Ten zabieg miałby na celu bardziej jednolite formalne rozłożenie ogromnych obciążeń dla finansów publicznych, które w tym roku będą rekordowe. Oczywiście od takich manewrów pieniędzy nie przybywa – jest ich nadal tyle samo. Tymczasem ogólny deficyt finansów publicznych (nie mylić z deficytem budżetowym!) niedawno przekroczył magiczną grani-

eprasa.pl 9637e63beb

cę 1 bln zł. To oznacza, że na każdego Polaka – w tym starców i dzieci – przypada zadłużenie rzędu niemal 26 tys. zł!

Po co ta wyliczanka? Skoro zasadniczym źródłem wpływów do budżetu jest podatek, płacony przez nas wszystkich, ale odprowadzany przez przedsiębiorców, czyli VAT, to można sobie zadać pytanie: Czy przypadkiem nie zacznie sprawdzać się przysłowie, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą?

KONTROLE PO STAREMU

Od 1 marca zaczęła działać nowa struktura – Krajowa Administracja Skarbowa – łącząca w jeden organizm oddzielne dotychczas organy skarbówki oraz Służbę Celną. W gruncie rzeczy KAS bazuje na istniejących dotąd strukturach, które po prostu zmieniły nazwy, np. dotychczasowa Krajowa Informacja Podatkowa stała się Krajową Informacją Skarbową. Nowością jest powołanie Służby Celno-Skarbowej (SCS), następczyni Służby Celnej, która połączyła kompetencje kontroli skarbowej i celnej. Zamiast dwóch służb dostaliśmy zatem jedną supersłużbę, przed którą niektórzy przestrzegają jako przed złowrogą policją skarbową.

KAS wyposażono w nadzwyczajne uprawnienia. Wprawdzie większość kontroli ma się wciąż odbywać „normalnie", czyli na podstawie przepisów Ordynacji podatkowej, z uwzględnieniem gwarancji, jakie przedsiębiorcom daje Ustawa o swobodzie działalności gospodarczej, ale w niektórych przypadkach będzie inaczej. KAS może bowiem np. rozpocząć kontrolę bez wcześniejszej zapowiedzi, „na legitymację" (art. 62 Ustawy o KAS). Ma też prawo do przeprowadzenia przeszukania bez nakazu prokuratorskiego „w przypadkach niecierpiących zwłoki". Prokurator ma ocenić zasadność podjętych działań dopiero po fakcie (art. 77 Ustawy o KAS). Dodatkowo KAS otrzymała uprawnienia do samodzielnego prowadzenia śledztw w niektórych sprawach kryminalnych, „w związku z którymi nastąpiło uszczuplenie lub narażenie na uszczuplenie należności publicznoprawnej". To przestępstwa takie jak udział w zorganizowanej grupie przestępczej czy używanie dokumentów poświadczających nieprawdę. Ma także zapobiegać tym przestępstwom oraz ścigać ich sprawców, o ile zostały ujawnione przez KAS (art. 2 Ustawy o KAS).

Kontrola skarbowa w firmie jest ogromną uciążliwością. Dlatego problematyczny wydaje się art. 63. ustawy, który w ustępie 1. potwierdza, że kontrola „powinna" (słowo, które prawnicy potrafią interpretować na wiele sposobów) trwać nie dłużej niż trzy miesiące, ale w kolejnym punkcie stwierdza: „O każdym przypadku niezakończenia kontroli celno-skarbowej we właściwym terminie zawiadamia się pisemnie kontrolowanego, podając przyczyny przedłużenia terminu zakończenia kontroli celno-skarbowej i wskazując nowy termin jej zakończenia". W praktyce oznacza to, że trzymiesięczny termin traci jakiekolwiek znaczenie.

Szczególny niepokój wywołuje norma, która – zdaniem niektórych – jest wręcz niekonstytucyjna. Oto art. 83. punkt 6. Ustawy o KAS stwierdza, że od decyzji pokontrolnej, podjętej przez dany urząd celno-skarbowy, podatnikowi będzie przysługiwać odwołanie do naczelnika tegoż urzędu. Innymi słowy – pierwsza instancja staje się zarazem drugą. Naczelnik urzędu celno-skarbowego, przeprowadzającego kontrolę, staje się sędzią we własnej sprawie.

Inna sprawa, że – jak wskazują eksperci – część tych szczególnych uprawnień w istocie nie jest nowa. Ustawa o KAS sankcjonuje jedynie niepożądaną, ale utrwaloną praktykę. Jak pisze w analizie dla Business Center Club dr Irena Ożóg, była wiceminister finansów: „Już dzisiaj organy podatkowe wszczynają kontrole bez uprzedniego zawiadamiania podatnika, uzasadniając to żądaniem organu prowadzącego postępowanie karne skarbowe lub weryfikacją zasadności zwrotu VAT. W warunkach walki z oszustwami w VAT i dominującą liczbą kontroli dotyczących tego podatku zasada zawiadamiania o zamiarze wszczęcia kontroli stała się w zasadzie wyjątkiem. Zatem przepisy o kontroli celno-skarbowej, mówiące o wszczynaniu kontroli bez zawiadomienia, utrwalają aktualny stan rzeczy".

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZBIOROWA

Samo Ministerstwo Finansów uspokaja. „Po wejściu w życie od 1 marca 2017 r. Krajowej Administracji Skarbowej większości przedsiębiorców nie dotkną żadne zmiany w zakresie kontroli podatkowej, która dotyczy około 90 proc. przypadków i jest przeprowadzana przez pracowników urzędów skarbowych, głównie na podstawie przepisów Ordynacji podatkowej. Procedura przebiegu pozostaje tu niezmieniona i tak jak dotychczas kontrole podatkowe będą podlegać ograniczeniom z ustawy o swobodzie działalności gospodarczej" – czytamy na stronie resortu.

Sprawa nie jest jednak tak oczywista. Teoretycznie rzecz biorąc, specjalne przepisy mają służyć wyłącznie walce z oszustami. Do znudzenia powtarzana jest fraza: „Uczciwi nie mają się czego bać". Czy faktycznie? Weźmy kwestię solidarnej odpowiedzialności w przypadku oszustw na podatku VAT. Jak tłumaczy Cezary Kaźmierczak, szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, oszuści do swoich VAT-owskich karuzel włączają często firmy uczciwe i całkowicie legalne, żeby uwiarygodnić swoje przedsięwzięcia. Solidarna odpowiedzialność oznacza jednak, że w przypadku oszustwa firmy

eprasa.pl 9637e63beb

krzaki znikną, ich faktyczni mocodawcy także, zostaną tylko figuranci, czyli „słupy", oraz właśnie uczciwe firmy. I to po ich majątek sięgnie fiskus, skoro nie jest w stanie namierzyć faktycznych sprawców procederu.

Ustalając solidarną odpowiedzialność, państwo oczekuje, że kontrahent będzie każdego swojego partnera w biznesie traktował jako potencjalnie podejrzanego, a najlepiej, gdyby przed podpisaniem umowy wynajął do sprawdzenia jego rzetelności agencję wywiadu gospodarczego. Tym samym przedsiębiorca miałby praktycznie przejąć od państwa funkcję sprawdzania uczciwości innych podmiotów gospodarczych.

Tego oczywiście nikt robić nie chce – to zbyt kłopotliwe i kosztowne. Solidarna odpowiedzialność uderza zatem głównie w uczciwe, nowe, niewielkie firmy. Stateczni kontrahenci, którzy mogliby podpisywać umowy z takimi przedsiębiorstwami jako podwykonawcami, wolą unikać ryzyka oraz zbędnego wysiłku i ograniczają krąg swoich kooperantów do firm już ustatkowanych, doskonale znanych i stabilnych.

WINA USTAWY

Tymczasem – mówią zgodnie Kaźmierczak oraz Andrzej Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha – polskim problemem jest nie to, że organy kontroli miały zbyt małe kompetencje lub kary były zbyt niskie, ale sama ustawa o podatku od towarów i usług.

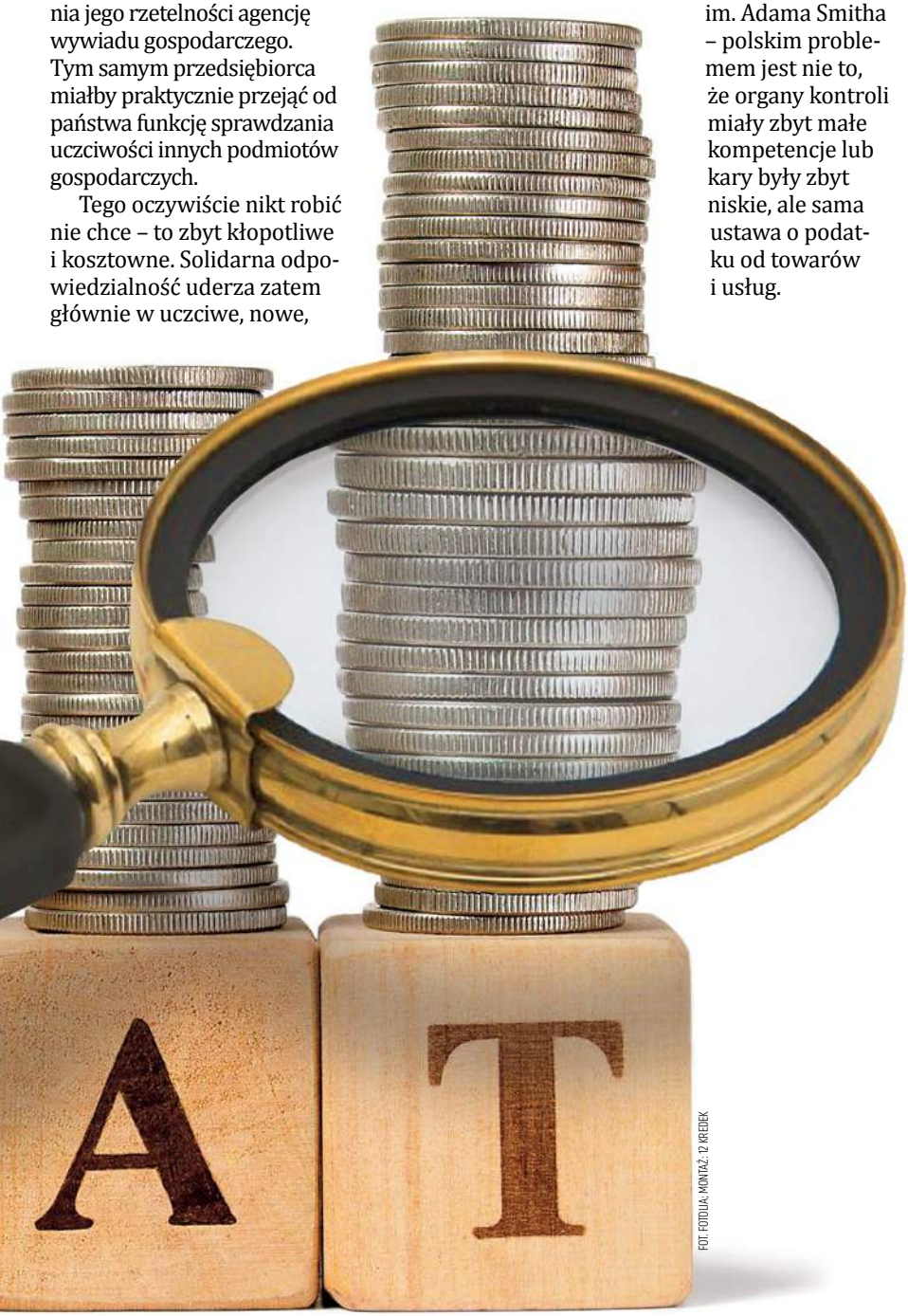

FOT. FOTOLIA, MONTAŻ: I2 KREDEK

Krąży taka anegdota. W trakcie procesu o wyłudzenia VAT jako biegłego powołano prof. Witolda Modzelewskiego, głównego architekta tego podatku. Sędzia przedstawił swoją interpretację sprawy, z którą nie zgodził się profesor. Sędzia swoje, profesor – z miejsca dla świadków – swoje. W końcu Modzelewski, nieco zirytowany, powiada: „Kto w końcu pisał ustawę o VAT – wysoki sąd czy ja?!". Nawet jeśli nie jest to historia w stu procentach autentyczna, to i tak świetnie oddaje istotę rzeczy: ustawa o VAT, szczególnie w obecnej postaci, po niezliczonych poprawkach, daje gigantyczne możliwości nadużyć – ale także interpretacji ze strony skarbówki, a więc niszczenia uczciwych firm.

Warsaw Enterprise Institute opublikował niedawno raport zatytułowany „VAT – kluczowy problem polskiego systemu podatkowego". Dowiadujemy się z niego m.in., że głównym kryterium oceny urzędników skarbówki jest wysokość dokonanych przez nich ustaleń. Czyli – w uproszczeniu – im większe kwoty nadużyć dany urzędnik wykaże, tym lepiej będzie oceniony przez przełożonych. To patologia, bo ważne są same ustalenia, a nie to, co z nich ostatecznie wynika. Nieistotne, jak skończy się sprawa, ile pieniędzy ostatecznie trafi do budżetu, czy sąd na koniec przyzna rację przedsiębiorcy albo ilu ludzi straci pracę w wyniku błędnych decyzji urzędnika, który bezzasadnie rozłoży firmę na łopatki. Powstanie KAS niczego tu nie zmieni.

Uprawnienia, jakie otrzymuje KAS, nie budziłyby takich obaw, gdyby system i pracujący w nim ludzie nie byli z zasady i nawyku wrodzy przedsiębiorcy. Jest niestety inaczej, a grozę wzmaga wprowadzona niedawno do Kodeksu karnego z inicjatywy Zbigniewa Ziobry – choć przy sprzeciwie bardziej liberalnie nastawionych członków rządu – kara 25 lat pozbawienia wolności za oszustwa od 10 mln zł wzwyż. Tutaj znów powstaje pytanie: Co to w praktyce oznacza? Czy zgodnie z zasadą solidarnej odpowiedzialności na 25 lat za kratki może trafić uczciwy przedsiębiorca, którego złapali w siatkę oszuści? A nawet jeśli postępowanie sądowe wykaże brak winy, to życie takiego człowieka, o firmie nie mówiąc, będzie już zapewne leżało w gruzach. Tak jak życie bohaterów „Układu zamkniętego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Kamila Baranowska

Sprawa wyboru Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej przywróciła polityczny spór na stare tory: PiS kontra Platforma. Ryszard Petru od czasu nieszczęsnej podróży do Portugalii pozostaje w defensywie

Cień Portugalii

FOT. ROBERT OSTROWSKI/EAST NEWS

Ostatnie wydarzenia nie sprzyjają Ryszardowi Petru i jego formacji. Sprawa wyboru Donalda Tuska na kolejną kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej sprawiła, że rolę głównej przeciwwagi dla rządu PiS znów zaczęła odgrywać Platforma Obywatelska. I choć Ryszard Petru dwoił się i troił, by zostać zauważonym jako obrońca Donalda Tuska, to i tak palmę pierwszeństwa w naturalny sposób dzierżyli w tej sprawie posłowie oraz europosłowie Platformy.

– Wystosowałem pismo z wyrazami poparcia dla Donalda Tuska na stanowisko szefa Rady Europejskiej. Uważam, że Tusk jako jedyny Polak ma szanse na to stanowisko. W sytuacji, kiedy grozi nam Europa trzech prędkości, ważne jest to, żeby szefem Rady był Polak, który miałby szanse minimalizować te prędkości – grzmiał Petru na konferencji prasowej. W rozmowie z Wirtualną Polską nie szczędził zaś mocnych słów pod adresem Jacka Saryusza-Wolskiego, do niedawna europosła PO, którego polski rząd wystawił w kontrze do kandydatury Tuska. – To jest skundlenie. Jak on może patrzeć w lustro po tym wszystkim? Jest ktoś, kto lubi takie osoby, poniżone, sponiewierane, bez charakteru, to Jarosław Kaczyński – mówił.

NOWOCZESNA MŁODZIEŻÓWKA

Ten radykalizm Petru nie dziwi, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że jego partia regularnie traci poparcie w sondażach. Nowoczesna od początku roku we wszystkich badaniach przegrywa z Platformą. W najnowszym Kantar Millward Brown dla TVN24 Nowoczesna ma 11 proc. poparcia i traci aż 13 proc. względem poprzedniego badania, podczas gdy PO zyskuje 9 proc. i cieszy się 24-procentowym poparciem. W ostatnim IBRIS dla „Rzeczpospolitej" partia Ryszarda Petru ma 11,6 proc. poparcia, przy 18,1 proc. dla Platformy. W lutowym CBOS jest jeszcze gorzej, bo Nowoczesna ma jedynie 9 proc. przy 17 proc. dla PO. W styczniowym TNS Nowoczesna ma także 9 proc., ale z partii opozycyjnych wyprzedza ją już nie tylko Platforma z 19 proc., lecz także Kukiz'15 z 12-procentowym poparciem.

– Nie jestem zaskoczony takim rozwojem sytuacji – mówi „Do Rzeczy" prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Podział z lat 2005–2006 ujawnił i utrwalił wiele osi zróżnicowania życia politycznego w Polsce. Ton polityce nadają dziś wyborcy

eprasa.pl 9637e63beb

z pokolenia 50- i 60-latków, a dla nich punktem odniesienia szybciej będą Jarosław Kaczyński i Schetyna, czyli weterani wojny PiS i PO. Nasz dwubiegunowy system polityczny jest stabilniejszy, niż się nam wydaje – tłumaczy.

– Nowoczesna ma problem z odróżnieniem się od Platformy, te różnice są nieczytelne, a wyborca zawsze ostatecznie wybierze oryginał, nie podróbkę. Nowoczesna sprofilowała się na pokolenie 30–40-letnich pracowników korporacji i działa na zasadzie młodzieżówki Platformy. Istnieje duża szansa, że jej wyborcy z wiekiem odpłyną do PO – dodaje.

Paweł Rabiej z zarządu Nowoczesnej przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy", że gorsze sondaże działają na partię motywująco. – Mamy przekonanie, że trzeba zacisnąć zęby i ciężko pracować. Wśród naszych działaczy mamy dużo osób z doświadczeniem biznesowym czy społecznym i one są przyzwyczajone także do stawiania czoła sytuacjom trudnym – mówi. – Mobilizuje nas bardzo choćby zbieranie podpisów pod referendum edukacyjnym. Mamy dużo energii i zapału i nie nadążamy z inicjatywami, zwłaszcza w regionach – dodaje.

Sondażowe spadki Nowoczesnej i defensywa tej partii to w dużej mierze także efekt grudniowej wyprawy Ryszarda Petru i posłanki Joanny Schmidt do Portugalii. Wyjazd na urlop w sytuacji, gdy w Sejmie trwały protest i okupacja sali plenarnej, a z ust polityków opozycji padały pełne patosu słowa o obronie demokracji, wolności i praworządności, mocno nadwerężył wiarygodność lidera Nowoczesnej i całej formacji. A to właśnie wiarygodność była najmocniejszą kartą tej partii. Nowoczesna w przeciwieństwie do PO jawiła się jako partia świeża, z nowymi twarzami, z energią i ambicjami do bycia lepszą wersją Platformy. Zwłaszcza gdy na czele tej ostatniej stanął Grzegorz Schetyna, polityk, któremu zarzucano brak charyzmy i zdolności przywódczych, który objął kierownictwo partii w momencie, gdy ta była w rozsypce po dwukrotnie przegranych wyborach.

W tej sytuacji na Platformie krzyżyk postawili nie tylko najradykalniejsi przeciwnicy PiS, którzy swoją sympatię przerzucili na Petru i Komitet Obrony Demokracji, lecz także większość sympatyzujących z opozycją komentatorów i ekspertów.

Ryszard Petru niemalże nie wychodził ze studiów telewizyjnych, co zapewniło mu ogromną rozpoznawalność mimo strzelanych regularnie gaf. Czuł się bardzo pewny siebie. Do tego stopnia, że sam okrzyknął się liderem opozycji.

– W analogicznej sytuacji był kiedyś Janusz Palikot, którego określiłem niegdyś lewicą mianowaną przez część elit opiniotwórczych. Jego przykład, a teraz przykład Petru dowodzą, że nie warto wierzyć w siłę mediów elektronicznych i marketingu politycznego i nie da się traktować polityki jak pracy w korporacji. Trzeba po staremu pisać obszerne programy, mozolnie budować struktury i latami pracować na to, by w newralgicznym momencie móc skrzyknąć tłum ludzi na demonstrację – wskazuje prof. Chwedoruk.

SAMORZĄDOWY SPRAWDZIAN

Struktury i pieniądze to coś, z czym Nowoczesna ma dziś największe problemy. Na dodatek mocno nie sprzyja jej kalendarz wyborczy – najbliższe w kolejce są najtrudniejsze, zwłaszcza z punktu widzenia mniejszych partii, wybory samorządowe. To one będą pierwszym realnym sprawdzianem sił partii.

– Mówiłem o tym wielokrotnie Ryszardowi, że wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie. Polska powiatowa będzie decydować, w którym kierunku kraj pójdzie po wyborach. My tam, w tych powiatach, jesteśmy obecni – tłumaczył Schetyna w wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy" w lutym ubiegłego roku.

Platforma od dawna już myśli o wyborach samorządowych i o tym, czy uda się jej utrzymać władzę w 15 sejmikach, w których dziś współrządzi. Tymczasem Nowoczesna z nieporównanie słabszymi strukturami i nieporównanie mniejszymi pieniędzmi (które na dodatek musiała w części zwrócić, gdyż PKW zakwestionowała jej sprawozdanie wyborcze) może mieć poważne problemy ze skonstruowaniem list wyborczych w powiatach oraz gminach.

Dzisiaj Ryszard Petru zaczyna rozumieć, co go czeka. I zaczyna mówić Schetyną. – Koncepcja polega na tym, by przekonać tych, którzy się wahają, by zagłosowali na nas [...]. Najważniejsze, by nie być totalną opozycją, tylko starać się przytulić tych, którzy zagłosowali na PiS, wiedzą, że zrobili źle, ale w tym momencie nie czują powodu, by zagłosować na nas – wyjaśniał niedawno.

Paweł Rabiej przekonuje, że Nowoczesna ma dobrze rozwinięte struktury i od dłuższego czasu przygotowuje się już do wyborów samorządowych. – Jesteśmy spokojni, bo wiemy, że wbrew obiegowym opiniom organizacyjnie jesteśmy dobrze przygotowani. Mamy powołanego głównego koordynatora wyborczego, mamy szefów sztabów w regionach, mamy programy regionalne i pomysły. Od ubiegłego roku prowadzimy kompleksowe szkolenia dla działaczy, nawiązujemy kontakty i rozmowy z lokalnymi środowiskami, grupami oraz osobami, które chciałyby kandydować z naszych list. Rozglądamy się od dawna i widzimy, że zgłasza się do nas sporo osób. Na dziś niewiele jest miejsc w Polsce, gdzie możemy mieć jakieś trudności z wystawieniem list – twierdzi.

Mimo to Ryszard Petru namawia dziś Platformę na prawybory i wspólne listy opozycji.

– Rozmawiając o wyborach samorządowych, proponuję prawybory, które byłyby realizowane we wszystkich dużych miastach, ale nie na bazie naszych członków, nie na bazie sondaży, natomiast na bazie wszystkich mieszkańców danego miasta – zapowiedział w Wirtualnej Polsce.

WSPÓLNY SZYLD

Pytanie: Jaki interes miałaby mieć w tym Platforma? – Wyborcy PiS mieliby nam wybierać naszych kandydatów? Nie, to nie jest dobry pomysł. Poza tym to by prowadziło do rywalizacji pomiędzy naszymi partiami, a nie do porozumienia – odpowiedział w „Gazecie Wyborczej" Grzegorz Schetyna. – Chcemy stawiać na bezpartyjnych kandydatów, którzy mają zaufanie lokalnych organizacji obywatelskich i wokół nich budować koalicje – dodaje. Pytany o wspólne listy mówi o możliwości wspólnych kandydatów na prezydentów miast, wójtów czy burmistrzów, a nawet o wspólnych listach do sejmików. Tyle słowa. W praktyce jednak Platforma stawia na własnych kandydatów. Schetyna bez żadnych konsultacji z Nowoczesną przedstawił niedawno prof. Alicję Chybicką jako kandydatkę Platformy na prezydenta Wrocławia.

– Grzegorz Schetyna szybko zrozumiał, że Nowoczesna i KOD były przedsięwzięciami, które miały rozbić Platformę. Po pewnym wahaniu ostatecznie zakwestionował logikę wspólnego szyldu i tym samym uratował siebie i PO. Na dziś jego diagnoza wydaje się trafna – uważa prof. Chwedoruk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Przeszłość ambasadora

Wojciech Wybranowski

W teczce TW „Wolfganga" oprócz zobowiązania prof. Andrzeja Przyłębskiego do współpracy z SB nie ma dokumentów, które świadczyłyby, że rzeczywiście ją podjął

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

Gdy prof. Andrzej Przyłębski, członek Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Lecha Kaczyńskiego w Poznaniu, był dopiero kandydatem na ambasadora RP w Berlinie, w „Do Rzeczy" jako pierwsi informowaliśmy o jego rejestracji jako tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa. Cezary Gmyz ujawnił w maju 2016 r., że prof. Przyłębski jako TW „Wolfgang" w latach 1979–1980 miał współpracować z komunistyczną bezpieką. Sam Przyłębski w rozmowie z naszym tygodnikiem zaprzeczał podjęciu współpracy z SB.

Kilkanaście dni temu jednak nazwisko Przyłębskiego jako tajnego współpracownika SB znalazło się w zbiorach internetowego „Inwentarza Archiwalnego IPN", a RMF ujawniło część dokumentów z teczki TW „Wolfgang" – wśród nich zobowiązanie Przyłębskiego do współpracy z SB. Z dokumentów ma wynikać, że Przyłębski zgodził się na współpracę w zamian za zgodę na wyjazd zagraniczny. Sprawa wywołała polityczną burzę. Opozycja domaga się odwołania ambasadora.

– Zobowiązanie do współpracy Przyłębskiego nie jest standardowym drukiem podsuwanym przez SB. Ambasador Przyłębski był bardzo zaangażowany emocjonalnie i intelektualnie we współpracę z SB – oskarżał poseł Jan Grabiec, rzecznik klubu parlamentarnego PO, w programie TVN24. To nieprawdziwe zarzuty. „Do Rzeczy" zapoznało się z dokumentami z liczącej w sumie 40 stron teczki TW „Wolfgang".

TAJEMNICE TECZKI

Najważniejszym dokumentem jest zobowiązanie do współpracy z SB, które prof. Andrzej Przyłębski podpisał w 1979 r. Zanim do tego doszło, Przyłębski najprawdopodobniej co najmniej trzy razy był wzywany na rozmowę. Po ujawnieniu sprawy teczki prof. Przyłębski przekonywał dziennikarzy, że jeśli nawet „coś podpisał", to zrobił to w wyniku szantażu. – Niewykluczone, że szantażowany na okoliczność niewydania paszportu, mogłem podpisać jakieś zobowiązanie [...]. Ale nawet jeśli je podpisałem, to było to wymuszone pod groźbą nie tylko odmowy paszportu, lecz także relegacji ze studiów za kolportaż pism antykomunistycznych – powiedział portalowi wPolityce.pl. Później odmówił rozmów z dziennikarzami.

Tymczasem w aktach TW „Wolfgang" widnieje też notatka ppor. Romana Karpińskiego, funkcjonariusza SB: „Pozyskanie mam zamiar przeprowadzić na zasadzie dobrowolności [...]. Sądzę, że TW kierując się motywami patriotycznymi, wyrazi zgodę na współpracę z SB".

Jak wynika z dokumentów, 9 czerwca 1979 r. Przyłębski przekazał funkcjonariuszowi SB informacje na temat środowiska studentów UAM w Poznaniu i krążących wśród nich biuletynów Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Jednak informacje, które uzyskał esbek, były ogólne, nieprecyzyjne, niepozwalające na zidentyfikowanie opozycjonistów. SB rozwiązała współpracę z TW „Wofgang" już 17 maja 1980 r., bo Przyłębski przeszedł na indywidualny tok studiów.

– W tych dokumentach, które do tej pory zostały przedstawione, istnieje wyłącznie zobowiązanie do współpracy i jedno doniesienie – mówi „Do Rzeczy" prof. Antoni Dudek, były członek Rady IPN. – W mojej ocenie sprawa nie jest poważna i nie dyskwalifikuje prof. Przyłębskiego również dlatego, że na tle innych spraw jego współpraca była krótkotrwała, niezbyt efektywna.

Naukowiec zwraca jednak uwagę, że dla PiS sprawa stanowi poważny problem wizerunkowy, bo partia Kaczyńskiego chce uchodzić wśród wyborców za prolustracyjną i dekomunizacyjną.

W dokumentach zgromadzonych w teczce Przyłębskiego nie ma materiałów, które wskazywałyby na jego przydatność dla bezpieki. Jedyny dokument, który można by nazwać „informacją", to opis Romana N., kolegi Przyłębskiego, który wyjechał do USA. Przyłębski opisuje w notce m.in. drogę, którą N. przez Szwecję i Berlin Zachodni

eprasa.pl 9637e63beb

trafił do Nowego Jorku. W tej informacji nie ma wielu szczegółów, a sam dokument może też budzić zastrzeżenia co do pewnych manipulacji. Tytuł „notatki operacyjnej" jest dopisany innym charakterem pisma niż cały dokument. Jeden z naszych informatorów zastanawia się, czy nie jest to zapis oficjalnej rozmowy przeprowadzonej w budynku MO, gdzie Przyłębski zabiegał o paszport, a następnie przerobionej na „notatkę operacyjną". Zwraca przy tym uwagę, że dokument podpisany jest nazwiskiem obecnego ambasadora, a nie jak standardowo w przypadku TW – pseudonimem.

Z dokumentacji SB wynika, że Przyłębski krótko po podpisaniu zobowiązania do współpracy z bezpieką poinformował swoich znajomych o całej sytuacji, a także o tym, że bezpieka ma ich na celowniku. W dokumencie: „Wyciąg – inform. operacyjna od rezydenta »Stanisław«" sporządzonym 11 czerwca 1979 r., a więc dwa dni po podpisaniu przez Przyłębskiego zobowiązania do współpracy, agent SB donosił, że Przyłębski poinformował go o rozmowie z bezpieką. „W wyniku tej rozmowy zdecydował się [Przyłębski – przyp. red.] pojechać do swoich kolegów, od których rzekomo otrzymał Biuletyn PPN i ostrzec ich przed rozmowami z SB na ten temat. […] Na podstawie prowadzonych z nim rozmów wnioskuję, że nie jest związany z opozycją, a postępowanie jego wobec kolegów, którzy są [nieczytelne słowo] w opozycji, wypływa z solidarności koleżeńskiej" – donosił „Stanisław".

Ważne jest także to, czego w teczce TW „Wolfgang" nie ma. A nie ma np. teczki pracy tajnego współpracownika. Oznaczać to może, że z punktu widzenia bezpieki – mimo formalnie podpisanego zobowiązania do współpracy – Przyłębskiego nie traktowano jako źródła. Arkusz Kontroli Osobowego Źródła Informacji w teczce „Wolfgang" pozostał niewypełniony. W dokumentach znajduje się również obszerny „Plan szkoleń", ale nie ma raportów ze szkoleń, w których Przyłębski miałby uczestniczyć. Szkolenie mogło się więc nie odbyć. Nie ma też żadnych informacji o wynagrodzeniach, które SB miałaby przekazywać „Wolfgangowi". Kwestionariusz jest niewypełniony.

Część dokumentów SB zawiera natomiast informacje rozbieżne. Na przykład w notatce informującej o spotkaniu werbunkowym, funkcjonariusz SB twierdzi, że odbyło się ono w hotelu Konin. Tymczasem z notatki innego z esbeków, który miał kontrolować Przyłębskiego, wynika, że miało to miejsce w KW MO.

– Sprawa jest dość typowa, młody człowiek chciał wyjechać za granicę, więc zgłosił się na wyznaczone mu spotkania. Na pewno z punktu widzenia SB Przyłębski miał być tajnym współpracownikiem, natomiast z punktu widzenia postępowania lustracyjnego i zasad lustracji można mieć do tego poważne wątpliwości – mówi „Do Rzeczy" Grzegorz Majchrzak, historyk IPN.

PIS WIEDZIAŁ, NIE POWIEDZIAŁ?

Wątpliwości można mieć jednak również do działań kierownictwa PiS, które dysponując informacjami o niechlubnym zobowiązaniu Przyłębskiego, zdecydowało się go skierować na ważną placówkę dyplomatyczną. Jeden z bliskich współpracowników Jarosława Kaczyńskiego mówi nam, że prezes PiS miał o sprawie wiedzieć m.in. dzięki ubiegłorocznej publikacji „Do Rzeczy".

– Profesor Przyłębski został skierowany na placówkę do Niemiec, bo miał doświadczenie w relacjach dyplomatycznych z Niemcami, jest tam szanowany, ma bardzo dobre kontakty. Niemieckie środowiska wpływu bardzo skutecznie docierają do polskich, pozyskują sympatię za pomocą stypendiów i grantów. Naszemu obozowi trudno było znaleźć w tej grupie kogoś, kto byłby asertywny wobec Niemców. Przyłębski dawał takie gwarancje – mówi nam polityk PiS z bliskiego otoczenia Kaczyńskiego.

Część posłów zastanawia się, dlaczego sprawa wypłynęła właśnie teraz, choć znana była po publikacji „Do Rzeczy" niemal od roku. Pojawiają się teorie spiskowe, według których mogło chodzić np. o uderzenie w Julię Przyłębską, prezes Trybunału Konstytucyjnego i żonę ambasadora.

– Powodów może być kilka, jeden to na pewno wojna o Trybunał Konstytucyjny, ale być może chodzi też o zablokowanie ustawy o służbie zagranicznej – uważa Adam Bielan (PiS), marszałek Senatu. – To przyniesie odwrotny efekt. Pilnie notujemy wszystkie antykomunistyczne i prolustracyjne deklaracje Platformy, przypomnimy je, gdy dojdzie do głosowania nad ustawą.

MSZ przygotowało projekt ustawy o służbie zagranicznej, który niebawem trafi pod obrady rządu. Ma ona m.in. usunąć z szeregów dyplomatów tajnych współpracowników PRL-owskich służb.

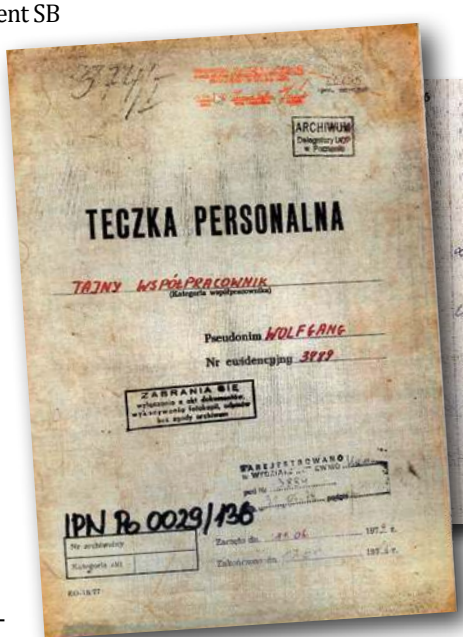

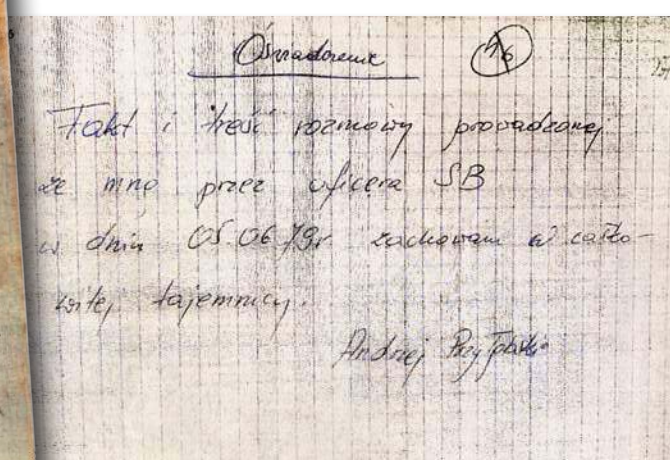
Oświadczenie
Fakt i treść rozmowy prowadzonej ze mną przez oficera SB w dniu 05.06.79r zachowam w całkowitej tajemnicy.
Andrzej Przyłębski

Teczka TW „Wolfganga" FOT. IPN

Poseł Kukiz'15 Piotr Apel uważa, że sprawa przeszłości ambasadora będzie dla PiS rodzajem testu. – Prawo i Sprawiedliwość mówi o dekomunizacji życia publicznego, również dyplomacji, przygotowało ustawę, a teraz się okaże, jak postąpi we własnej sprawie – mówi parlamentarzysta.

Biuro Lustracyjne IPN wdrożyło procedurę weryfikacji oświadczenia lustracyjnego ambasadora Przyłębskiego, a sprawa ma zostać potraktowana priorytetowo. Kierownictwo MSZ czeka na stanowisko IPN lub Sądu Lustracyjnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Tweet za

Agnieszka Niewińska

Są oskarżenia, ostre słowa i walka na zdjęcia. Do tej pory państwo Zaradkiewiczowie spierali się z posłanką PiS Krystyną Pawłowicz w Internecie. Teraz przeniosą się na salę sądową

Pawłowicz służyła wiernie razem ze swoją przyjaciółką HGW, komunie Utrzymuje ścisłe przyjaźnnie z osobami z pezetpeerowskiej nomenkleatury" [pisownia oryginalna – przyp. red.] – napisała na Twitterze Joanna Zaradkiewicz, mama prof. Kamila Zaradkiewicza, do niedawna dyrektora Zespołu Orzecznictwa i Studiów Trybunału Konstytucyjnego.

Profesor Zaradkiewicz zasłynął krytyką TK za prezesury Andrzeja Rzeplińskiego. W głośnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" stwierdził, że wyroki TK nie zawsze są ostateczne, a potem ostro spierał się nie tylko z sędziami TK, lecz także z politykami opozycji, udzielał dziesiątków wywiadów, był stałym gościem TVP. Wygląda jednak na to, że rodzice prof. Zaradkiewicza – Joanna i Zygmunt Zaradkiewiczowie – zaczynają prześcigać go medialną popularnością. Ich spór z posłanką PiS Krystyną Pawłowicz rozgrzewa Internet do białości.

Walka toczy się nie tylko na słowa, lecz także na obrazki. Zaradkiewiczowie opublikowali zdjęcie prof. Krystyny Pawłowicz podającej rękę prof. Magdalenie Środzie. „Jak wytłumaczyć to zdjęcie K. Pawłowicz?" – pyta Joanna Zaradkiewicz. Internauci odpowiadają, publikując tę samą fotografię przed jej przycięciem. Zrobiono ją w studiu radiowym. Po audycji, której „emocje sięgnęły zenitu" – jak opisuje to Polskie Radio na swojej stronie – Pawłowicz, Środa i Joanna Kos-Krauze podały sobie ręce. Kiedy jeden z tweetujących pisze, że Środa nie dorasta Pawłowicz do pięt, Zygmunt Zaradkiewicz ripostuje: „Wow, nie zauważyłem, że używa szczudeł!".

Na fotograficzną ripostę internautów nie trzeba długo czekać. W odpowiedzi na zdjęcie ze Środą opublikowali inne, na którym Zygmunt Zaradkiewicz, w latach 2011–2014 dyrektor Muzeum Karykatury, wręcza Hannie Gronkiewicz-Waltz sympatyczny obrazek. Namalowana na nim pani prezydent ma całe miasto na głowie. „Znanego artystę znają różni i o jego względy zabiegają" – odpowiadał Zaradkiewicz. I dołączył list do Gronkiewicz-Waltz, w którym zażądał od niej zwrotu obrazka po tym, jak został zwolniony z pracy w muzeum. Joanna Zaradkiewicz zwolenników Pawłowicz wysyła do konfesjonału: „Polecam spowiedź i żal za grzechy". Każda ze stron ma swoich sekundantów, a niektórzy komentują, że tego widowiska nie sposób śledzić bez popcornu.

Profesor Kamil Zaradkiewicz zasłynął w mediach krytyką byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

W OBRONIE SYNA

Państwo Zaradkiewiczowie to artystyczne małżeństwo z podwarszawskiego Izabelina. Joanna Zaradkiewicz jest autorką teatralnych scenografii, Zygmunt Zaradkiewicz – artystą grafikiem. Angażują się w działalność lokalną, mają już za sobą funkcje w samorządach. Chętnie wdają się w internetowe dyskusje. Zwłaszcza Joanna Zaradkiewicz, która najwyraźniej jest twitterową neofitką. Chociaż konto założyła we wrześniu 2016 r., to zdążyła „ćwierknąć" przeszło 13,8 tys. razy. Zbliża się już do znanego z zamiłowania do twitterowej komunikacji Radosława Sikorskiego, który ma na koncie 18,4 tys. tweetów, z tym że z serwisu korzysta nie od siedmiu miesięcy, a od siedmiu lat. Joannie Zaradkiewicz nie sposób odmówić ciętego języka i ostrych ripost. Oprócz złośliwości pod adresem Pawłowicz komentuje politykę, podnosi wątki narodowe i patriotyczne. Często pisze o wielkich przodkach – gen.Kazimierzu Tumidajskim zamordowanym przez NKWD w 1947 r.

Skąd zatem spór z prof. Pawłowicz, skoro zapewne obie panie mogłyby znaleźć wiele tematów do wspólnej rozmowy? Sęk w tym, że prof. Pawłowicz od początku była nieufna w stosunku do prof. Kamila Zaradkiewicza. Jeszcze w maju 2016 r., kiedy profesor był rozchwytywany przez media, napisała dla serwisu wPolityce.pl tekst zatytułowany „Zaradkiewicz nie jest bohaterem!". Pisała m.in. że „dobrze się odnajdywał przez 15 lat w biurach TK jako ulubieniec kolejnych prezesów i sędziów". Stwierdziła nawet, że w Sejmie plotkowano, iż to on był pomysłodawcą kontrowersyjnego artykułu dającego PO-PSL możliwość wyboru pięciu sędziów na zapas. Przestrzegała, że może lobbować na rzecz środowisk LGBT.

Profesor Pawłowicz z detalami przytacza nam chronologię sporu. – Zaraz po moim artykule z maja ubiegłego roku dostałam e-mail od pani Zaradkiewicz. Miała do mnie pretensje, że pomawiam jej

eprasa.pl 9637e63beb

tweet

syna o lewactwo, twierdziła, że to krzywda dla rodziny. Odpisałam jej, że moja wypowiedź nie dotyczyła ani jej, ani rodziny, a wyłącznie działalności prof. Kamila Zaradkiewicza. W kolejnym e-mailu powoływała się na swojego przodka, dowódcę AK. Pisała, że poświęconą mu tablicę odsłaniał prezydent Lech Kaczyński. Potem jednak zamilkła. Nagle w listopadzie ubiegłego roku ojciec pana Zaradkiewicza zaatakował, a wręcz zaszantażował mnie na Twitterze, pisząc, że szkaluję tych, których uważam za konkurencję do stanowiska sędziego TK. W lutym tego roku niespodziewanie – także na Twitterze – zaatakowała mnie matka pana Zaradkiewicza. Napisanie, że razem „z przyjaciółką Gronkiewicz-Waltz służyłam wiernie komunie" i że utrzymuję „ścisłe przyjaźnie z osobami z pezetpeerowskiej nomenkleatury", to bzdury i oszczerstwa. Hanna Gronkiewicz-Waltz nie była moją przyjaciółką, a znajomą z miejsca pracy, z wydziału prawa, gdzie pracowałyśmy razem 36 lat. Z „komuną" nie miałam nic wspólnego, a i Gronkiewicz-Waltz, choć źle jej zrobiło wstąpienie do PO, nie była i nie jest komunistką. Dałam pani Zaradkiewicz czas na usunięcie tego wpisu, bo rozumiem, że jako matka chce bronić syna. Czas już jednak minął, sprawę przekazałam do sądu – mówi „Do Rzeczy" prof. Pawłowicz. Po tweecie Zaradkiewicz w serwisie wPolityce.pl i na swoim Facebooku opublikowała kolejny artykuł. „Ponownie OSTRZEGAM PRZED K. ZARADKIEWICZEM!" – napisała i podtrzymała swoje wątpliwości z maja 2016 r.

Profesor Kamil Zaradkiewicz sprawy nie chce się komentować. – Nie znam pani Pawłowicz i nie zamierzam publicznie komentować jej insynuacji pod moim adresem. Tak jak już zapowiedziałem, podejmę w tej sprawie kroki prawne – mówi.

Profesor Pawłowicz: – Gdzieś przeczytałam, że państwo Zaradkiewiczowie zamierzają mnie pozwać do sądu. Ja jednak przywołałam tylko fakty i osobiste opinie o sytuacjach, w których brałam udział lub o których dowiedziałam się od wiarygodnych osób – mówi. – Nie bez powodu piszę, że pan Kamil Zaradkiewicz swymi poglądami sprzyja lobby homoseksualnemu. Był wychwalany jako najlepszy kandydat na sędziego TK przez prof. Mirosława Wyrzykowskiego, sędziego TK w stanie spoczynku, znanego z tego, że sprzyja środowiskom LGBT. Pan Zaradkiewicz powiela zresztą naukowo tezy prof. Wyrzykowskiego odnośnie do małżeństw osób homoseksualnych. Powszechnie dostępny jest zapis konferencji naukowej „Interes publiczny a interes prywatny w prawie", która odbyła się na Wydziale Prawa i Administracji UW w 2012 r. W trakcie dyskusji pan Zaradkiewicz wywodził, że art. 18 konstytucji nie wyklucza małżeństw gejowskich. W środowisku prawniczym krąży również jego artykuł „Małżeństwa osób homoseksualnych i związki partnerskie w świetle konstytucji RP". To pełna prawna propozycja uregulowania sprawy małżeństw homoseksualnych. Tezy zostały mocno podparte obszerną literaturą. Nie wiem, dlaczego artykuł nie został opublikowany, ale mam jego kopię.

SEJMOWE PLOTKI

Spór Zaradkiewiczowie vs Pawłowicz dla polityków PiS może być kłopotliwy. W czasie awantury wokół TK chętnie powoływali się na słowa prof. Zaradkiewicza, w związku z jego zwolnieniem z Trybunału złożyli skargę do RPO. – Kto wykorzystywał prof. Zaradkiewicza? – pyta zdziwiony poseł PiS Arkadiusz Mularczyk. – Występowaliśmy w sprawie jego zwolnienia, bo było wątpliwe. Jeśli się powoływałem na jego słowa, to w tych sprawach dotyczących TK, w których podzielałem formułowane przez niego opinie. Spraw rodzinnych pana Zaradkiewicza komentować nie będę, bo nie mam wiedzy na ten temat – ucina poseł, gdy pytamy o spór Zaradkiewiczów z jego partyjną koleżanką.

Posłanka Pawłowicz nie ma pretensji do partyjnych kolegów, że mimo jej przestróg powoływali się na słowa prof. Zaradkiewicza. – Był wewnątrz Trybunału, co sprawiało, że był bardziej wiarygodny. Ja jednak pamiętałam go z sejmowych prac nad nową ustawą o TK przeforsowaną przez PO. Przychodził do Sejmu z prezesem Rzeplińskim i wspierał go prawnie. Ani przy uchwalaniu tej niekonstytucyjnej ustawy, ani potem nie protestował, kiedy PO wybierała pięciu sędziów „na zapas". Może pan Zaradkiewicz, tak jak słyszałam, walczył o jedno z tych miejsc dla siebie. Być może i teraz zabiegał o stanowisko sędziego. Sejm wskazał jednak prof. Jędrejka. Tego nie wiem na pewno, ale przypuszczam, że tym można tłumaczyć ostatni atak państwa Zaradkiewiczów na mnie i zmianę frontu, bo pan Zaradkiewicz zaczął już krytykować obecną prezes TK – zastanawia się.

– Z żadnym z polityków PiS nigdy nie rozmawiałem na temat stanowiska sędziego Trybunału Konstytucyjnego – odpowiada stanowczo prof. Kamil Zaradkiewicz, kiedy pytamy, czy PiS nie obiecywał, że powoła go na sędziego TK.

I chociaż część internautów apeluje do prof. Zaradkiewicza, jego rodziców i posłanki Pawłowicz o zakopanie topora wojennego, to akurat na to nie ma chyba co liczyć. Joanna Zaradkiewicz tylko podgrzewa atmosferę na Twitterze: „Czekam na pozew absolwentki Wydz. Prawa UW z czasów PRL p. Pałowicz, która dopuszcza się oszczerstw. Wiele spraw wyjdzie na jaw".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Posłanka PiS Krystyna Pawłowicz już złożyła pozew przeciw matce prof. Zaradkiewicza

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

eprasa.pl 9637e63beb

FOT. ROBERT GARDZINSKI / FORUM

Z Janem Wróblem, publicystą, nauczycielem
rozmawia Wojciech Wybranowski

Nie czuję pętli na szyi demokracji

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Starasz się o pracę u Jacka Kurskiego? Pytam, bo po tym, jak w programie Radia TOK FM krytycznie zrecenzowałeś spektakl „Klątwa", Jacek Żakowski zasugerował, że zabiegasz o zatrudnienie w TVP i że twoją wypowiedzią powinny zająć się władze radia.

JAN WRÓBEL: Na razie jednak jest tak, że to mnie proponują pracę, a nie o nią zabiegam, więc nie prosiłem o nią Jacka Kurskiego. Nie rozmawiałem też na ten temat ani z Jackiem Żakowskim, ani z kierownictwem Radia TOK FM. Generalnie uważam sprawę za zakończoną.

Czyli burza w szklance wody i tylko mocna wymiana poglądów?

Myślę, że o wymianie poglądów można mówić w przypadku recenzji „Klątwy", bo tu są dwie różne opinie: moja i Jacka Żakowskiego. Nie jest natomiast poglądem naciskanie na kogoś, by porzucił pracę. Zwłaszcza że wydaje mi się, iż w tym zawołaniu, bym sobie gdzieś poszedł, do tych innych „złych", „gorszych", kryje się pewna forma apartheidu kulturowego: Jak to możliwe, by wśród „nas" mógł z pełnymi prawami funkcjonować ktoś, kto ma poglądy, które „nam" nie odpowiadają? Mogę powiedzieć tyle: nigdy bym nie napisał tekstu o hitlerowskim przesłaniu „Klątwy", nie użył tych słów na antenie, gdybym nie widział zatrważającego dla mnie afirmatywnego stosunku do tego przedstawienia przedstawicieli warszawskiej elity intelektualnej.

Część opinii publicznej mówi, że w imię godności, wolności i szacunku ta sztuka nie powinna nigdy zostać pokazana w teatrze publicznym. Inni – że właśnie w imię wolności powinna być pokazywana.

eprasa.pl 9637e63beb

Najlepsza byłaby taka sytuacja, gdyby to przedstawienie zostało pokazane w teatrze publicznym, za publiczne pieniądze, a następnie ostro skrytykowane przez polską inteligencję i wystawione poza nawias. Wiesz, gdy byłem młodym człowiekiem, głośno mówiono o Jacku Kuroniu jako czołowym opozycjoniście. Gdy słyszałem jego nazwisko, czułem w sercu wzruszenie. Nieco później, w latach 80., gdy zostałem prawicowcem w Ruchu Młodej Polski, w którym działałem, była maniera, by o Kuroniu mówić źle jako o jednym z ludzi, którzy ciągną w stronę lewicy. Dla mnie było to wielkie odkrycie, zachwyciłem się, że jestem taki młody, a już taki mądry, wiem, że to żadna legenda, tylko zwykły lewicowiec. Minęło wiele lat i pewnego dnia mój kolega, prawicowiec, Rafał Matyja, podczas jednej z rozmów zdziwił się, że nie czytałem Kuroniowej „Winy i kary". Mówię mu: „No co ty? Lewaka będę czytał?!". Na to Rafał się zasmucił, mówi, że powinienem po nią sięgnąć, bo to bardzo piękna książka. No to przeczytałem i stwierdziłem, że to rzeczywiście bardzo piękna książka. Ogarnęło mnie takie wzruszenie jak w czasach, gdy miałem 17 lat, i do dziś mi nie przeszło. Chociaż Kuroń nie jest z mojej bajki, to dla mnie nadal wzruszająca, skomplikowana postać. Dlaczego o tym mówię? Ponieważ wiem, że po przedstawieniu „Kuroń" w innym teatrze bardzo wielu ludzi, dawnych znajomych, przyjaciół Jacka Kuronia, wychodziło zniesmaczonych, bo nie przedstawiono go takim, jakim oni go zapamiętali albo jakiego go sobie wyobrażali. Mówili, że postać przekłamano, że ci młodzi aktorzy nie zdają sobie sprawy z tego, jak wtedy było. A teraz niech sobie państwo wyobrażą, drodzy państwo kuroniowcy – do nich się tu zwracam – że byłoby to nieco inne przedstawienie, taka „Klątwa Kuronia", a samego Kuronia zaatakowano by takimi metodami, jakimi przyatakowano Jana Pawła II, który dla wielu osób jest nawet większy od Kuronia. Czy też zachowaliby państwo ten sam rodzaj dystansu, argumentowali, że jest to artystyczna prowokacja, że wolność wypowiedzi artysty, że tylko kołtun się oburza?

Skoro mówimy o wolności, to co z tą, którą ponoć zabiera nam „okupacyjna władza PiS"? To określenie często pada z ust przedstawicieli liberalnej lewicy.

Wolność jest dzisiaj w takim samym stopniu zagrożona przez rząd PiS, w jakim była zagrożona za rządów Donalda Tuska. Obie strony sporu politycznego bardzo chętnie uciekają w etykietki i określenia takie jak te cytowane przez ciebie. Wielu ludzi, którzy dzisiaj są po stronie rządu, w okresie rządów Tuska uważało, że państwo nie jest niepodległe, że Tusk realizuje niemieckie interesy, być może Putina. Ludzie bardzo łatwo ulegają emocjom. Ja tego nie robię w sprawach politycznych, bo wiem, ile w tych emocjach kryje się kłamstwa, manipulacji, samooszukiwania się, PR-owskich zagrań. Dziwię się, że my, dziennikarze, nie skupiamy się na demaskowaniu tych kłamstw ani PR, ale na szukaniu słabości jednej czy drugiej strony. Notabene druga strona jest słaba. To, co dzisiaj ma na ogół do powiedzenia lewicowo-liberalna grupa, ten obóz anty-PiS, zazwyczaj nie jest intelektualnie specjalnie ciekawe ani mądre. I co z tego? To nie oni rządzą.

A jednak to ta „druga strona" i niektórzy bliscy jej dziennikarze mówią o zagrożonej wolności, bliskiej faszyzacji państwa, straszą Majdanem, nawołują do wyjścia na ulice w obronie wolności.

Wychodzić na ulicę zawsze warto, bo lepsze są emocje ujawnione niż syczące po domach. Natomiast moim zdaniem zakres wolności i demokracji w Polsce jest ogromny, niezmącony. Nie ukrywam – nie jestem szczególnym zwolennikiem Trybunału Konstytucyjnego, więc gdy PiS zabrał się do jego demontażu, nie miałem z tego powodu wrażenia, że demokracja w Polsce się chwieje. Chociaż oczywiście rozumiem takie emocje wśród moich kolegów, nie wykluczam też, że to oni mogą mieć rację, ale dla mnie Trybunału Konstytucyjnego w ogóle może nie być. Jednak nie oznacza to, że będę popierał to, iż PiS zastąpił TK trybunałem partyjnym. W mojej ocenie najgorszy Trybunał Konstytucyjny jest lepszy od najlepszego trybunału PiS-owskiego. Reasumując – w ogóle nie ma we mnie poczucia, jakoby jakaś pętla zaciskała się wokół szyi polskiej demokracji. Natomiast muszę stwierdzić, że wszystkie patologie, z którymi mieliśmy do czynienia w czasach PO, zostały przez PiS pogłębione. Jeżeli PO obsadzała swoimi ludźmi wiele stanowisk, to PiS robi to znacznie bardziej. Jeżeli PO nie pytała rodziców o zdanie – co zrobić np. ze szkołami – to PiS robi to jeszcze bardziej. I tak możemy długo jeszcze wymieniać.

Moim zdaniem zakres demokracji w Polsce jest ogromny, niezmącony

„Zamach" na Trybunał Konstytucyjny cię nie przeraża. A „zamach" na niezależność władzy sądowniczej, o którym mówi opozycja?

„Przeraża" to może złe słowo, ale na pewno niepokoi. Uzasadnienie przez PiS zmian, jakie chce wprowadzić w Krajowej Radzie Sądownictwa, jest niespójne z inną deklaracją PiS, według której proponowane zmiany mają doprowadzić do reformy systemu sądowego, przyspieszenia spraw sądowych i krótszej „ścieżki" obywatela w sądzie. Wpływanie lokalnych ośrodków PiS na obsadzenie kierowniczych stanowisk w miejscowych sądach swoimi ludźmi na pewno ani nie uprości procedur sądowych, ani nie przyspieszy spraw, nie poprawi jakości pracy.

Nie ma co jednak udawać, że wymiar sprawiedliwości funkcjonuje dobrze. Zaufanie do sądów i sędziów spada, próby samooczyszczenia środowiska sędziowskiego w mojej ocenie to raczej gra pozorów.

W sprawie sądownictwa w Polsce jest kilka mitów. Jeden z nich brzmi: na tle europejskiego sądownictwa jest ono powolne i niewydolne. Jest powolne na tle najlepszych systemów sądowniczych w Europie, np. brytyjskiego. Bez trudu jednak znajdziemy państwa, w których polskie sądy, np. gospodarcze – jeśli chodzi o trafność i szybkość podejmowania decyzji – są w czołówce, a nie w ogonie. Walkę o to, by sądy były lepsze, trzeba zacząć od stwierdzenia, co jest dzisiaj ich bolączką, co zrobiono, a czego nie zrobiono. Oczywiście wymiarem sprawiedliwości w Polsce trzeba mocno potrząsnąć, również personalnie. Nie można jednak udawać, że to zespół polskich sędziów będzie wymieniał sędziów w sytuacji, gdy w rzeczywistości tych sędziów będzie wymieniać zespół polityków. Jeżeli partia rządząca przez półtora roku usilnie pracuje na wizerunek ugrupowania, które poza własnym PiS-owskim interesem niczego nie widzi, i jest gotowa do skrajnie politycznych rozwiązań w domenie publicznej, to nie można się dziwić, że kiedy przychodzi do reformy sądów, odbiór całej sprawy przez ludzi normalnych – nie mówię tu o antypisowskich wariatach – jest negatywny, na zasadzie: „Odpieprzcie się od sądów!". Lekarz, którego znam z nieudanych trzech amputacji, nie jest dobrym kandydatem do czwartej operacji, nawet gdy gołym okiem widać, że operacja jest konieczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Polonijne święto

Grzegorz Drymer z Londynu

Polska ambasada w Wielkiej Brytanii zaplanowała Dzień Dziedzictwa Polskiego. Jak wypadnie polskie święto w chwili Brexitu?

Polskie media w Wielkiej Brytanii informują o inicjatywie ambasady RP w Londynie, która ma na celu stworzenie na Wyspach corocznego święta Polaków i polskości. Polish Heritage Day, czyli Dzień Dziedzictwa Polskiego, odbywałby się w pierwszy weekend po 3 maja. Ambasada chce temu świętu patronować, koordynując akcje oddolne licznych polskich organizacji na Wyspach.

Ambasada tłumaczy w oficjalnym komunikacie, że projekt ma zaszczepić na stałe obyczaj obchodów święta 3 Maja: „W jego ramach skoordynowane zostaną przedsięwzięcia prowadzone przez polskie organizacje, szkoły sobotnie i parafie na terenie UK. Projekt będzie realizowany rokrocznie […], by na trwałe zagościć w kalendarzu lokalnych wydarzeń jako Polski Dzień w Wielkiej Brytanii. Celem projektu jest wspólne świętowanie i upamiętnienie przez zamieszkałych w Zjednoczonym Królestwie Polaków – przy okazji Dnia Polonii i Polaków za Granicą oraz Dnia Flagi RP przypadających 2 maja, jak i Święta Konstytucji 3 maja – dziedzictwa przeszłych pokoleń, polskiego wkładu w życie kulturalne, gospodarcze i społeczne Wielkiej Brytanii, oraz podkreślenie pozytywnej roli, jaką niemal jednomilionowa polska społeczność odgrywa w Zjednoczonym Królestwie".

– Dzień Dziedzictwa Polskiego ma budować mosty i promować polski model integracji oparty na przyjaznych relacjach i dumie z naszego narodowego dziedzictwa – mówił ambasador Arkady Rzegocki, który na początku stycznia wraz z konsulem generalnym Krzysztofem Grzelczykiem oficjalnie zainaugurował inicjatywę.

Rzegocki powołał się na Dzień św. Patryka, który jest świętem Irlandczyków.

– Polaków jest jeszcze więcej i Dzień Dziedzictwa Polskiego może być jeszcze bardziej widoczny. Irlandczycy podczas swojego narodowego święta ubierają się na zielono, Polacy mają piękne biało-czerwone barwy. Idealnie byłoby zobaczyć je 6 i 7 maja 2017 r. podczas Polish Heritage Day – powiedział.

Rzegocki dodał, że organizacje, które się włączą w inicjatywę, mogą liczyć na wsparcie finansowe. Konsul ujawnił, że wiele stowarzyszeń polonijnych już się szykuje do majowego święta, a część brytyjskich samorządów przyklasnęła inicjatywie i 6–7 maja w widocznych miejscach wywieszą polskie flagi. Czy i inne polskie placówki w innych krajach podchwycą ten pomysł? – Jeśli to się sprawdzi w Wielkiej Brytanii, mam nadzieję, że tak – mówi „Do Rzeczy" ambasador Rzegocki.

RADOŚĆ I OBAWY

Niebawem będzie wiadomo, jaki jest odzew polskich organizacji społecznych na Wyspach. Większość ma własne ustalone kalendarze imprez – również takich, które wychodzą poza polskie środowisko – i nie wiadomo, czy zechcą je przenieść na maj. Wiele ma utarte od dziesiątków lat metody kultywowania polskości wbrew temu wszystkiemu, co płynęło przez dekady komunizmu z oficjalnych polskich placówek. Inne zarzucały jednak w ostatnich latach polskiemu MSZ, że nie dość je wspierało i zapewne chętnie skorzystają z pomocy ambasady przy okazji święta Polaków.

Część emigracyjnych działaczy mówi z rezerwą o intencjach ambasady. Wolą wypowiadać się anonimowo, aby oddzielić prywatne poglądy od wizerunku swych organizacji i nie zaszkodzić im w oczach polskich władz.

– Nie jestem przeciwny tej inicjatywie. Już dawniej podkreślaliśmy próbę spopularyzowania w Anglii 3 maja jako polskiego święta konstytucji i miałem na ten temat pogadanki w szkołach angielskich – mówi „Do Rzeczy" jeden z nich. – Nie widzę żadnego powodu, dlaczego nie moglibyśmy wzmocnić naszego polskiego profilu, kiedy tyle innych narodowości to robi. Żałuję tylko, że ambasada za mocno się w to angażuje, kiedy inicjatywa powinna wypływać od samych organizacji lokalnych.

– Ja też nie mam nic przeciwko świętowaniu Dnia Polskiego Dziedzictwa, ale obawiam się, że zaangażowanie ambasady może ludzi dzielić politycznie – mówi dyrektor dobroczynnej grupy pomocowej służącej imigrantom, którym powinęła się noga. – Fundusze z MSZ będą mile widziane, daj Boże zdrowie, tylko co jeszcze będzie im towarzyszyć? Jakie próby oddziaływania?

Znany działacz katolicki uważa, że plan Polish Heritage Day w takiej formie to pomysł chybiony. – Zwłaszcza łączenie obchodów z Dniem Flagi i państwowym świętem konstytucji może wywołać niepotrzebne napięcia – zauważa. – Oby nie było czegoś takiego, jak ostentacyjne przejazdy polskich bikerów z powiewającymi, biało-czerwonymi proporcami po śmierci Polaka w Harlow w hrabstwie Essex.

Jego zdaniem sztandarowe zadanie nowej akcji – zachowanie polskiego dziedzictwa – spełniała dotąd wzorowo diaspora powojenna, służąc swymi instytucjami kolejnym falom emigracji, aż do najnowszej. – Wojenna emigracja potrafiła znakomicie przechować narodową tradycję, zorganizować się w wiele towarzystw, klubów, kół i parafii, a także w pełni wtopić się w życie Wielkiej Brytanii – argumentuje. – Zabrało jej to kilka dziesiątków lat i prezentowanie

eprasa.pl 9637e63beb

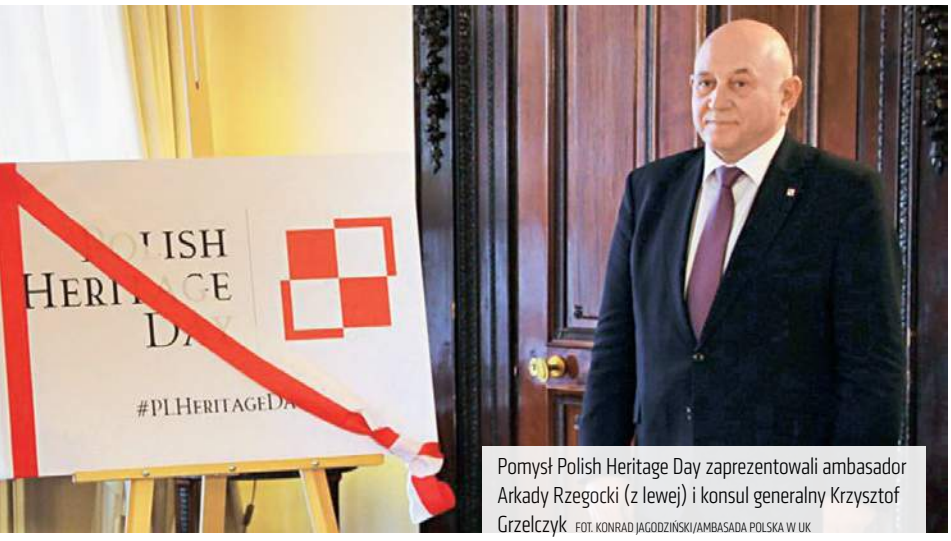

Pomysł Polish Heritage Day zaprezentowali ambasador Arkady Rzegocki (z lewej) i konsul generalny Krzysztof Grzelczyk FOT. KONRAD JAGODZIŃSKI/AMBASADA POLSKA W UK

im teraz programu „zachowania dziedzictwa narodowego" jako jakiegoś novum uwłacza wysiłkom tych organizacji, takich jak Anglo-Polish Society powstała jeszcze w 1832 r.

OKIEM MIEJSCOWYCH

Pozostaje jeszcze aspekt odbioru inicjatywy Dnia Dziedzictwa Polskiego przez Brytyjczyków. Jeśli towarzyszyć jej będzie atmosfera kultury albo festynów muzyczno-kiełbaskowo-piwnych w biało-czerwonej oprawie, to będą w stanie trafić do Brytyjczyków, którzy lubią dobrą rozrywkę, zabawę i każdą kuchnię. Uważać trzeba jednak z elementami „patriotyczno-dydaktycznymi", bo brytyjska psychika źle znosi patos i dydaktyzm. Tymczasem ambasador Rzegocki mówił „Do Rzeczy": – Niestety, wiedza Brytyjczyków o Polsce ciągle jest niewystarczająca i jest wielka szansa, żeby tę wiedzę uzupełnić. To najwyższy czas przy tych tak bliskich relacjach, które teraz są. Myśmy już wiele lat temu zainicjowali ideę lotniczej szachownicy jako symbolu nie tylko polskiego wkładu w wolność Wielkiej Brytanii, lecz także polskiej obecności w ogóle.

Pewien niepokój może też budzić wyjątkowość sytuacji, w której ambasada obcego, choć zaprzyjaźnionego kraju patronuje potężnej imprezie w barwach narodowych angażującej być może setki tysięcy imigrantów w trudnym do pogodzenia podwójnym zamiarze podkreślenia ich odrębności, a zarazem dobroczynnego wkładu w życie brytyjskie. Irlandzka dyplomacja nie patronuje obchodom Dnia św. Patryka, próżno byłoby szukać podobnych motywacyjnych działań ambasad Francji, Włoch, Hiszpanii i Portugalii, choć w Londynie roi się od ich obywateli. Podobnie poselstwa rządu Jej Królewskiej Mości w Paryżu i Madrycie nie organizują masówek dla setek tysięcy brytyjskich „expats" zamieszkałych w tych krajach.

Widać więc, że nowa inicjatywa nie będzie wolna od pułapek. Będzie za to mocno widoczna, więc wystawi na próbę i ocenę milionową polską społeczność w delikatnym i przełomowym momencie, bo na starcie Brexitu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

III Europejski Kongres Samorządów
27-28 marca 2017, Centrum Kongresowe ICE Kraków
SAMORZĄDY W OBLICZU WYZWAŃ XXI WIEKU

Miejsce spotkań liderów samorządowych z organizacjami pozarządowymi, nauką, biznesem, przedstawicielami ministerstw i agend rządowych – blisko 2000 osób

Ponad 60 wydarzeń – paneli, bloków programowych, wykładów, prezentacji, warsztatów – podzielonych na siedem ścieżek tematycznych

Nagroda Kongresu „Lider Samorządu" dla najlepszych włodarzy polskich miast i gmin: prezydentów, burmistrzów i wójtów

forum@isw.org.pl www.eks-krakow.pl
#EKS2017 @ForumEkonomiczne

Miasto Gospodarz EKS: KRAKÓW krakow.pl

eprasa.pl 9637e63beb

Niechciana

Magdalena Ogórek

Polscy urzędnicy nie chcieli zwrotu zagrabionych przez nazistów dzieł sztuki – bo chciał je oddać syn esesmana

RZYM, 4 LIPCA 1949 R. „Leżę w łóżku i ledwo dyszę, mam gorączkę. [...] Wczesną porą nadal miałem ponad 39 st. C, pojechałem jednak autobusem w miasto, niestety na stojąco, ponieważ autobus był pełny, i poszedłem od razu do znanego mi od dłuższego czasu lekarza. Zbadał mnie: płuca i wszystko w porządku, najpewniej jakieś wyziębienie, które łapie się tutaj dość łatwo. [...] Potem pojechałem do siebie, jechałem 20 km jak osłabiona mucha. Mam nadal ponad 39 stopni, cieszę się, że lekarz przygotuje mi herbatę i mam nadzieję, że do jutra wydobrzeję" – te słowa skreśla do małżonki mieszkającej pod Wiedniem 48-letni Otto von Wächter. Austriak, jeden z ulubieńców Heinricha Himmlera, zbrodniarz wojenny, ukrywa się w Rzymie. Czeka na przerzut do Argentyny.

Otto von Wächter nie wie, że będzie to jeden z jego ostatnich listów. Trawiony coraz wyższą gorączką, trafia do szpitala Santo Spirito. Umiera miesiąc później – 14 sierpnia 1949 r. Lekarze zapisują w karcie choroby: „Przyczyna zgonu – żółtaczka zakaźna".

WIEDEŃ, MAJ 2015 R. Przy okazji prywatnej wycieczki do stolicy Austrii odwiedzam Kunsthistorisches Museum. Zaglądam tam chętnie – posiadają jedną z piękniejszych galerii malarstwa niderlandzkiego.

Sala Bruegla mami feerią barw. Wzrok przyciąga dynamika „Walki karnawału z postem". Ów niezwykły widok przywołuje wyblakłe wspomnienie o tym, że taki sam lub podobny obraz znajdował się w polskich zbiorach jeszcze przed wybuchem II wojny. Myśl ta, niczym natrętna mucha, towarzyszy mi odtąd do końca wiedeńskiego pobytu.

Po powrocie sprawdzam fakty – jedną z wersji „Walki karnawału z postem", namalowaną przez Piotra Bruegla, posiadało Muzeum Narodowe w Krakowie. W 1938 r. polską „kopią" interesują się Austriacy – Kunsthistorisches Museum wysyła do Krakowa specjalnego wysłannika, prof. F. Sochora, by zbadał krakowski obraz. W Wiedniu do dzisiaj leżą zrobione przez niego fotografie. To ostatnie zdjęcia polskiej własności. W grudniu 1939 r. „Walka karnawału z postem" znika z Krakowa. Wszystkie tropy wskazują bezsprzecznie na jednego człowieka: SS-Gruppenführera Ottona von Wächtera, wówczas gubernatora dystryktu krakowskiego. Po 1945 r. po obrazie Bruegla – podobnie jak po Wächterze – ginie wszelki ślad.

W 2015 r. A. Rydell napisze, że w latach 1938–1945 Kunsthistorisches Museum stanowiło jedną wielką składnicę zrabowanych przez Niemców i Austriaków dzieł sztuki, a po II wojnie światowej muzeum nigdy nie rozliczyło się ze swojego stanu magazynowego.

WARSZAWA, CZERWIEC 2015 R. Po intensywnej kwerendzie naukowej wiem więcej. W Austrii, godzinę drogi od Wiednia, mieszka jedno z pięciorga dzieci Wächtera – 76-letni Horst. Przede mną dociera do niego tylko brytyjski profesor Philippe Sands.

Podczas pierwszego kontaktu reaguje szorstko. „Jeśli pani ma jakieś dowody, że moi rodzice zabrali [uparcie omija słowo „ukradli" – przyp. M.O.] z Krakowa dzieła sztuki, to proszę mi je przedstawić, wówczas się odniosę. Jeśli zaś pani takowych nie posiada, to nie mogę pani pomóc".

Jego powszechnie znana postawa – ostatnie lata swojego życia poświęca na szukanie wyimaginowanych dowodów na usprawiedliwienie działalności ojca – nie ułatwia sprawy.

Do dalszego kontaktu poza gruntownym przygotowaniem historycznym potrzebna jest też wiedza o tym, jaki wpływ na psychikę dzieci miało dorastanie w cieniu zbrodni rodziców. Fachowej literatury na ten temat brak. Docieram do kilkorga potomków niemieckich zbrodniarzy wojennych. Wnuk komendanta niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, Rudolfa Hössa, opowiada mi, że miał 13 lat, gdy przyprowadził do domu kolegę z klasy. Żyda. Po tej wizycie ojciec złamał mu nos. W podobnych relacjach szukam klucza, który pomoże mi otworzyć

eprasa.pl 9637e63beb

Syn Ottona von Wächtera zwrócił Polsce przedmioty zrabowane przez jego rodziców i zaapelował do innych dzieci esesmanów o podjęcie takiej samej decyzji FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

sztuka

Horsta Wächtera i dotrzeć do prawdy o jego rodzinie. W odróżnieniu od syna Hansa Franka, Niklasa, rodzice Horsta zapewnili mu ciepły dom. Nieżyjącą od wielu lat matkę Horst do dzisiaj darzy ogromną miłością.

W tym samym czasie prowadzę drobiazgową kwerendę naukową, z której wynika, że poza bezcenną „Walką karnawału z postem" Wächterowie wywożą z Krakowa mnóstwo wartościowych dzieł sztuki. Większość z nich upłynniają na rynku antykwarycznym Wiednia już po grudniu 1939 r., ale sporą część odkładają – żona Wächtera, Charlotte, świetnie zna się na sztuce. Wybitny historyk sztuki, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, Feliks Kopera apeluje w 1946 r. do Komisji Badań nad Zbrodniami Hitlerowskimi, by na listę zbrodniarzy wojennych wciągnąć także ją (w pamięci Krakowa zapisała się jako „gorsza od męża").

Moja korespondencja z Horstem von Wächterem przybiera na intensywności. „Nie pisz o mojej mamie »Mutter« [niem. Matka], pisz »Mutti« [mamusia]. Mutter brzmi bardzo oschle" – upomina mnie w jednym z e-maili.

Gdy pierwszy raz zjawiam się w zamku Horsta, mam już ze sobą sporo dokumentów. Spogląda na nie, mówi niewiele. Przeciera oczy. Prawda wychodzi z czasem. Dzieci rzeczywiście nie miały pojęcia o procederze rodziców – dla bezpieczeństwa Charlotte wpajała im bajkę o tym, że wszystkie zabytkowe przedmioty w domu zostały zakupione legalną drogą. Brzmi to wiarygodnie. Charlotte jest pasjonatką sztuki.

Horstowi trudno przychodzi zmierzenie się z informacjami, jakie mu przedstawiam.

Kilka miesięcy później przeszłość ponownie upomni się o swoje i na jaw wychodzi kolejna tajemnica rodzinna. W archiwach watykańskich znajduję zapiski bp. Aloisa Hudala, a w nich wyraźne wskazanie, że „wrogie siły proponowały Wächterowi współpracę, a on pozostał człowiekiem honoru".

Przedziwna gorączka Ottona, zdrowego, silnego mężczyzny w kwiecie wieku, jego nagła przedwczesna śmierć, oczekiwanie na ucieczkę do Argentyny sprawiają, że w mojej głowie dojrzewa hipoteza: Otto nie zmarł śmiercią naturalną.

Po powrocie z Rzymu zjawiam się u Horsta w Austrii i przedstawiam swoje hipotezy. – Nie – zaprzecza stanowczo – Mutti zawsze powtarzała, że tata zmarł na żółtaczkę.

Rzymskie informacje nie dają mu jednak spokoju. Wędruje na strych i odkurza stare taśmy magnetofonowe, jakie nagrała jego matka: opowieści o dzieciach, rodzinie, wspomnienia o mężu. Horst pierwszy raz odsłuchuje całość. Na jednej z taśm słyszy: „Jestem pewna, że mój mąż został otruty".

Wächterowa nie powiedziała dzieciom o tych podejrzeniach z tego samego powodu, z jakiego nie powiedziała o rabunku obrazów – by nie powtórzyły przypadkowo komuś obcemu i nie sprowadziły nieszczęścia na rodzinę.

Gdy Horst powoli oswaja się z nowymi informacjami o ojcu, ja stawiam wiele pytań. Kto proponował Ottonowi współpracę? Amerykanie? Kiedy? Czy w ramach operacji „Paperclip"? Jeśli Wächter został otruty, to przez kogo? Przez swoich? (W tym samym czasie co Wächter, w innym miejscu w Rzymie, na pomoc rządu Perona oczekuje Adolf Eichmann). Przez Sowietów? Jako późniejszy gubernator dystryktu Galizien mógł być depozytariuszem ważnej wiedzy (we Lwowie także „rekwiruje" mnóstwo cennych dzieł sztuki).

Szukam „następców" archiwów CIC – Kontrwywiadu Armii Stanów Zjednoczonych. W końcu z USA napływa sensacyjna informacja – zachował się protokół oficera prowadzącego Ottona von Wächtera i potwierdzenie złożenia propozycji współpracy SS-Gruppenführerowi.

W chwili, gdy piszę ten artykuł, Horst rozpoczyna wdrażanie w życie procedury ekshumacji ojca.

W całym tym zamieszaniu informacyjnym przychodzi czas na najważniejsze dla mnie pytanie – o zwrot dzieł sztuki zabranych przez Wächterów z Krakowa. Podczas wizyt w zamku zauważam m.in. mapę Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Mapa z XVIII w. nie jest szczególnie wartościowym artefaktem, ale pierwszy raz obcuję z namacalnym przykładem upokorzenia, jakie hitlerowcy stosowali wobec Polaków i ich kultury. Baronowa Wächter zabrała mapę do rezydencji w Salzburgu, kazała dorobić do niej stolik i stawiała na niej kawę. Mapa pierwszego rozbioru Polski ma wiele plam.

– Mama zabrała jeszcze gwasz z pałacu Potockich – mówi Horst. Proponuję

eprasa.pl 9637e63beb

mu, by oddał te obiekty tam, skąd zostały zabrane – do Krakowa. Nie zgłasza sprzeciwu. Nie stawia wymagań. W trakcie wielomiesięcznych rozmów przystaje na każde warunki, bo te zmieniają się jak w kalejdoskopie: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego mówi raz tak, raz inaczej.

Gdy po raz pierwszy rozmawiam z urzędnikami w sprawie Horsta von Wächtera, Polską rządzi Platforma Obywatelska. Ówczesny sekretarz stanu w MKiDN Piotr Żuchowski jest sprawą zaintrygowany, ale już od urzędników słyszę: „Nie interesują nas obiekty od Wächtera. On uprawia krucjatę pamięci ojca. Od syna nazisty dzieł sztuki odbierać nie będziemy". W ministerstwie nie było komu podjąć z nim rozmów. Uzasadnienie brzmiało: „Nawet gdyby chodziło o Stwosza – nie przyjmiemy go od syna generała SS".

Tymczasem brytyjski profesor zajmujący się zbrodniami wojennymi, którego dziadków Otto von Wächter zamordował we Lwowie, utrzymuje kontakt z Horstem. Philippe Sands jest pragmatykiem. Ważne są dla niego rozmowy i dostęp do archiwów Horsta. A te kryją wiele istotnych dla historyków materiałów, wśród nich m.in. nieznane fotografie z gett w Krakowie i Warszawie.

LUTY 2017 R., KRAKÓW Deszczowe niedzielne popołudnie. Horst von Wächter zwraca trzy obiekty, zrabowane przez jego matkę na ręce wojewody małopolskiego Józefa Pilcha: gwasz Julii z Potockich Liechtensteinowej (obiekt bardzo cenny ikonograficznie dla krakowskich muzealników), mapa Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz renesansowy miedzioryt na papierze. Konserwatorzy zabytków zapewne niebawem ustalą ich obecną wartość. Urzędnicy komórek restytucyjnych od lat podkreślają jednak, że „strat wojennych nie wolno wartościować, każda jest tak samo ważna".

Horst Wächter nie domaga się obecności mediów ani podziękowań. Skromnemu spotkaniu przy herbacie towarzyszą pytania konserwatorów, pracowników Muzeum Narodowego, o przeszłość. Horst zaskakuje wszystkich niespodziewaną deklaracją. – Oddaję trzy dzieła sztuki, które moja mama zabrała z Krakowa, i tym samym chcę zaapelować do innych dzieci esesmanów, by oddali to, co ich rodzice zabrali z Polski – mówi.

Mały Horst von Wächter z ojcem, matką i siostrą FOT. ARCHIWUM HORST VON WÄCHTER

Apel podchwytuje „The Guardian". Argentyński dziennikarz Uki Goñi, zajadle tropiący od lat nazistów, autor tłumaczonej na wiele języków książki „The Real Odessa", pisze o synu nazisty, który prosi inne dzieci esesmanów, by zwróciły rzeczy zagrabione z Polski. Zauważa, że Horst nie musiał niczego oddawać – obiekty zgodnie z prawem były jego własnością. „Horst, Magdalena – to, co zrobiliście, to przykład dla całego świata" – pisze na mojej stronie na Facebooku.

Apel Horsta powtarzają media na całym świecie. Cytują je m.in. Fox News, „Time of Israel", BBC, „Gazetta Italia", „Der Spiegel", wyliczając jednocześnie z zasadną stanowczością zbrodnie popełnione przez Ottona von Wächtera. Horst czyta to wszystko. Nie pisze ani jednego e-maila polemiki, wysyła tylko krótką wiadomość do Uki Goñiego: „Proszę, popraw imię mamy. Ona nie nazywała się Lotta, tylko Charlotte – to dla mnie ważne. Bardzo dziękuję".

Dzieła, które wróciły do Krakowa, to zaledwie kropla w morzu strat. Podczas II wojny światowej Polska straciła ponad pół miliona obiektów

Dzieła, które wróciły do Krakowa, to zaledwie kropla w morzu strat. Historycy sztuki szacują, że podczas II wojny światowej Polska straciła ponad pół miliona obiektów. Przypadków, że ktoś oddaje coś z własnej woli, jest niewiele. Często bywa, że za odnalezione po wojnie obrazy musieliśmy słono zapłacić potomkom rabusiów – rekompensata za „Żydówkę z pomarańczami", wypłacona obywatelowi Niemiec, była tak duża, że do publicznej wiadomości nie podano, ile ostatecznie wyniosła.

Sprawa zwrotu obrazów przez Horsta von Wächtera obnażyła smutną prawdę: w części środowisk wciąż pokutuje pogląd – przez ostatnie 25 lat lansowany przez narrację postpeerelowską – że sprawa rewindykacji dóbr narodowych wygasła bądź ma już niewielkie znaczenie i nie warto prowadzić rozmów z potomkami zbrodniarzy hitlerowskich, którzy skłonni byliby rozliczyć się z przeszłością rodziców.

Po dokonanym przez Horsta zwrocie obrazów do Krakowa ponownie odezwało się kilka głosów, że od syna esesmana odbierać niczego nie wypada. Jednak ci, którzy najbardziej udają oburzenie niejednoznacznym stosunkiem Horsta do jego ojca, jednocześnie nie widzą żadnego problemu w tym, że państwo polskie w ostatnich dziesięcioleciach reprezentowali potomkowie takich samych zbrodniarzy, tyle że stalinowskich, i trudno sobie przypomnieć moment, w którym potomkowie Bierutów, Radkiewiczów, Różańskich itd. publicznie potępili rodziców lub dziadków.

Już po przywiezieniu tych kilku eksponatów do Krakowa jedna z urzędniczek oznajmiła, że Horst von Wächter nigdy nie kontaktował się z państwem polskim w sprawie zwrotu dzieł sztuki – tymczasem ja oglądałam dowody na jego niejednokrotne próby nawiązania kontaktu.

Oby o chroniczny imposybilizm administracji państwowej nie rozbił się inny syn czy wnuk niemieckiego zbrodniarza, który pod wpływem apelu Wächtera zechce zwrócić zagrabione w Polsce dzieła sztuki.

Biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności, nasuwa się pytanie: Czy nie należałoby inaczej niż do tej pory zorganizować lub umiejscowić jednostkę, która w całości odpowiadałaby za rewindykację polskich dóbr kultury poprzez podniesienie jej rangi i większy nadzór organów rządowych?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

XXIII TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

XXIII TARGI WYDAWCÓW KATOLICKICH

30 marca – 2 kwietnia 2017

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda FENIKS 2017

Informacje i zgłoszenia

swk@swk.pl www.swk.pl

Patron medialny:

DO RZECZY

ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE WYDAWCÓW KATOLICKICH

WSPÓŁORGANIZATOR

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 9637e63beb

Zemsta jego

FOT. HBO POLSKA (2)

Piotr Gociek

Serial „Tabu" to podwójny triumf Toma Hardy'ego – jako aktora i jako autora tej historii

Praca była zbiorowa, częściowo rodzinna, bo nad scenariuszem siedział też ojciec Toma Hardy'ego, ostateczny kształt opowieści nadał jej zaś Steven Knight. Ten ostatni to jeden z najbardziej cenionych na Wyspach Brytyjskich scenarzystów – w 2002 r. nominowany do Oscara był jego scenariusz do filmu Stephena Frearsa „Niewidoczni". Potem współpracował m.in. z Davidem Cronenbergiem przy świetnych „Wschodnich obietnicach" (2007), sam wyreżyserował napisany przez siebie skromny, błyskotliwy dramat „Locke" i zdobył uznanie za serial historyczno-kryminalny „Peaky Blinders".

„Tabu" także łączy historię z intrygą kryminalną, aczkolwiek nie jest to kryminał typowy. Zagadka „kto zabił" okazuje się dla rozwoju wydarzeń trzeciorzędna, w centrum mamy rozgrywkę między jednostką, państwem a prywatnym biznesem, przy okazji jest to także klasyczna historia zemsty po latach.

O OGROMNĄ STAWKĘ

Akcja rozgrywa się w roku 1814, pod koniec wojny brytyjsko-amerykańskiej, która wybuchła dwa lata wcześniej. Chociaż śledzimy wypadki rozgrywające się przede wszystkim w Londynie, to warto podkreślić ten historyczny kontekst, bo gracze z Nowego Świata także będą aktywni. O cóż zaś dokładnie chodzi?

Do stolicy brytyjskiego imperium po 10 latach nieobecności wraca syn szanowanego armatora Horacego Delaneya. James Keziah Delaney (Tom Hardy) przybywa zbyt późno – jego ojciec nie żyje, rodzinny majątek jest w ruinie. W dodatku szybko odkrywa, że Horacego ktoś otruł. James dziedziczy to, co pozostało – zapuszczony ponury dom w Londynie, dawne biura firmy ojca oraz jeszcze jedną, jak się okaże, niezwykle cenną rzecz – prawa do skrawka ziemi otaczającego ważną cieśninę na zachodnim wybrzeżu Ameryki. Te prawa rodzina Delaneyów zdobyła dzięki traktatowi z miejscowymi Indianami.

Cieśnina Nootka jest obiektem pożądania potężnej Kompanii Wschodnioindyjskiej, którą kieruje sir Stuart Strange (Jonathan Pryce), oraz korony brytyjskiej.

eprasa.pl 9637e63beb

przeznaczeniem

Imperium włada wtedy książę regent, przyszły król Jerzy IV (Mark Gatiss), na razie administrujący królestwem w czasie choroby umysłowej króla Jerzego III. Kto kontroluje cieśninę Nootka, ten ma doskonałą bazę do handlu z Chinami – gra toczy się o wysoką stawkę (wyspa i cieśnina Nootka leżące u wybrzeży Vancouver były zresztą wcześniej przedmiotem rywalizacji między Brytyjczykami a Hiszpanami).

Wyliczmy pola sporu w „Tabu" – Kompania Wschodnioindyjska, Korona, a wkrótce i Amerykanie walczą o cieśninę Nootka. Czy to oznacza, że przedstawiciele którejś z tych sił rozkazali zamordować starego Delaneya? Co łączy powracającego z wygnania młodego Delaneya i Kompanię Wschodnioindyjską? Dlaczego żywi wobec niej i osobiście wobec sir Strange'a tylko czystą nienawiść? Co właściwie robił przez 10 lat i skąd się wzięły diamenty, które ze sobą przywiózł? Kim są dziwne postacie prześladujące go w snach?

To tylko część zagadek, część biznesowa. Są i tajemnice rodzinne. W Londynie mieszka także przyrodnia siostra Delaneya, Zilpha Geary (Oona Chaplin). Przed laty łączyło ich kazirodcze uczucie, zakazana miłość, do której James przyznaje się i teraz. Pod Londynem mieszka chłopiec, na którego wychowanie łoży James Delaney – to jego syn. A kim jest matka? Nie do końca jednoznaczną postacią jest stary sługa rodziny, niejaki Brace, zgryźliwy, lojalny, lecz kryjący w sobie jakąś tajemnicę. Kolejne komplikacje przyniesie wieść, że do spadku po starym Delaneyu prawa może sobie rościć także jego nowa żona, obecnie wdowa po nim, przybyła z Dublina. Nikt nie miał dotąd pojęcia, że takie małżeństwo zostało zawarte.

Młody Delaney to mroczniejsza odmiana hrabiego Monte Christo – wraca po latach, by się zemścić, w mieszku trzyma klejnoty, a jego dawna miłość ma już innego. Bardzo długo pozostaje jednak dla widza enigmą – nie dość, że nie wiadomo, który z powodów jego działań jest najważniejszy, to jeszcze wydaje się, że poza wszystkim przybył on do Londynu, by zrealizować jakiś większy plan, w którym wszyscy – przyjaciele i wrogowie – są tylko pionkami. Jedyne, co od samego początku jest pewne, to fakt, że bohatera cechuje nieprawdopodobna determinacja, jak taran rozbija kolejne przeszkody, przeraża i jednocześnie fascynuje.

IDEALNIE DOPASOWANI

Rola Delaneya to duże osiągnięcie Toma Hardy'ego, który całkowicie

eprasa.pl 9637e63beb

skupia na sobie uwagę natychmiast, gdy tylko pojawia się na ekranie. Brutalność, intensywność tej kreacji jest nieporównywalna z niczym, co dotąd robił ani jako bimbrownik w „Gangsterze", ani w podwójnej roli bliźniaków Kray („Legenda"), ani jako komiksowy Bane w „Mroczny Rycerz powstaje". Przede wszystkim dlatego że nie jest w swojej dzikości przesadzony. Mniej utalentowani scenarzyści nakazaliby mu zapewne wygłaszać tyrady pełne gróźb, Delaney tego nie potrzebuje, wystarczy pomruk, spojrzenie, wystarczy sama zastraszająca obecność. A jednocześnie widzimy go jako ofiarę rozrywaną przez własne demony. Bo kto właściwie wrócił z afrykańskiej dziczy do Londynu? Na ciele ma rytualne tatuaże, zawodzi do siebie w dzikich językach, rozmawia z duchami, wodą i ziemią, momentami zastanawiamy się, czy przy tym wszystkim nie jest także trochę niespełna rozumu. Byłoby to jednak szaleństwo w rodzaju tego, które dotknęło płk. Kurtza w „Czasie Apokalipsy".

Delaney w interpretacji Hardy'ego ma też godnego przeciwnika, jakim jest Jonathan Pryce jako dżentelmen kierujący Kompanią Wschodnioindyjską. Pryce przez większość ekranowego czasu zachowuje się jowialnie niby członek Dickensowskiego klubu Pickwicka, ale w inteligentnych oczach kryje się łotrostwo. Obsada to zresztą w ogóle wielki atut serialu, nie są to może prócz wspomnianego duetu gwiazdy pierwszej wielkości, ale bardzo dobrzy aktorzy, charakterystyczni, idealnie dopasowani do swoich ról.

Realizacyjnie rzecz wypada znakomicie, XIX-wieczna Anglia jest brudna i odrażająca jak w najmroczniejszych kawałkach z Dickensa. Serial wyprodukowany został przez Scott Free Productions, firmę Ridleya Scotta. Reżyser „Gladiatora" i „Blade Runnera" pilnował zresztą wizualnej spójności serialu. Ogląda się to jak porządne kino – kolejny dowód na to, że granice między jakością produkcji telewizyjnej i kinowej szybko się zacierają. Fabule służy też formuła miniserialu (osiem części), jest czas na zbudowanie nastroju i napięcia, nie trzeba nigdzie się spieszyć, aktorzy mają miejsce na grę.

Kiedy dwa miesiące temu oglądałem część pierwszą, niepokoiłem się trochę zapowiedziami autorów, że chcą pokazać Kompanię Wschodnioindyjską jako skrzyżowanie CIA z mafią i Świętą Inkwizycją – brzmiało to tak, jakby wrogowie Delaneya mieli przypominać organizacje wyjęte z thrillerów Roberta Ludluma czy Dana Browna. Na szczęście „Tabu" omija te rafy – brytyjscy rekini handlu mogą wiele, ale i oni muszą przestrzegać pewnych reguł, angielskie prawo obowiązuje wszystkich (ważne przypomnienie, bo to właśnie paragrafy w dużej mierze decydować będą o tym, jak potoczy się akcja w ostatnich odcinkach). A to, że dzięki odpowiednio dużym pieniądzom można sobie pozwolić na więcej, najmując do roboty osobników chętnych do ominięcia prawa, nie jest niczym wyjątkowym akurat dla tego miasta, tego kraju i tej epoki.

Jednocześnie same narzucają się porównania do czasów współczesnych: bohater „Tabu" jest wszak samotnym strzelcem, który zmaga się z wielką korporacją, a kiedy Korona, czyli państwo, naprawdę zechce pokazać, jak wielką siłą dysponuje, bez wahania swoją wyjątkową pozycję wykorzysta.

Kto serialu jeszcze nie oglądał (HBO zacznie pokazywać go od 17 marca, ja obejrzałem już całość w serwisie HBO GO) i zna na razie jedynie zwiastuny, może zastanawiać się nad tym, czy rzecz nie skręca zanadto w kierunku jakichś paranormalnych dziwactw. Spieszę widzów uspokoić – ten element jest tu wykorzystany na dwa sposoby: po pierwsze, Delaney w Londynie otoczony jest nimbem dzikiego człowieka, ale większy lęk budzą plotki o tym, że dopuścił się aktów kanibalizmu, niż opowieści o tym, że jest czarownikiem. Ponadto wszystkie jego rytuały, jego wyniesiona z Afryki „nowa duchowość" (szydzę tu z premedytacją), czyli rozmawianie z ptaszkami, duchami umarłych, zaklęcia mamrotane podczas kreślenia dziwnych rysunków, służą raczej, by podkreślić, że w świecie Zachodu jest wyrzutkiem z wyboru. Dwa razy pojawia się w serialu lekka sugestia, że świat zjaw z udręczonego umysłu Delaneya manifestuje się także w realu, ale wszystko jest łatwo wytłumaczalne – a dala od Afryki, w świecie Zachodu, w świecie kamiennych domów i strzelniczego prochu przeczucia oraz wypadki szczególnej więzi między kochankami oraz rodzeństwem nie są przecież zjawiskiem nieznanym.

★★★★★☆
REŻ. KRISTOFFER NYHOLM, ANDERS ENGSTRÖM
„TABU" („TABOO")
USA, WIELKA BRYTANIA 2017

DLA WYBREDNYCH

Dokąd prowadzi nas cała ta historia? Kibicujemy Delaneyowi w jego boju „sam przeciw wszystkim", takie historie zawsze są emocjonalnie angażujące, a kiedy determinacja głównego bohatera jest ogromna, pojawia się pytanie: Czy to misja samobójcza, czy jednak wszystko to może służyć czemuś więcej? Jak wygląda szerszy kontekst? Jakie ujrzymy przesłanie? Bo to, że mamy do czynienia z wielką wendetą, jest oczywiste od samego początku.

James Keziah Delaney jest produktem cywilizacji, którą odrzuca, bo uznał ją za zbrodniczą, skorumpowaną, pełną hipokryzji. Wyście mnie takim uczynili – mógłby powiedzieć – moje grzechy są więc dowodem na to, jak sami grzeszni jesteście. Bohater „Tabu" nie jest bowiem – i tu podstawowa różnica wobec schematu „Hrabiego Monte Christo" – jedynie niewinną ofiarą, która po latach upomni się o sprawiedliwość. Sam czynił rzeczy straszne – najpierw w służbie cywilizacji, potem, by przeżyć, a i na końcu, gdy pojawia się w Londynie jako anioł zemsty, nie waha się sięgać po środki ostateczne. Czy bunt tego, kto – sięgnijmy po dobre określenie – „wykonywał tylko rozkazy" – będzie wyłącznie historią zemsty, czy doprowadzi także do odkupienia win? Tutaj w samym zakończeniu pojawią się moim zdaniem tony fałszywe, czego bliżej roztrząsać nie chcę, by nie wyjawiać puenty.

Tak czy inaczej serial wyprodukowany na zamówienie BBC i amerykańskiego kanału FX (choć pokazywany jest w Polsce przez HBO, to nie jest to produkcja HBO) zadowoli nawet bardzo wybrednych miłośników telewizyjnej rozrywki. Brutalny i melodramatyczny, efektownie zagrany, z sugestywnymi, nastrojowymi kadrami i niemal apokaliptycznym klimatem. Jeśli chodzi o nastrój, to przypomina współczesne thrillery, jeśli chodzi o fabułę – to raz jeszcze odwołam się do Aleksandra Dumasa i Karola Dickensa. Kiedy bowiem odejmiemy kreację Hardy'ego i sugestywny klimat, dostrzeżemy, że „Tabu" oferuje intrygę równie nieprawdopodobną, co XIX-wieczne powieści wspomnianych (choć różnych) autorów. To nie jest jednak zła rekomendacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY” + YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH

Yanosik GTR

Najskuteczniejszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach,
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu,**
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw,
- specjalny tryb dla **motocyklistów,**
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu.

490 zł

oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9637e63beb

FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

Z Araelem Zurlim, autorem książki „Szkło i brylanty”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Moralność pani Zapolskiej

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Feministki nierzadko przywołują Gabrielę Zapolską. Słusznie? Rzeczywiście była emancypantką?

ARAEL ZURLI: Była, choć odżegnywała się od tego. Musiała mieć ogromną odwagę, by dla sceny opuścić niewiernego męża, co oznaczało rezygnację z dobrobytu przy jednoczesnym narażeniu się opinii publicznej. Gdyby po prostu uciekła do rodziców – którzy przyjęliby ją z otwartymi rękami – ludzie patrzyliby na to zupełnie inaczej. Dalsze losy Zapolskiej nie potoczyły się szczęśliwie: nieślubna ciąża, porzucenie przez kochanka, konieczność zostawienia noworodka u płatnej opiekunki, aby samodzielnie zarabiać na utrzymanie. Występując w teatrze oraz pisząc dla prasy, przetrwała najtrudniejszy okres, po czym postanowiła wyjechać do Paryża, by kształcić się w sztuce aktorskiej. Chciała prześcignąć Modrzejewską! Nie doczekawszy się scenicznych sukcesów, zaczęła pisać dramaty i powieści. Przez całe życie pracowała ciężej niż niejeden mężczyzna, a przecież po uzyskaniu rozwodu mogła bogato wyjść za mąż, by urodzić wymarzonego „Jerzusia”. Nie chciała jednak być od nikogo zależna.

Nie pochwalała jednak pomysłu kobiet, by podejmować studia, zaobserwowawszy, że często korzystały one przy tym z pieniędzy rodziców, a gdy trafił im się mąż, błyskawicznie z tych studiów rezygnowały. Wyśmiewała niedouczone filozofki i lekarki. Nie podobały jej się półmęskie stroje emancypantek, choć zarazem krytykowała bezmyślne podążanie za modą – hołdowanie szkodzącym zdrowiu wysokim obcasom i gorsetom. Sama lubiła się pięknie ubrać i ze znawstwem pisała o strojach, co przekładało się również na znakomity dobór kostiumów teatralnych.

Za to z całą mocą przemawiała do niej niedola kobiet. Ujmowała się za nimi ze wszystkich sił, ale należy podkreślić, że jej empatia obejmowała wszystkie nieszczęśliwe istoty: kobiety, dzieci, zwierzęta... a nawet mężczyzn.

Skąd brało się powodzenie Zapolskiej jako kobiety?

Była przede wszystkim aktorką, więc z pewnością umiała zagrać uwodzicielkę. Była wspaniałą obserwatorką i świetnie znała się na psychologii, czyli potrafiła grać na uczuciach. I była piękną kobietą, choć jej fotografie niekoniecznie budzą dziś zachwyt. W tamtej jednak epoce liczyły się: okazała postać, regularne rysy, piękne ogniste oczy, strojne kapelusze i suknie. Ponadto nie istniał kult młodości. Wprost przeciwnie – apogeum kobiecej urody przypadało między 35. a 40. rokiem życia. Mężczyzn pociągał również temperament, którego Zapolskiej nigdy nie brakowało.

I jeszcze jedno – przy całej swojej inteligencji umiała pozostać niemądrą kobietką: rozkosznie szczebiotać, zdrabniać słowa, słodko przymilać się ukochanemu, robić obiecujące aluzje...

Lista panów dzielących z pisarką łoże jest chyba bardzo długa?

Nie wiemy, czy „dzieliła łoże” z każdym, kto wpadł jej w oko. Raczej nie była tym typem kobiety, a i czasy pod względem swobody obyczajowej znacznie różniły się od dzisiejszych. Zapolska wchodziła w stałe związki, które na ogół miały w perspektywie małżeństwo. Po pierwszym kochanku, literacie i wytrawnym uwodzicielu Marianie Gawalewiczu, pojawił się kandydat na męża, Stefan Laurysiewicz, młodszy od Gabrieli o dziewięć lat pracownik firmy handlowej. Z pisarką łączyło go w Paryżu coś na kształt wspólnego gospodarstwa domowego, ale nie brała od niego pieniędzy, wszelkie zaś pożyczki zwracała. Co ciekawe, jednocześnie bez skrupułów korzystała z finansowej pomocy Tadeusza Okszy-Orzechowskiego, którego należałoby chyba uznać za sponsora jej działalności literacko-teatralnej. Gdy Oksza-Orzechowski zbankrutował – nie wskutek zachłanności Gabrieli! – przyjmowała podarki oraz pieniądze od zakochanego kuzyna Edmunda Makowskiego. Nie mogąc liczyć na odwzajemnienie uczucia, ów żonaty 54-letni pan groził, że popełni samobójstwo. Po stopniowym zerwaniu z Laurysiewiczem, którego służbowy pobyt w Moskwie znacznie się przedłużał, Gabriela zaręczyła się z przystojnym, bogatym malarzem Paulem Sérusierem, ale związek się rozleciał, a pisarka wróciła do Polski. Tam poznała 26-letniego redaktora Ludwika Szczepańskiego i wybuchło kolejne wielkie uczucie, w dużej mierze oparte na

eprasa.pl 9637e63beb

fascynacji fizycznej. Młodzieńca pociągała piękna, doświadczona 40-latka, ona cieszyła się czułym kochankiem, niestety pod innymi względami układało im się znacznie gorzej. Kłótnie wybuchały niemal codziennie i w końcu musieli się rozstać. Jeszcze zanim do tego doszło, zakochała się w malarzu Stanisławie Janowskim. Miała chyba skłonność do młodszych od siebie mężczyzn, gdyż różnica wieku między nimi wynosiła dziewięć lat. Janowski był bardzo przystojny, spokojny i dobrze wychowany, ale zarazem nieco rozlazły, o miękkim charakterze, był podatny na wpływy. Energiczna Gabriela najpierw rozbiła jego narzeczeństwo, potem nakłoniła go do ślubu, po którym zaczęły się niesnaski. Janowski był zazdrosny o jej powodzenie u mężczyzn, chociaż sam bynajmniej nie dochowywał wierności, drażniła go bezkompromisowość żony, a nawet ciągłe zajęcie pracą. I tak doszło do separacji małżonków.

Przekonanie o bujnym życiu seksualnym Zapolskiej wzięło się z wydanej po jej śmierci rzekomej biografii pióra Anieli Kallas, podającej się za przyjaciółkę pisarki. Była co najwyżej dobrą znajomą, ale przede wszystkim grafomanką pragnącą zdobyć popularność przez tani skandal. „Biografia" słusznie została nazwana paszkwilem. Niestety, znaleźli się i tacy, którzy uwierzyli mitomance.

Polską publiczność przyciągnęła zrazu aktorstwem.

Wystąpiła w roli Cyganki Azy w swojej adaptacji „Chaty za wsią" Kraszewskiego, ale naprawdę własną postać zagrała dopiero w „Kaśce Kariatydzie". O ile namiętna, demoniczna Aza nawet typem urody pasowała do Zapolskiej, o tyle niełatwo sobie wyobrazić pisarkę jako wiejską dziewczynę na służbie. Od czego jest jednak kunszt aktorski? W krakowskim teatrze poza występami jednocześnie tę sztukę reżyserowała, a w przeciwieństwie do wielu innych dramatopisarzy miała do tego zdolności. Najbardziej pamiętną jej rolą stała się jednakże pani Wielhorska, matka głównego (można też powiedzieć: tytułowego) bohatera sztuki „Tamten". Zapolska napisała ją pod pseudonimem Józef Maskoff, więc widzowie nie mieli pojęcia, że oglądając na scenie aktorkę, widzą zarazem autora tekstu. Grając małą, lecz przejmującą rolę matki młodzieńca uwięzionego przez carskich żandarmów, użyła bardzo dyskretnych środków wyrazu, mimo to zapadła w pamięć publiczności. Należy żałować, że nigdy nie zagrała pani Dulskiej – byłoby bardzo ciekawym doświadczeniem dowiedzieć się, jak widziała stworzoną przez siebie postać.

Dlaczego część utworów sygnowała pseudonimem? I to męskim! Skądinąd nazwisko Zapolska też chyba było fikcyjne?

Nazwisko to było autentyczne, tyle że nosiła je inna osoba: aktorka Teresa Chodźkowa z domu Zapolska. Zapewne użyczała koleżankom swojego paszportu, by mogły przekroczyć granicę między zaborem rosyjskim a austriackim, co dzięki brakowi fotografii było dość często stosowanym wówczas ułatwieniem. Być może Gabriela weszła w posiadanie tego dokumentu, a wyjeżdżając do Wiednia w celu potajemnego urodzenia tam nieślubnego dziecka, nie mogła posłużyć się ani nazwiskiem męża, ani panieńskim, ponieważ wybuchłby skandal. Absolutnie nie należy doszukiwać się skojarzeń typu „Za Polskę", „Za polska" (czyli „za bardzo polska") – nie o to chodziło.

A męski pseudonim Józef Maskoff? Pisząc „Tamtego", sztukę o cierpieniach Polaków w rosyjskim zaborze, musiała się zamaskować. Pseudonim kobiecy byłby o tyle niewskazany, że z góry sugerowałby właściwą płeć autorki.

Dwukrotnie sprowokowała pojedynki. Z jakich przyczyn?

Nie powinniśmy nazywać tego prowokacją. Owszem, istniały wampy uwielbiające, gdy mężczyźni odbierali sobie dla nich życie, ale Zapolska do nich nie należała. Idiotyczna moda na pojedynki miała się wtedy bardzo dobrze, toteż nie brakowało rozmaitych „obrońców honoru", na ogół znakomicie strzelających, którzy lubili od czasu do czasu posłać komuś sekundantów. Kończyło się to różnie, czasami nawet pogrzebem, ale większość pojedynkowiczów zachowywała zdrowy rozsądek i – jak złośliwie pisały potem gazety – przybywało tylko kilka dziur w niebie. Natomiast szabla, już z założenia mniej niebezpieczna od pistoletu, w wydaniu pojedynkowym miała taki ciężar i niewygodne proporcje, żeby jak najtrudniej było kogoś poważnie skaleczyć; jedynie zawodowi wojskowi sprawnie posługiwali się swoją bronią.

O „Zapolską" chcieli pojedynkować się dwaj publicyści, chodziło jednak o stosunek do jej twórczości, nie o sprawy sercowe. Do pojedynku nie doszło, ponieważ żadnego z panów nie stać było na kupno pistoletu. Drugi pojedynek odbył się w wyniku awantury, jaka wybuchła, gdy Zapolska rozbiła narzeczeństwo swojego drugiego męża, Stanisława Janowskiego. Janowski wyzwał wtedy dwóch mężczyzn z rodziny narzeczonej i walka – z jednym na pistolety, z drugim na pałasze – przebiegła według wszelkich reguł sztuki na tyle sprawnie, aby nikomu nie stała się wielka krzywda.

Dlaczego autorka „Skizu" targnęła się na życie?

Sama wytłumaczyła to następująco: „Wiele zmartwień przyczyniło się – całe moje życie wreszcie – na krok szalony".

Na co właściwie umarła? Kto odziedziczył jej, wcale niemały, majątek?

Przyczyną śmierci był splot rozmaitych chorób, mających źródło w owej fatalnej próbie samobójczej. Spowodowały one stopniowe wyniszczenie organizmu, do którego przyczyniły się również fatalne warunki bytowania we Lwowie podczas wojny polsko-ukraińskiej. Zapolska gasła przez wiele miesięcy, a ostatecznie dobić ją mogła „opieka" samozwańczego lekarza Eugeniusza Kapitaina, który sfałszował na swoją korzyść testament pisarki. Po zdemaskowaniu oszusta majątek przejęło rodzeństwo Zapolskiej, gdyż mąż zrzekł się swojej części spadku.

Co z bogatej spuścizny pisarki czas zweryfikował pozytywnie?

Jeżeli przez pozytywną weryfikację rozumieć docenienie krytykowanych dotychczas utworów, to do niczego takiego nie doszło. Słabsze powieści Zapolskiej, niewywołujące zachwytu nawet u współczesnych, dla nas są prawie nie do czytania. Za to do lepszych, takich jak „Sezonowa miłość", „Janka" i „Kaśka Kariatyda", doszedł walor dokumentalny, gdyż Zapolska była znakomitym obserwatorem obyczajów. To samo można powiedzieć o nowelach i większości dramatów, które są zarazem na wysokim poziomie literackim. Dla miłośników teatru pożyteczną lekturą będą felietony zawierające recenzje wystawianych ówcześnie sztuk.

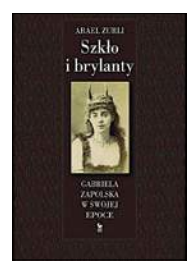

ARAEL ZURLI „SZKŁO I BRYLANTY. GABRIELA ZAPOLSKA NA TLE EPOKI" ISKRY 2016

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Conrad w starciu z Leśmianem

Krzysztof Masłoń

Spór o zasługi literatów obchodzących w tym roku jubileusze – Conrada i Leśmiana – znów stał się pretekstem do politycznej nagonki

W tym tygodniu odbędą się w Londynie, po raz czterdziesty szósty, Targi Książki, i to z Polską w roli gościa honorowego. Gdyby wierzyć temu, co w końcu zeszłego roku, po wstępnej prezentacji zamierzeń związanych z naszym udziałem w tej imprezie, pisała „Gazeta Wyborcza", czeka nas tam totalna kompromitacja, a to za sprawą niekompetencji nowej dyrekcji Instytutu Książki, czyli tej, która nastała po wyborczym zwycięstwie PiS.

Agentka literacka Magdalena Dębowska na znak protestu przeciw – jak to nazwała – amatorszczyźnie firmowanej przez Instytut zrezygnowała z udziału w stoisku polskim na londyńskich targach i ostrzegła, że nie będzie też wykupować miejsc na prezentacjach narodowych na innych podobnych imprezach. „Bez wsparcia Instytutu Książki sprzedaż praw będzie trudniejsza, ale i tak sobie poradzę" – zapewniła, występując w podwójnej roli, bo również jako wspólniczka w wydawnictwie Karakter. I rzeczywiście Karakteru, podobnie jak Czarnego, nie znajdziemy na liście polskich wystawców, którzy pojawią się nad Tamizą. Będzie za to 50 innych, znacznie więcej niż w latach ubiegłych, w tym wszyscy najpoważniejsi polscy edytorzy, co jest absolutnie zrozumiałe, bo londyńskie targi mają swoją renomę i nieskorzystanie z możliwości wynikających z tytułu głównego gościa tej imprezy wydaje się działaniem – delikatnie mówiąc – mało rozumnym. W każdym razie na The Book Fair pokażą się i Znak, i Zeszyty Literackie, i Agora. Słowem – sami znani i wypróbowani zwolennicy oraz miłośnicy dobrej zmiany.

Jeśli chodzi o polski program literacki, to między 13 a 17 marca w Londynie odbędzie się 50 spotkań autorskich i prezentacji poszczególnych twórców oraz tytułów, m.in. w znanej londyńskiej księgarni Waterstones przy Piccadilly, w salonie literackim angielskiego PEN Clubu i w British Library. A do końca roku – zapowiadają organizatorzy – w całej Wielkiej Brytanii kolejnych 50. Równolegle z londyńskimi targami w ramach Essex Book Festival w Harlow mieć będzie miejsce dzień polski, którego hasło brzmi: „Poznaj swoich sąsiadów". To nieprzypadkowe miejsce. Tam właśnie przed rokiem doszło do zabójstwa Polaka na tle rasistowskim. Polscy pisarze pojawią się także na innych dużych festiwalach literackich w Wielkiej Brytanii, m.in. w Birmingham, Hull, Edynburgu i Hay.

GRATKA NIE BYLE JAKA

Skład reprezentacji wystawionej przez Instytut Książki w celu podbicia Wysp równie dobrze mógłby zestawić poprzedni dyrektor tej placówki, Grzegorz Gauden. Przyjrzyjmy się bowiem nie tak znów licznej „drużynie" literatury polskiej na The Book Fair w Londynie. Na jej czele mamy Olgę Tokarczuk (w trakcie realizacji są przekłady na angielski jej książek: „Bieguni" i „Księgi Jakubowe"). Przypomnę, że stosunkowo nie tak dawno zarzucano władzom Instytutu dyskryminowanie pisarki, będącej zresztą członkiem Rady Programowej tegoż Instytutu. W następnej kolejności figuruje inny popularny autor, sprzyjający obecnej władzy w stopniu równym Tokarczuk, czyli Zygmunt Miłoszewski, któremu na razie za granicą najlepiej idzie we Francji, a teraz widać przyszedł czas na podbój kolejnego rynku książki, skądinąd wyjątkowo trudnego, gdyż tłumaczenia z języków obcych stanowią na nim zaledwie 3–4 proc. W ostatnich latach w Wielkiej Brytanii ukazywały się rocznie trzy–cztery polskie książki, w tym roku, w związku z naszym udziałem w The Book Fair w Londynie, będzie ich ponad 10, może 15.

Zaraz po Miłoszewskim idzie autor „Lali", Jacek Dehnel, i nasza gwiazda science fiction, Jacek Dukaj. Poezja to Marzanna Bogumiła Kielar, a reportaż – autor „Kapuścińskiego non-fiction" Artur Domasławski i Ewa Winnicka, autorka „Londyńczyków" i „Angoli". Wreszcie – uwaga! uwaga! – eseistykę reprezentują twórca „Teologii Politycznej" Dariusz Karłowicz, którego „Sokrates i inni święci" ukazali się właśnie po angielsku oraz prof. Andrzej Nowak, autor „Dziejów Polski" oraz „Polski i trzech Rosji". Polskie ilustratorstwo książkowe reprezentuje wielokrotnie nagradzana graficzka Marta Ignerska, a literaturę dziecięcą – autorzy największego polskiego bestsellera ostatnich lat Aleksandra i Daniel Mizielińscy, których „Mapy" osiągnęły nakład 3 mln egzemplarzy (!) i znalazły się w dziesiątce najlepszych książek dla młodych czytelników według „New York Timesa". Dodajmy do tego zaproszonego przez organizatorów jako Cross Media Author of the Day Andrzeja Sapkowskiego oraz silną ekipę prezentującą nasze osiągnięcia w dziedzinie publikacji cyfrowych.

Wyłączywszy Andrzeja Nowaka i Dariusza Karłowicza, którzy m.in. wezmą udział w dyskusji pod hasłem: „Intelektualiści w mediach", trudno doszukać się w wybierającej się do Londynu polskiej delegacji pisarskiej osób kojarzonych z szeroko pojętym obozem władzy. Za to przeciwników tej ostatniej nie brakuje. Jednak nie dlatego, sądzę, że nasza prezentacja w Anglii wcale nie przebiegnie bezkonfliktowo. W końcu to nie byle jaka gratka, by nie przypomnieć o podobno zagrożonej w Polsce wolności słowa. Nie ma powodu, by przedwcześnie reklamować przygotowania do takiego wystąpienia. Jednak one mają miejsce.

ODMIENNE DOŚWIADCZENIA

„Gazeta Wyborcza" dworowała sobie – posiłkując się wyrwanymi z kontekstu zdaniami wicedyrektora Instytutu Książki, Krzysztofa Koehlera – z pomysłu uszczęśliwiania Anglików „Conradem po polsku". Tymczasem okazuje się, że wyspiarze sami mają świadomość nieznajomości korzeni swojego wielkiego pisarza. „Swojego", bo przecież nikt o zdrowych zmysłach nie będzie na siłę anektował autora „Lorda Jima", autora piszącego po angielsku, do literatury polskiej. Jednak też dla nas jest on pisarzem bardzo ważnym i dlatego tak ciekawie zapowiada się sympozjum, które w British Library, w przededniu otwarcia targów, zainauguruje wykład prof. Roberta Hampsona na temat Josepha Conrada jako „Polskiego geniusza Anglii".

W conradowskim panelu pisarze, m.in. Giles Foden, opowiedzą o wpływie Conrada na ich twórczość. A o odmiennych drogach i modelach rozwoju Polski i Rosji prof. Andrzej Nowak dyskutować będzie z profesorami Geoffreyem Hoskinsem i Simonem Dixonem. Także i ta debata mieć będzie wyraźny podtekst conradowski. Z kolei o swoich, zgoła odmiennych, doświadczeniach translatorskich opowie dwoje tłumaczy na polski „Jądra ciemności": Magdalena Heydel i Jacek Dukaj, a także ilustratorka powieści graficznej powstałej na podstawie tego utworu – Catherine Anyango. Nawiasem mówiąc, to naprawdę duże i radosne wydarzenie, że po nazbyt długich latach funkcjonowania w Polsce starutkiego przekładu Anieli Zagórskiej otrzymaliśmy dwa nowe, oryginalne przekłady sławnego dzieła Conrada.

Bieżący rok ustanowiony został przez Sejm Rokiem Conrada w 160. rocznicę urodzin pisarza. W tym samym 2017 r. przypada 140. rocznica urodzin i 80. rocznica śmierci Bolesława Leśmiana.

SZUMI DOKOŁA LAS

Nie zostało to jednak ujęte w ramy oficjalnych obchodów – tym razem przez Senat, który postanowił uhonorować w tym roku m.in. Tadeusza Kościuszkę, Józefa Hallera, Władysława Biegańskiego i Władysława Raczkiewicza. Leśmiana – nie, z czego zrobiono sprawę polityczną, bo u nas polityką jest już wszystko. Justyna Sobolewska w „Polityce" swój tekst poświęcony tej sprawie zatytułowała „Leśmian jako intruz", zastanawiając się w nim, co zaważyło na tym, że kandydatura twórcy „W malinowym chruśniaku" nie przeszła w Senacie. I po kolei wyłuszczała potencjalnie możliwe powody: pochodzenie żydowskie poety, pisanie przez niego erotyków, nieznajomość jego wierszy przez obecnych senatorów. W tej ostatniej sugestii zawarte było domniemanie, że inni senatorowie (w domyśle: z PO lub Nowoczesnej) z pewnością doceniliby Leśmianowe zasługi. Być może, w każdym razie publicystka „Polityki" pod wziętym z mediów społecznościowych hasłem: „Zróbmy sobie sami Rok Leśmiana" zacytowała „Łąkę" inkryminowanego autora: „Nawołujcie się ludzie, pod jasnym lazurem. / Chórem w światy spojrzyjcie, zatrwóżcie się chórem!". I tym sposobem poważny kiedyś tygodnik uczynił autora „Com uczynił" patronem KOD.

„Gazeta Wyborcza", szukając przyczyn rzekomej niełaski, w jaką popadł przy Wiejskiej Leśmian, doszła do wniosku, że stało się tak na skutek podobieństwa Jarosława Kaczyńskiego do charakterystycznej postaci z „Przygód Sindbada Żeglarza" – wuja Tarabuka. Wydawałoby się, że ten dziennik niczym już nie potrafi zaskoczyć, a tu proszę, jaka niespodzianka.

W Łodzi reżyser i aktor Bartosz Turzyński wraz z muzykiem Michałem Tabaką ogłosili Samozwańczy Rok Leśmiana, w Warszawie uroczyste wręczenie corocznej Nagrody Literackiej dostało leśmianowską oprawę, słowem – poezja twórcy „Dziejby leśnej" naznaczona została stygmatem antypisowskiego buntu. A mnie redaktorka Radia TOK FM dociekliwie indagowała, dlaczego nie lubię Leśmiana, co w jej ustach brzmiało jako wyrzut. Sęk w tym, że rzeczywiście za poezją Leśmiana nie przepadam, ale nie wiedziałem, iż ukochanie jego wierszy jest nad Wisłą obowiązkowe. Może – gorączkowo zachodziłem w głowę – kochamy autorów przynależących jednocześnie do różnych kultur (w końcu Leśmian najpierw pisał po rosyjsku), ale chyba nie. Pani Redaktor o Leśmianie chciała rozmawiać, o Conradzie nie. Tak czy inaczej zapamiętajmy: pierwszy jest „cacy", drugi „be".

Na szczęście w naszym pięknym kraju nie wszyscy jeszcze do reszty zgłupieli, co z satysfakcją stwierdzam po ustanowieniu nowego jury Nagrody Literackiej Angelus. Ze starego składu po zamieszaniu, którego bezpośrednim powodem były teksty niżej podpisanego, ostał się jedynie przewodniczący – Mykoła Riabczuk. Całej reszty jurorów, tych także, którzy w imię wolności słowa najchętniej zakneblowaliby usta swoim przeciwnikom, już nie ma. Zupełnie jak w znanym „partyzanckim" monologu Janusza Gajosa. Jednego dnia wyrzuciliśmy Niemców z lasu, drugiego dnia Niemcy wyrzucili nas, a trzeciego przyszedł leśniczy i wyrzucił i nas, i Niemców. A las szumi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. VLADIMIR MELNIKOV

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Cała nadzieja w małpie

★★★★☆☆

REŻ. JOHN VOGT-ROBERTS
„KONG: WYSPA CZASZKI" („KONG: SKULL ISLAND")
USA 2017

wyst. Tom Hiddleston, Samuel L. Jackson, Brie Larson, John C. Reilly

King Kong ma już prawie 84 lata, lecz na emeryturę się nie wybiera. I wciąż rośnie. Zaczynał od 15 m, teraz doszedł do setki. Czy „większy" oznacza „lepszy"? Tutaj zdania są podzielone. Oryginał z roku 1933 – z całym szacunkiem – trąci myszką. Wersja z 1976 r. przeszła do historii głównie za sprawą treści zoofilskich („Ależ Kong, przecież wiesz, że nie możemy..."), lecz producenci zarobili swoje. Z kolei Peter Jackson, mimo powszechnych oczekiwań, nie dał rady zamienić goryla o złotym sercu w kurę znoszącą złote jaja. Nowozelandzkiego „King Konga" uznano w Hollywood za kosztowny kaprys. Reżyser, świeżo opromieniony sukcesem „Władcy Pierścieni", ujawnił naturę epigona. Odnosiło się wrażenie, że jego jedyną ambicją było dokręcić sceny, których Merian C. Cooper i spółka zrealizować nie zdołali z powodu braku kasy oraz ograniczeń technicznych.

Twórcy filmu „Kong: Wyspa Czaszki" starali się uniknąć tego błędu. Zamiast kolejnego remake'u stworzyli reboota. Jak na ironię nowych pomysłów jest tu niewiele. Mamy za to zatrzęsienie (pop)kulturowych cytatów i odniesień. I to wielopiętrowych! Jeremy Clarkson powiedziałby, że superprodukcja o wielkiej małpie jedzie na pożyczonym, lecz pierwszorzędnym paliwie. Najbardziej rzucają się w oczy podobieństwa do wymyślonego przez Michaela Crichtona „Parku Jurajskiego", który wszak zawdzięcza swe istnienie powieści „Zaginiony świat" Arthura Conan Doyle'a. Kłaniają się też „Podróż do wnętrza ziemi" Verne'a i Conradowskie „Jądro ciemności". Oczywiście nie podejrzewam scenarzystów o znajomość prozy naszego rodaka, z pewnością jednak widzieli „Czas Apokalipsy". Wietnamskie wtręty dodają filmowi wigoru i humoru. Pomijając intro, akcja rozgrywa się w roku 1973, co bardzo korzystnie wpłynęło na ścieżkę dźwiękową. Dość wspomnieć, że amerykańska kawaleria powietrzna ląduje na Wyspie Czaszki przy dźwiękach „Paranoid" Black Sabbath.

Pacyfistyczny i ekologiczny przechył to w dzisiejszym Hollywood norma, autorzy starają się jednak przede wszystkim dostarczyć frajdy widzom, którzy chodzą do kina, by obejrzeć „coś większego niż życie". Stworzyli imponujący bestiariusz: od megabawołów do monstrualnych pajęczaków i ośmiorniczek. Wspomina się też o zabójczych mrówkach. Może zaatakują kogoś w sequelu lub prequelu? Przy okazji dowiemy się, jak zginęli rodzice Konga. On sam jest praktycznie niezniszczalny, nawet napalm się go nie ima. Jednak skoro przedpotopowe monstra gnieżdżą się pod powierzchnią planety, to warto pomyśleć o sojuszu człekokształtnych przeciwko zmiennocieplnym. Goryl nas uratuje! ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PIĘKNA I BESTIA"

Jedno z najważniejszych przedsięwzięć wytwórni Disneya ostatnich kilku lat – aktorska wersja animowanego przeboju z 1991 r. Zwiastun filmu bije rekordy zainteresowania w Internecie, największe wzbudza Emma Watson (Hermiona z serii „Harry Potter") w roli Belli. Za oceanem budzi jednak kontrowersje wprowadzenie do klasycznej bajki wątków gejowskich. W obsadzie pojawiają się także Ewan McGregor, Ian McKellen, Emma Thompson i Stanley Tucci. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Piękna i Bestia" („Beauty and the Beast"), reż. Bill Condon, wyst. Emma Watson, Dan Stevens, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Gold", reż. Stephen Gaghan, USA 2016***
- ***„Stado" („Flocken"), reż. Beata Gårdeler, Szwecja 2015***
- ***„Wszystko albo nic" („Všetko alebo nič"), reż. Marta Ferencová, Czechy 2017***
- ***„Wściekłość", reż. Michał Węgrzyn, Polska 2017***

eprasa.pl 9637e63beb

Gorączka złota

Kolumb był poniekąd hochsztaplerem. Uważając, że szczęściu trzeba pomagać, z premedytacją oszukiwał swych sponsorów, o podwładnych nie wspominając. Nazwisko odkrywcy Ameryki nieprzypadkowo pada w rozmowie bohaterów tego filmu. Najważniejszy z nich, Kenny Wells – prostak i pijaczyna, który doprowadził rodzinną firmę na krawędź upadku, wierzy, że i do niego uśmiechnie się szczęście. Resztki pieniędzy inwestuje w poszukiwanie złóż złota na Borneo.

Wyniki są obiecujące. Kenny z biura, urządzonego w zaprzyjaźnionym barze, przenosi się do apartamentu w nowojorskiej „Astorii". Od zera do multimilionera? Skądże! Diabelska huśtawka raz puszczona w ruch prędko się nie zatrzyma. O zgrozo, ta historia wydarzyła się naprawdę, dokładnie 20 lat temu. Scenarzyści przenieśli ją w nieco głębszą przeszłość – do roku 1988.

★★★★★★

REŻ. STEPHEN GAGHAN
„GOLD"
USA 2016

wyst. Matthew McConaughey, Edgar Ramírez, Bryce Dallas Howard, Corey Stoll

Wychodzi na to, że ludzka natura nie zmieniła się od czasów Kolumba. Blask złota oślepia giełdowych rekinów, polityków, bankierów, akcjonariuszy i spekulantów. „Gold" jest uboższym krewniakiem „McImperium" i „Wilka z Wall Street". Czasem popada w schematy, lecz Matthew McConaughey jak zwykle daje radę. Należy mu się złoty kilof. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRZECHODZIMY W ŁUBU-DUBU

★★★★★★

REŻ. EDWARD ZWICK
„JACK REACHER: NIGDY NIE WRACAJ" („JACK REACHER: NEVER GO BACK")
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Tom Cruise, Cobie Smulders, Aldis Hodge

Średnia kontynuacja udanego eksperymentu, jakim było obsadzenie pięć lat temu Toma Cruise'a w roli Jacka Reachera, twardziela z powieści Lee Childa. Pierwszy film był dobrym kryminałem z kilkoma zaskoczeniami, nowy film to już historia dużo mniej wiarygodna, w której od rozplątywania zagadki ważniejsze jest nieustanne bieganie po planie. Reacher wraca do swojej starej jednostki i próbuje odkryć, kto i dlaczego próbuje się pozbyć wszystkich, którzy wiedzieli coś na temat pewnych transakcji w Afganistanie. Opowieść jest nazbyt gładka i komiksowa (reżyseria – weteran Edward Zwick, ten od „Wichrów namiętności" i „Ostatniego samuraja"), no i partnerująca Cruise'owi Cobie Smulders jest aktorką o klasę gorszą od Rosamund Pike, która grała u jego boku w pierwszym filmie. Czeka nas jednak nieuchronny ciąg dalszy, bo wpływy z rozpowszechniania były obfite.

DZIEWCZYNA Z BESTSELLERA

★★★★★★

REŻ. TATE TAYLOR
„DZIEWCZYNA Z POCIĄGU" („THE GIRL ON THE TRAIN")
USA 2016, MONOLITH,

wyst. Emily Blunt, Haley Bennett, Rebecca Ferguson

Realia zmienione z angielskich na amerykańskie, treść ta sama – czyli ekranizacja bestsellera Pauli Hawkins, który od wielu miesięcy nie schodzi z list bestsellerów wielu krajów świata (także Polski). Porzucona kobieta podgląda z okien pociągu życie innych ludzi, zazdrość i ciekawość sprawią, że stanie się centralną figurą wypadków wiodących do odkrycia prawdy o pewnym zaginięciu. Thriller psychologiczny w stylu Hitchcocka, reklamowali recenzenci. Największym atutem książki była postać głównej bohaterki, sympatycznej kobiety z sąsiedztwa zmagającej się z nadwagą i ze skłonnością do kieliszka. W wersji kinowej gra ją Emil Blunt o zupełnie innej charakterystyce. Najgorzej w książce wypadała intryga, która jest mocno wydumana – takie rzeczy film obnaża najbardziej. I taka jest też największa słabość „Dziewczyny z pociągu". To, co wyobrażaliśmy sobie podczas lektury, kibicując pogubionej w życiu Rachel, na ekranie okazuje się nadzwyczaj banalne. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „TORMENT: TIDES OF NUMENERA" ★★★★★★

Wydana w 1999 r. „Planescape: Torment" to jedna z najlepszych gier PRG w historii. Po prawie 18 latach nadchodzi jej duchowy spadkobierca. Co ciekawe, sfinansowany oddolnie w kampanii crowdfundingowej na Kickstarterze. Czy warto było czekać? Bezapelacyjnie warto. „Torment: Tides of Numenera" to powrót do klasyki gatunku, tak gęsto upakowanej fabułą, że można z dialogów w grze napisać kilka książek. A sama fabuła oczarowuje. Miliard lat od dziś spadasz na Ziemię jako nieśmiertelna istota, która szuka swojej tożsamości. W uniwersum między fantasy a science fiction. Ogromnie wciąga. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *inXile/Techland*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 9637e63beb

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ludzie zdegradowani

Bardzo prawdziwą książkę napisał Wojciech Chmielewski, prozaik, który – jak niewielu autorów współczesnych – opisuje rzeczywistość taką, jaką jest w istocie, opowiadając o problemach, z jakimi naprawdę zmagamy się na co dzień, a nie zajmując się tematami zastępczymi, byle tylko modnymi i poprawnymi politycznie. Bohaterowie powieści intrygująco zatytułowanej „Belweder gryzie w rękę" żyją na peryferiach Warszawy, są w średnim wieku, mają jako tako ustabilizowane życie rodzinne i zawodowe, a jednak nie potrafią poradzić sobie z wszechogarniającym niepokojem ani znaleźć satysfakcji, nie mówiąc o spełnieniu, w tym, co robią i jak żyją.

Są wśród nich handlarz dywanami, dziennikarz prasy kolorowej, sklepikarz, ksiądz, kobieta „przy mężu" i telewizyjna redaktorka, matka samotnie wychowująca niepełnosprawnego umysłowo chłopca, są wreszcie – bo gdzie ich nie ma?! – pijaczkowie. Właściwie każdy z nich dojrzewa do zasadniczej zmiany w życiu. I niekiedy stawiają ten krok: Mariusz wyjeżdża do pracy na norweską platformę na Morzu Północnym, ks. Robert odchodzi z parafii i wstępuje do zakonu trapistów, kryzys wieku średniego (czy tylko on?) wywołuje rozdźwięki w związkach małżeńskich, na pozór kochający się małżonkowie szukają ulgi w romansach, byle jakich, pospiesznych, skazanych na porażkę. Pojawia się alkohol, z początku delikatniej, potem częściej. Dobrą, popłatną pracę stracić można z dnia na dzień, tak samo jak beznadziejną harówkę za grosze, nic nie jest pewne, a wszystko w jednej chwili może się załamać. I wtedy los prowadzi nas w zupełnie nieznanych kierunkach, a my ani nie potrafimy, ani nawet nie bardzo chcemy na niego wpływać.

FOT. TOMASZ PACZÓS/FOTONOVA

Marek potrafi zarabiać pieniądze, także nielegalnie, ale może dlatego myśląc o przyszłości, wie, że będzie dzieciom, gdy tylko dorosną, powtarzał: „Dzieci kochane, spieprzajcie z tego kraju, tata wam to mówi, bo tu jest złodziej na złodzieju, doróbcie się czegoś w obcych, zachodnich krajach, nauczcie języka, zawodu, a potem możecie tu wrócić do matki, do mnie albo i nie. Pokupować sobie domy. Wasz wybór". Troski materialne gnębią Grzegorza, kiedyś dobrze zarabiającego dziennikarza, dziś właściwie utrzymywanego przez żonę i męczącego się pisaniem bzdur do kolorowych pism. Przeczytany tom Konopnickiej (chodzi zapewne o „Z 1835 roku") i wspomnienie lektury „Pana Tadeusza" Mickiewicza oraz „Syzyfowych prac" Żeromskiego wywołują silne reakcje. Jednak czy kabotyńskie okrzyki wydawane przez sen są tylko wynikiem działania literatury czy może jednak wypitego alkoholu?

Ksiądz Robert swoją decyzję o opuszczeniu parafii podejmuje po modlitwie u grobu ks. Jerzego Popiełuszki, ale naprawdę najważniejsze było co innego: zetknięcie się z wydarzeniem, które zakłóciło lub całkowicie zmieniło życie i innych bohaterów powieści Chmielewskiego. A było nim pogryzienie dziewczynki – córki Grzegorza i Justyny – przez psa imieniem Belweder, nazwanego tak dziwacznie przez żonę jego właściciela, mocno zmenelowanego zresztą. Wypadek ten pociągnął za sobą straszliwe skutki, głównie w rodzinie ofiary pogryzienia (o czym zresztą dowiemy się dopiero w epilogu), ale i inni nie mogli się pogodzić z tym, co się stało. I ks. Robert wie, że nie potrafi pomóc skłóconym po tym wypadku rodzicom dziecka, tak jak nie potrafi w tym podwarszawskim czy warszawskim smogu, będącym mieszanką brudu i niepokoju, skupić się na Bogu. To dlatego wybiera trapistów z ich surową regułą, ciężką pracą oraz trwającym miesiącami milczeniem. I tłumaczy swojemu proboszczowi, że wypadek dziewczynki z poharataną przez psa ręką stał się dla niego „symbolem życia, z którym chce zerwać, nawet za cenę milczenia i monotonii".

Po tomach opowiadań „Biały bokser", „Brzytwa" i „Najlepsza dentystka w Londynie", po powieści „Kawa u Doroty" Wojciech Chmielewski napisał kolejną ważną książkę. Zdaniem innego świetnego współczesnego realisty, Marka Ławrynowicza, autor ten, niewątpliwie najzdolniejszy i najbardziej skrupulatny uczeń oraz następca Marka Nowakowskiego, „dyskretnie, w stonowany sposób mówi tu o jednym z najważniejszych problemów ludzkiej egzystencji – przychodzącej z dojrzałością degradacji pragnień i marzeń". ©℗

★★★★☆

WOJCIECH CHMIELEWSKI „BELWEDER GRYZIE W RĘKĘ" ISKRY, WARSZAWA 2017

eprasa.pl 9637e63beb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

2058 – zwyczajny ziemski rok

Świat za 30 lat będzie mniej więcej taki jak teraz, tylko trochę bardziej – prorokuje Jarosław Grzędowicz. Może mieć rację. W ostatnich latach coraz więcej naukowców wytyka, że weszliśmy w epokę, w której nauka stanęła w miejscu, bo nikt nie goni za odkryciami przełomowymi, dominują usprawnienia, ulepszenia tego, co jest.

Dlatego codzienność roku 2058 lepi Grzędowicz z elementów znanych dobrze dziś, nieco je przetwarzając i powiększając. Najważniejsze jest to, co się dzieje w przestrzeni informacyjnej, choć raczej powinienem powiedzieć „manipulacyjnej". Chociaż każdy jest nadawcą i odbiorcą kontentu (służą do tego omnifony), znudzona, ogłupiała i mocno zdemoralizowana większość jest zainteresowana wszelkimi komunikatami jedynie przez chwilę. Znaczenia nabierają więc specjaliści od tworzenia sztucznego zainteresowania. Są wśród nich ci, którzy robią to w imię własnych wielkich interesów (rządy i korporacje), są i wolni strzelcy, próbujący zarobić na życie (tak jak bohater książki). Brzmi znajomo?

Po kilkunastu latach spędzonych nad sagą „Pan Lodowego Ogrodu" Grzędowicz oferuje czytelnikowi powieść w klimacie jego opowiadań SF z lat 90., fantastyki bliskiego zasięgu o mocnym zacięciu społecznym. Podobnie czytało się „Polskę 2.0" Jacka Inglota, tyle że w tamtej powieści (rozważającej dwie wersje przyszłości Polski) więcej było eseju politycznego niż literatury. Grzędowicz nie popełnia tego grzechu, swoją opowieść o świecie biegnącym w miejscu z braku energii i pomysłu na własną przyszłość sprzedaje nam jako kawał inteligentnej rozrywki z nielichą dawką akcji. Szczególnie ciekawie prezentuje się pod tym względem „księżycowa" część powieści – rywalizacja potęg przenosi się na Srebrny Glob, bo tam właśnie znajdują się zasoby pierwiastka hel3, nowego, potężnego źródła energii.

Smutny jest w owej przyszłości los Polski, ale o tym na marginesie. Na końcu okaże się bowiem, że „Hel3" to przewrotny komentarz do naszych sporów o to, czy lepiej jest, gdy przyszłość wykuwają jednostki, czy też gdy dba o to zbiorowość, indywidualizm niszcząca. Jest więc to zarazem kontynuacja starej fantastyki socjologicznej i próba podniesienia problemu do skali międzyplanetarnej. Grzędowicz bawiąc, uczy. Pardon, powinienem napisać: bawiąc, martwi się okropnie. ©℗

★★★★★☆
JAROSŁAW GRZĘDOWICZ „HEL3" FABRYKA SŁÓW 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Kajakiem od Nowej Zelandii do Hawajów, czyli opowieść o niezwykłej wyprawie znanego podróżnika, autora takich książek jak „Wielki bazar kolejowy" i „Stary Ekspres Patagoński".

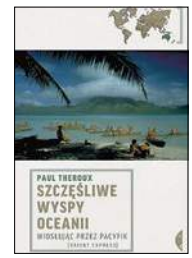

PAUL THEROUX „SZCZĘŚLIWE WYSPY OCEANII" CZARNE

Intrygująca propozycja dla smakoszy trudniejszej literatury – wczesna powieść znakomitego brytyjskiego poety. Dwanaście godzin z życia mieszkanki wojennego Londynu.

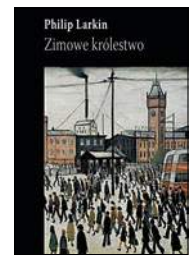

PHILIP LARKIN „ZIMOWE KRÓLESTWO" BIURO LITERACKIE

Pierwszy tom cyklu „Śledztwa Rocca Schiavone" – opowieści o rzymskim policjancie zesłanym w Alpy, gdzie w pięknych okolicznościach przyrody (których serdecznie nienawidzi) zajmuje się detektywistyczną robotą.

ANTONIO MANZINI „CZARNA TRASA" MUZA

Pierwsze wydanie tej książki ukazało się pięć lat temu, obecne wznowienie równoległe z premierą filmu „Milczenie" to świetna okazja, by poznać tajniki warsztatu reżysera. ©℗

poleca Piotr Gociek

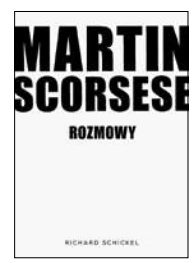

RICHARD SCHICKEL „MARTIN SCORSESE. ROZMOWY" AXIS MUNDI

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Michalina Wisłocka „Sztuka kochania" (Agora) – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.***
2. ***Harlan Coben „Już mnie nie oszukasz" (Albatros) – nowa powieść znanego autora thrillerów – weteranka z Iraku i tajemnica zabójstwa jej męża.***
3. ***Bruce W. Cameron „Był sobie pies" (Wydawnictwo Kobiece) – kolejny bestseller dzięki ekranizacji. Sympatyczny kundel, mały Ethan i wiele niespodzianek.***
4. ***Peter Wohlleben „Sekretne życie drzew" (Otwarte) – dobra lekcja, jak krzewić wiedzę, czyli Wohlleben robi dla lasu to, co Jürgen Thorwald zrobił dla chirurgów.***
5. ***M.L. Stedman „Światło między oceanami" (Albatros) – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 6 do 19 lutego 2017 r.)

eprasa.pl 9637e63beb

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

FOT. FILHARMONIA NARODOWA

Filharmonia żyje

Gdybym miał zachęcić dziecko i spróbować przekazać mu najpełniej, czym jest muzyka symfoniczna i jak niesamowitym organizmem jest zespół orkiestrowy, na pierwszy ogień wybrałbym „Pietruszkę" Igora Strawińskiego (1947). W myśl zasady, że „nie ma nigdy drugiej okazji, by zrobić pierwsze wrażenie", jestem przekonany, iż właśnie ta fantastyczna burleska choreograficzna może otworzyć wrażliwość dziecka. Czteroczęściowy utwór jest tak zróżnicowany, tak bardzo nasycony treścią, anegdotą, ale też niesamowitą energią, że urzeka słuchaczy bez względu na stopień muzycznego wtajemniczenia.

Jeżeli miałbym też szansę zaciągnąć do filharmonii zblazowanego nastolatka, spędzającego większość życia przed ekranem, to zaprezentowałbym mu „Sursum Corda" Ericha Wolfganga Korngolda. Uwertura młodziutkiego kompozytora, napisana pod wyraźnym wpływem Ryszarda Straussa w 1919 r., tuż po wielkiej wojnie (wtedy jeszcze wojen nie numerowano), mimo wszystko tchnie optymizmem. Nie czyni tego jednak nachalnie, nie odwołuje się do prostych emocji, raczej zmusza do uważnego śledzenia skomplikowanej struktury, zadziwia wewnętrznym napięciem, bogactwem przeplatających się motywów, niekiedy niepokojącą, ale zaraz potem śpiewną narracją. Na bazie chłodno przyjętej uwertury Korngold stworzy po latach wielkie oscarowe dzieło – soundtrack do hollywoodzkiej produkcji „Przygody Robin Hooda" (1938). Dokładnie ten typ orkiestracji stanie się najbardziej rozpoznawalnym brzmieniem kalifornijskiej fabryki snów, stąd nadzieja, że wychowani tylko na filmach analfabeci polubią znajome dźwięki. Właśnie te utwory 27-letni maestro Lorenzo Viotti (przystojniak, jakby żywcem z okładek kobiecych pism) wykonał z warszawskimi filharmonikami w pierwszy weekend marca.

Jednak kulminacją wieczoru pozostanie wirtuozerski popis Iskandara Widjai i „Symfonia hiszpańska" Édouarda Lali (1874) na skrzypce i orkiestrę.

Nie tylko młodzieńcza, taneczna ekspresja, nie sylwetka torreadora, nie amarantowa, lśniąca koszula, ale kunszt wykonania sprawiły, że egzotycznej urody skrzypek bisował i wychodził wielokrotnie do ukłonów. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Seksowne dźwięki PRL

Film o historii Michaliny Wisłockiej bije rekordy popularności w kinach. Album ze ścieżką dźwiękową jest popisem muzycznego wysmakowania Radzimira Dębskiego, występującego na płycie jako Jimek.

Dźwiękowe odwzorowanie epoki jest celem oprawy muzycznej. Pojawiają się zatem archiwalne nagrania Kapeli Czerniakowskiej, Czerwonych Gitar i Breakoutu. Ania Rusowicz z zespołem Mitch & Mitch przerobili „W co mam wierzyć" ostatniej z grup, a sami M&M nagrali stylizowany na przełom lat 60. i 70. „Striptease". Jimek wybrał najbardziej kreatywną drogę, tworząc nowoczesną muzykę, ale utrzymaną w konwencji. Ma ona nostalgiczny charakter, ale tak naprawdę tylko dźwiękowymi barwami odnosi się do czasów akcji filmu. Wyczucie epoki i niespotykana wyobraźnia muzyczna Jimka sprawiają, że jest to płyta bez ograniczeń wiekowych. Młodzi odnajdą wysmakowane brzmienia na styku acid jazzu, trip hopu i współczesnej elektroniki, a nawet klasyki. Starsi usłyszą dawne nuty za sprawą aranżacji czy wykorzystanego instrumentarium. Majstersztykiem jest trzyczęściowe nagranie „Trójkąt", w którym Dębski łączy syntetyczne smyki z fragmentem przedwojennego szlagieru Adama Astona „Tylko Ty". Wszystko to podane jest z wyczuciem i doskonałym zrozumieniem, na czym polega współczesna muzyka filmowa. Tak naprawdę to jest album Radomira „Jimka" Dębskiego, bo 18 z 23 nagrań stworzył właśnie on. ©℗

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY „SZTUKA KOCHANIA – SOUNDTRACK" WYDAWNICTWO AGORA

★★★★☆☆

ELBOW „LITTLE FICTIONS" POLYDOR

Guy Garvey często spowiadał się na płytach Elbow ze swoich porażek. W końcu szczęśliwie się ożenił i manchesterski zespół nagrał najbardziej rozbujaną płytę w karierze. Co nie znaczy, że wesołą. Przygaszony głos, minorowy nastrój, gitarowe brzmienia – angielscy krytycy zachwyceni. ©℗

★★★★☆☆

THUNDERCAT „DRUNK" NOPAPER

Zdobywca nagrody Grammy, wirtuoz basu, współpracownik największych gwiazd czarnej muzyki na trzecim albumie serwuje stonowany, a zarazem wysmakowany soul-funk. W singlowym „Show You the Way" wspomagają go rockowi weterani – Kenny Loggins i Michael McDonald. Inspirujące. ©℗

eprasa.pl 9637e63beb

Przybora bez niedyskrecji

Joanna Bojańczyk

Dawno żadna książka nie sprawiła mi tyle przyjemności. I nie wątpię, że da ją każdemu, kto ją weźmie do rąk

Kawał lektury (750 stron), ale gdy po trzech tygodniach zamknęłam wspomnienia Jeremiego Przybory pt. „Przymknięte oko Opaczności. Memuarów części wszystkie", poczułam żal.

89 lat życia, jest o czym pisać. Autor zatrzymał się na początku lat 90., umarł w roku 2004. Szkoda, że nie opisał tych ostatnich 10 lat. Teraz to już wszystko. Skończone życie, skończona książka.

Początek: cudowne dzieciństwo spędzone w dobrobycie w zamożnej warszawskiej rodzinie, na wilegiaturze w majątku kupionym przez ojca trochę w celach dochodowych, a trochę żeby dzieciom zapewnić dobre powietrze. Interes okazał się raczej nieudany, ale wakacje w Miedzyniu stworzyły klimat, w którym rozwinął się ten lekki, pogodnie inteligencki styl poety. Nie tylko jednak poety, bo Przybora jest też utalentowanym prozaikiem – pisze bogatą, błyskotliwą polszczyzną, lśniącą humorem i erudycją. Dowodem ta książka.

Jednak nad ziemiańskimi rodowodami się nie rozczula, tak jak to bywa w licznych biografiach, których początek zajmują splątane gałęzie genealogicznych drzew z setkami praprzodków. Kiedy raz w szkole kilkunastoletni Jeremi spróbował pochwalić się herbem, ojciec uniósł się gniewem: „Boże, dlaczego ukarałeś mnie tym zasmarkanym snobem? Widzieliście szlachcica! Czy ty słyszałeś, kapuściany łbie, co to jest demokracja?".

Pięknie opisany jest epizod kariery pedagogicznej studenta Przybory. Tak jak wielu wykształconych młodych ludzi z „dobrych rodzin" 18-latek wygrał casting na posadę wakacyjnego nauczyciela chłopca w rodzinie polsko-rosyjskiej arystokracji na kresach. Pobyt w Szczorsach zaowocował nie tylko wzruszającymi opisami w memuarach, przyjaźnią z wieloma osobami na całe życie, lecz także dalekimi echami w twórczości. Rozpozna je każdy, kto ją dobrze zna.

Kobiety. Było ich trochę w życiu Jeremiego Przybory. Cała jego twórczość jest o nich. Alicja Wirth, miłość ostatnia i największa, otrzymuje w memuarach najwięcej miejsca, uwagi i czułości. Pojawia się w życiu Przybory, kiedy jest on już „starszym panem" (czyli po czterdziestce, na dzisiejsze standardy młodzieżowiec), zostaje jego trzecią żoną. Jednak o żadnej z „byłych" Jeremi Przybora nie mówi źle. Najwyżej nie mówi wcale. Nawet pierwsza żona, z którą długotrwały rozwód nie należał do miłych, nie otrzymuje nieprzyjemnej recenzji, jak to bywa częstym udziałem „byłych" w rozmaitych „tell it all". Na tym polega klasa autora. Żadnego ekshibicjonizmu.

Przybora otaczał się wieloma przyjaciółmi i miał ich na długo. Są wśród nich znane nazwiska polskiej kultury powojennej

„Mój życiorys mógłby się komuś wydawać jednym pasmem dobroczynnych interwencji Opatrzności. Lecz chociaż przyznaję, że – pominąwszy to i owo – moje życie było w sumie lekkie, łatwe i przyjemne, nie sądzę, żebym jak na przykład pewna moja ciotka był ulubieńcem Nieba".

„To i owo" okazuje się ciężką szkołą okupacyjną. Nie ominęło go nic, co było udziałem Polaków za okupacji. Głód, ukrywanie się, ucieczki przed Niemcami, utrata bliskich. Groza tych czasów nie daje się przypudrować lekkim humorem, z jakim autor wspomnień próbuje je oddramatyzować. Życie nie było takie lekkie, łatwe i przyjemne, jak można by myśleć, nucąc piosenki.

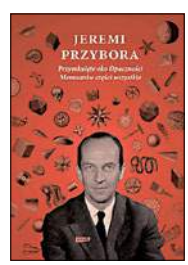

★★★★★★
JEREMI PRZYBORA
„PRZYMKNIĘTE OKO OPACZNOŚCI. MEMUARÓW CZĘŚCI WSZYSTKIE"
ZNAK 2016

Nazwisko Agnieszki Osieckiej nie pada, choć charakterystyka jasnowłosej dziewczyny poznanej w STS nie pozostawia wątpliwości, szczególnie tym, którzy znają „Listy na wyczerpanym papierze".

Przy pierwszym spotkaniu zapowiedziała Przyborze, że będzie go denerwować. I słowa dotrzymała. Jednak on wyraża się o niej z właściwą sobie nutą życzliwej ironii, nie zapominając jednak dodać, że była wyjątkowo… źle ubrana.

Liczba ludzi przewijających się przez te wspomnienia dowodzi nie tylko intensywności kontaktów towarzyskich, lecz także ich trwałości. Przybora otaczał się wieloma przyjaciółmi i miał ich na długo. Są wśród nich znane nazwiska polskiej kultury powojennej. W odróżnieniu od dzisiejszej ówczesna telewizja starała się o względy ambitnego widza. W siermiężnych czasach Pańskiego i Sokorskiego mały ekran w tym, co nie było polityką, należał do najlepszych autorów, aktorów i dziennikarzy.

Doznał pan Jeremi „ukąszenia heglowskiego", o czym pisze otwarcie, z właściwą sobie nutą żartobliwej samokrytyki. Wstąpił do partii w późnych latach 40., oddał legitymację po październiku 1956 r. Po owocach ich poznacie, nie po doraźnych porywach. Mnie ta karta życiorysu nie jest w stanie zaciemnić zachwytu nad całokształtem.

Miałam szczęście zetknąć się prywatnie z Jeremim Przyborą i Alicją Wirth. Spotkałam ich kilka razy u malarki Barbary Jonscher na Starym Mieście. Kiedyś latem w połowie lat 70. z naszym małym synkiem Antosiem odwiedziliśmy państwa Przyborów w Pacewie nad Pilicą, gdzie mieli letni dom, tak uroczo w memuarach opisany. W czasie każdego z tych spotkań czułam onieśmielenie, chociaż trudno sobie wyobrazić kogoś delikatniejszego w obyciu towarzyskim niż on.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Tomasz P. Terlikowski

Prorocki

Franciszek miał być papieżem, który uporządkuje sytuację w Kurii Rzymskiej, poradzi sobie ze skandalami seksualnymi i wniesie nowy powiew duszpasterski. Zamiast tego mamy pogłębiający się chaos

Chociaż papieski PR pracuje na pełnych obrotach, bergoglianie w mediach i biurze prasowym dzielnie przekonują, że wszystko idzie świetnie, bo papież jest uwielbiany przez wiernych i niewiernych (co zresztą jest prawdą), ma znakomity kontakt z liberalnymi mediami i nieustannie zaskakuje, to niestety kolejne wydarzenia pokazują, że cele, jakie – wedle niepotwierdzonych, ale wiarygodnych przecieków z konklawe – stawiali kardynałowie przed nowym papieżem, nie zostały osiągnięte. Twardy człowiek z Buenos Aires ani nie zreformował Kurii Rzymskiej, ani nie zrealizował do końca spójnej polityki Benedykta XVI przeciwko skandalom seksualnym, ani nie zdecentralizował Kościoła, ani nawet nie zaproponował spójnej wizji duszpasterskiej dla Kościoła w XXI w.

NAUCZYCIEL

Osobiście uwielbiam kazania papieskie z porannych mszy świętych. Uważam, że znajduje się w nich wiele niezwykle cennych – zarówno z perspektywy życia religijnego prostych wiernych, jak i myślenia teologicznego – spostrzeżeń. Z ogromnym zainteresowaniem zaglądam więc wieczorami na portal Radia Watykańskiego, by skonfrontować się z czasem surowymi, a czasem ojcowskimi słowami Franciszka. Wiele z nich wynotowuję sobie, by potem korzystać z nich w praktykach religijnych czy modlitwie. Nie brak takich fragmentów także w adhortacji „Amoris laetitia", gdzie Franciszek – jako pierwszy papież w oficjalnym dokumencie – zwraca się wprost do kobiet w ciąży i prosi, by cieszyły się, wbrew niekiedy radom bliskich, ze stanu błogosławionego. W prostym duchowym i religijnym nauczaniu Franciszek jest niewątpliwie mistrzem. I nawet jeśli część tych kazań może być krytykowana za zbyt ostre sformułowanie, to… nie da się nie dostrzec, że w ten sposób papież wpisuje się po prostu w dominujący ton dyskursu i jest skuteczny, pokazując często chrześcijanom, jak prowadzić własną akcję ewangelizacyjną.

Nie mam też wątpliwości, że dla Kościoła i świata istotne jest zaangażowanie papieża w walkę z czymś, co – posługując się analogią do nauczania choćby Leona XIII – nazwać można „bezbożnym kapitalizmem". Franciszek w licznych swoich kazaniach, przemówieniach, a także w encyklice (dla mnie „Laudato si", wbrew tytułowi, wcale nie jest dokumentem o ekologii, ale w istocie o tym, jak wyglądać powinna prawdziwie ludzka i Boża gospodarka) ostro gromi „dyktat pieniądza", wygodnictwo ludzi Zachodu, brak solidarności z ubogimi i przekonanie, że mieszczańska moralność jest w istocie chrześcijaństwem. W tych kwestiach głos papieża brzmi profetycznie. – Gdy dochodzi do bankructwa banku, natychmiast pojawiają się skandaliczne sumy, by go uratować, ale kiedy ma miejsce bankructwo ludzkości, nie ma nawet tysięcznej części tego, by ratować braci, którzy tyle cierpią – mówił papież Franciszek do uczestników światowego zjazdu ruchów ludowych, obradującego w Rzymie. – Kto zatem rządzi? Pieniądz – dodał. – Jak rządzi? Za pomocą bicza strachu, nierówności, przemocy ekonomicznej, socjalnej, kulturowej i militarnej, która wywołuje jeszcze większą przemoc w spirali zdającej się nie mieć końca – podsumował Franciszek.

eprasa.pl 9637e63beb

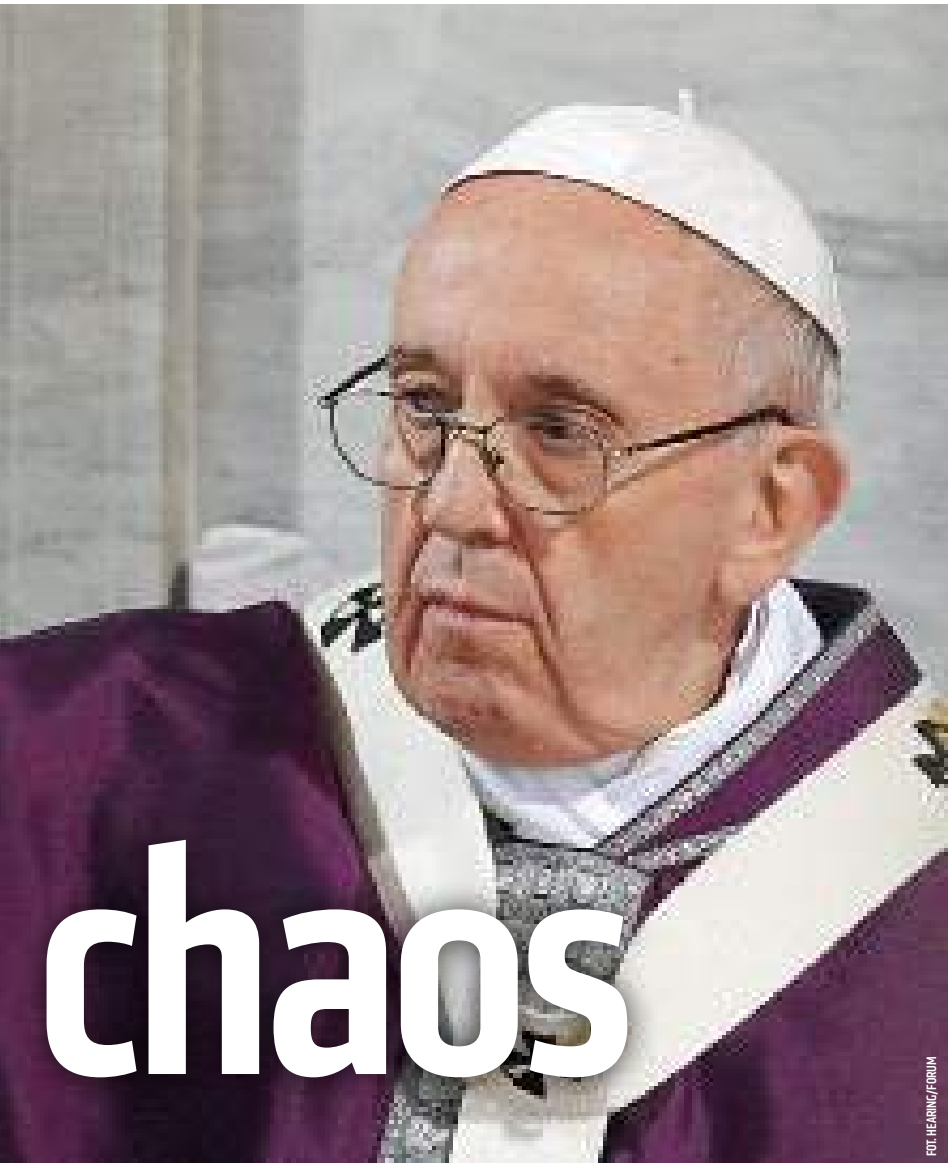

chaos

FOT. HEARING/FORUM

I nawet jeśli jego słowa irytować mogą amerykańskich czy europejskich katolickich oraz protestanckich piewców neoliberalizmu, to nie ulega wątpliwości, że Franciszek nie tylko kontynuuje w ten sposób antyliberalne nauczanie swoich poprzedników (by wymienić tylko Leona XIII i Piusa XI, o bł. Pawle VI nie wspominając), lecz także wskazuje na realne problemy Ameryki Łacińskiej i Afryki (a także części wykluczonych krajów Europy i Azji). Papież – i znowu nie powinno to zaskakiwać, biorąc pod uwagę jego pochodzenie – mówi także językiem antykolonializmu, atakuje gender i promocję homoseksualizmu właśnie z tej perspektywy i przez to pokazuje zaskakujące nieraz, dla umysłów zachodnich, konsekwencje myślenia pewnej części liberalnej lewicy oraz prawicy.

I nie mam najmniejszych wątpliwości, że to po Franciszku zostanie, że to jest trwały wkład (choć często utrwalony jedynie w formie kazań czy wywiadów), który – jako spojrzenie z innej strony na rzeczywistość Kościoła i świata – pozostanie w historii Kościoła.

MOCNE SŁOWA, ALE...

Wszystkie te pozytywne oceny nie mogą zmienić tego, że nawet wydarzenia z ostatnich tygodni doskonale pokazują, iż w kwestii zarządzania, reformy i wprowadzania własnego nauczania pontyfikat Franciszka nie okazał się sukcesem. Najlepiej widać to po rezygnacji Marie Collins z członkostwa w Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich. Ofiara pedofilii w Kościele, która zaangażowała się w – tak mocno głoszoną przez Franciszka – walkę z pedofilią, odeszła z komisji, bo – jak sama stwierdziła – nie widziała wsparcia w Kurii Rzymskiej ani instytucjach kościelnych. I choć Collins zapewnia, że jej stosunek do papieża jest nadal entuzjastyczny, i wierzy w jego szczerość w walce z pedofilią, to trudno nie dostrzec, że przynajmniej kilka decyzji samego Franciszka mogło podważyć zaufanie do szczerości papieskiej walki z pedofilią.

Najmocniejszym tego przykładem jest historia ks. Maura Inzoliego, którego Benedykt XVI za molestowanie chłopców w wieku od 12 do 16 lat usunął ze stanu kapłańskiego. Franciszek przywrócił go na powrót do grona kapłanów i choć zakazał mu kontaktów z nieletnimi oraz publicznego sprawowania posługi duszpasterskiej, to trudno nie zadać pytania, dlaczego tak się stało. Niezawodny rzecznik prasowy wyjaśniał, że decyzja ta wynikała z „miłosierdzia" Franciszka. – Ojciec Święty jest jednak przekonany, że ewangeliczne przesłanie miłosierdzia jest w istocie źródłem uzdrowienia i łaski – mówił dyrektor biura prasowego Stolicy Apostolskiej Greg Burke. Kłopot polega tylko na tym, że taki gest miłosierdzia oznacza – by przypomnieć nauczanie św. Jana Pawła II – głęboką niesprawiedliwość wobec ofiar księdza-pedofila.

Miłosierdziem nie da się natomiast wyjaśnić decyzji w sprawie kard. Jozefa de Kesela, który – choć ciążą na nim poważne oskarżenia o chronienie pedofilów w diecezji – nie tylko został mianowany arcybiskupem Brukseli, lecz także otrzymał kapelusz kardynalski i cieszy się ogromnym zaufaniem papieża. Nie inaczej jest z nieodmienną sympatią papieską okazywaną kard. Danneelsowi, który także oskarżany jest o wieloletnie chronienie przestępców seksualnych. Franciszek odmówił także odwołania chilijskiego biskupa, który miał chronić przestępców w sutannach, ale... za to był jego bliskim przyjacielem. Taki model zarządzania kryzysem wokół skandali seksualnych trudno uznać za zadowalający czy choćby spójny z jasnymi deklaracjami samego Franciszka.

Nie widać także jakiejś głębokiej reformy Kurii Rzymskiej. Powoływane są wprawdzie nowe byty, a w innych odwoływani są wszyscy członkowie (tak stało się w Papieskiej Akademii Życia), ale nie ma ani szczególnie mocnej gry zespołowej, ani wizji. Franciszek zarządza wszystkim jednoosobowo, nieczęsto

eprasa.pl 9637e63beb

daje się przekonać do innych pomysłów, a do tego ma tendencje (o których mówili już jego współpracownicy z Buenos Aires) do autorytarnych zachowań i wymuszania na swoich współpracownikach przyjmowania jego punktu widzenia. Nie jest to, rzecz jasna, zbrodnia. Papież ma prawo zarządzać Kościołem, tak jak mu się podoba – i Pius XII robił to bardzo podobnie – tyle że on nie głosił potrzeby decentralizacji Kościoła ani nie podkreślał, że papież powinien zarządzać Kościołem synodalnie.

DOKTRYNALNE ZAMIESZANIE

Wysławiane pod niebiosa duszpasterskie podejście i otwarcie, choć niewątpliwie zaskarbiły Franciszkowi sympatię mediów, na dłuższą metę też przyczyniają się do pogłębienia doktrynalnego chaosu. „Amoris laetitia", a konkretniej jej ósmy rozdział, już teraz zaowocowała sytuacją, w której w różnych diecezjach (o krajach nie wspominając) funkcjonuje odmienne podejście do problemu komunii świętej dla rozwodników w ponownych związkach. I tak jedni biskupi oraz kardynałowie podkreślają, że od teraz, nawet jeśli partnerzy nie decydują się na życie we wstrzemięźliwości, mogą przystępować do komunii, bo Franciszek zmienił dyscyplinę sakramentów, inni zaś podkreślają, że w tej sprawie nic się nie zmieniło. W efekcie rozwiedziony i w ponownym związku Włoch czy Amerykanin, zależnie od tego, w jakiej jest diecezji, może lub nie może przystąpić do komunii. A księża, w zależności od diecezji, muszą udzielić mu rozgrzeszenia albo nie powinni tego zrobić. I choć mijają miesiące, a kolejni hierarchowie proszą o jasną wykładnię dokumentu, to… Franciszek milczy. A dokładniej wydaje sprzeczne komunikaty, zgodnie ze złośliwie opisanym przez watykanistę Sandro Magistra modelem wypowiedzi: „Tak, nie, róbcie, jak chcecie".

Nie jest to zresztą jedyna kwestia, w której papież otwiera dyskusję czy sugeruje możliwość zmiany dyscypliny i doktryny, a później… milczy. Dwa tygodnie temu ks. prof. Robert Skrzypczak pisał na łamach „Do Rzeczy" o sugestiach dotyczących komunii świętej dla protestantów, które coraz częściej są formułowane przez bliższych i dalszych współpracowników Franciszka. A on sam, po jednej niejednoznacznej wypowiedzi, zamilkł. I znowu, tak jak w przypadku komunii dla rozwodników, biskupi są podzieleni, wydają sprzeczne komunikaty i dyspozycje, a przeciętny wierny jest… coraz bardziej skołowany. Tak jak wtedy, gdy papież absolutnie jednoznaczną odpowiedź Jezusa na pytanie o to, czy można się rozwodzić, uznał za przykład braku odpowiedzi i niechęć do kazuistyki.

Skąd bierze się to zamieszanie, niechęć do jednoznacznych rozstrzygnięć? Przeciwnicy papieża uznają, że powodem ma być plan powolnego rozmywania doktryny, swoistego gotowania żaby, podczas którego zwolennicy ortodoksji nie będą mieli powodów do podnoszenia afery, a jednocześnie praktyka Kościoła będzie się zmieniać. Taką opinię wzmacniają wypowiedzi także zwolenników papieża, którzy – tak jak abp Bruno Forte – wprost sugerują, że papież chciał i chce zmienić doktrynę, ale musi to robić powoli. Papież Franciszek miał – jak opowiadał abp Forte portalowi ZonaLocale.it – powiedzieć jemu i zwolennikom liberalizacji praktyki duszpasterskiej, że poglądu, iż osoby rozwiedzione w nowych związkach będą dopuszczone do komunii świętej, nie wolno im sformułować wprost, bo „wywołałoby to straszny bałagan". „Dlatego nie będziemy o tym mówić wprost, ale coś tylko zasugerujcie, a ja wyprowadzę z tego wszystkie wnioski" – miał powiedzieć arcybiskupowi Forte Franciszek. – Typowy jezuita – zażartował włoski hierarcha. Słowa te nigdy nie zostały zakwestionowane przez Stolicę Apostolską, a prywatne wypowiedzi Franciszka, choćby do biskupów regionu Buenos Aires, zdają się taką interpretację potwierdzać.

Kościół za pontyfikatu Franciszka wszedł w zdecydowany zakręt FOT. EAST NEWS

Istnieje jednak także inna interpretacja (niekoniecznie zresztą sprzeczna), zgodnie z którą Franciszek uznaje zarówno moralizowanie, jak i żelazną wierność doktrynie za przeszkodę w ewangelizacji, za kamienie rzucane na niewiernych, które odciągać ich mają od Kościoła, od wiary. Doktryna czy głoszenie moralności nieczęsto pojawiają się w pozytywnym kontekście w wypowiedziach papieża, a ich obrońcy często przebierani są w szaty faryzeuszy czy uczonych w Piśmie. I choć można to także uznać za element rozmywania doktryny, to można także dojść do wniosku, że Franciszek jest przekonany (a pozostawałoby to spójne z jego wizją ewangelizacji przedstawioną w „Evangelii gaudium"), że ostatecznie na doktrynę i moralność, a także stawianie ostrych wymogów przychodzi czas dopiero, gdy człowiek radykalnie się nawróci i wejdzie w życie Kościoła. Stawianie wymogów wcześniej i głoszenie moralności w świecie postępującej niemoralności mogą jedynie odrzucać od Kościoła.

NA ZAKRĘCIE

Niezależnie od tego, która z tych interpretacji zachowania papieża jest słuszna (a może słuszne są w jakimś stopniu obie), można odnieść wrażenie, że „efekt Franciszka" przynajmniej wśród kardynałów powoli przestaje działać. I choć sformułowaną przez Antonia Socciego w rozmowie z „Times of London" opinię, że większość z kardynałów wybierających kard. Bergoglia na papieża teraz chciałaby – z obawy przed schizmą – jego rezygnacji, można uznać za zdecydowanie przesadzoną, to jednocześnie nie sposób nie dostrzec, że Kościół za pontyfikatu Franciszka wszedł w zdecydowany zakręt. I nie chodzi o to, że papież spogląda na rzeczywistość z perspektywy Ameryki Łacińskiej, ale o to, że jego pontyfikat nie tyle uspokoił, ile jeszcze mocniej rozchwiał znajdującą się w kryzysie przynajmniej od Soboru Watykańskiego II łódeczkę Kościoła. A skutki tego rozchwiania (zarówno te pozytywne, jak i negatywne) będą odczuwane jeszcze przez wiele dziesięcioleci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nieciekawi intryganci

Jest taka powieść Stephena Kinga, w której do spokojnego miasteczka przybywa diabeł. Nie taki z widłami i ogonem, lecz pod postacią dystyngowanego, starszego pana. Bardzo miłego, sympatycznego i urzekającego.

Diabeł osiedla się w miasteczku i zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Żyjący dotąd zgodnie ludzie zaczynają popadać w coraz gorsze konflikty. Dochodzi do kłótni, awantur, bójek. W końcu małomiasteczkowy kosmos rozpada się z hukiem. Diabeł przygląda się temu z udawaną troską, a tak naprawdę radością. To on podstępnie szczuje mieszkańców na siebie, sącząc umiejętnie półsłówka i sugestie, które padają na podatny grunt, jakim jest wszak ludzka natura.

Od czasu do czasu spotykam takich diabełków w realnym życiu. Są osobnicy, którzy z niewyjaśnialnych zupełnie powodów czerpią satysfakcję ze skłócania ze sobą ludzi. Gdybyż chodziło o jakieś zawodowe intrygi, mające przynieść diabełkowi wymierną korzyść: awans, premię czy prowadzenie ważnego balu, tak jak w tyleż brawurowym, co przygnębiającym „Wodzireju" Feliksa Falka. Podjudzanie w polityce, rozgrywkach służb specjalnych, dyplomacji czy życiu korporacyjnym ma jakiś sens, a przynajmniej tak się może wydawać. Są jednak ludzie, którzy oddają się skłócaniu innych bez żadnego widocznego powodu, jakby była to ich życiowa misja. Główny sens istnienia.

Nie tak dawno trafiłem do małej społeczności, która na zdrowy rozum nie miała powodów, by się konfliktować. Żadnych sprzecznych interesów, dość ograniczona zażyłość, żadnych zaszłości. Nic. Ot, po prostu przypadkowa grupa sympatycznych postaci. A jednak bardzo szybko ta społeczność zaczęła się rozpadać, niczym owo miasteczko z powieści Kinga. Ludzie zaczęli brnąć w absurdalne konflikty. Nie wiedzieć kiedy wytworzyła się skomplikowana siatka sojuszy, które zmieniały się tak szybko jak w XV-wiecznych Włoszech. Niedomówienia, sugestie i plotki spowodowały, że wszyscy mieli o sobie jak najgorsze zdanie. Wszyscy się na siebie poobrażali. Właściwie bez żadnego powodu.

Na szczęście w realnym życiu intrygują ludzie, a nie diabeł. Po jakimś czasie pokłóceni zaczęli sobie uświadamiać, że źródłem plotek, oczerniających przekazów i wyrwanych z kontekstu cytatów jest jedna i ta sama postać. Różne osoby zaczęły sobie zadawać pytania: Po co? O co chodzi? Jaki jest cel tych quasi-talleyrandowych i w sumie dość nieporadnych zabiegów? Racjonalna odpowiedź na te pytania jednak nie istniała. Intrygant niczego nie zyskał. Gorzej. Skoro został namierzony, to w dość naturalny sposób pokarano go towarzyskim ostracyzmem, zdaje się, że dość bolesnym.

Są ludzie, którzy po prostu nie mogą żyć bez intryg. Jak to dobrze, że można żyć bez nich. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kaduceusz jako mieszadełko

Ogromnie żałuję, że nie udało mi się namówić Roberta Górskiego do wstawienia „Ucha Prezesa" do telewizji publicznej. Byłoby i co obejrzeć, i czego posłuchać. Wiem, że decyzja była trudna i ryzykowna dla niezależnego autora – dla opozycji totalnej najmocniejsze nawet żarty z obozu władzy emitowane w TVP byłyby i tak dowodem, że Górski został kupiony, przewerbowany, a może nawet wykorzystany.

Również w obozie władzy nie wszyscy – nawet ci, którzy głośno zachwycali się własnym karykaturami – byliby zachwyceni. W końcu obraz sytuacji był dość jasny – genialny, choć niepozbawiony słabostek Naczelnik Państwa i niedorastający mu do pięt dworacy. Mniej więcej w podobny sposób autorzy „Cyrulika Warszawskiego" przedstawiali w międzywojniu Józefa Piłsudskiego i bywali przez niego nawet zapraszani wraz z kukiełkami do Belwederu.

Jego satyra, zajmując się ludzkimi śmiesznostkami i słabościami, nie dotyka istoty polityki

Tak czy inaczej kaduceusz dzierżony przez nich, a później przez kilku śmiałków PRL (Dobrowolski, Pietrzak, Młynarski; i mnie udało się go chwilę potrzymać w „Polskim zoo"), trafia w dobre ręce.

Na tle kabaretowej mizerii lider Kabaretu Moralnego Niepokoju prezentuje się nieomal niczym Jacek Saryusz-Wolski na tle byłych kolegów z PO.

Jeśli czegoś mi w „Uchu" brakuje, to kontekstu – działania rozgrywające się w baraczku przy Nowogrodzkiej nie dzieją się przecież w próżni i nabierają głębszego sensu dopiero w zderzeniu z tym, co wyprawia opozycja – mniej lub bardziej totalna.

Górskiemu to jednak nie leży. Jego satyra, zajmując się ludzkimi śmiesznostkami i słabościami, nie dotyka istoty polityki. Ideowego i kulturowego sporu. Nie stawia pytań o racje stanu, kondycję Polski, interes narodowy, sens sprawowania władzy.

Oczywiście sięgnięcie po tę tematykę niezawodnie zmusiłoby twórcę „Ucha Prezesa" do opowiedzenia się przy którejś ze stron konfliktu. Bo bezstronność, gdy dochodzi do prawdziwej próby sił, nie wychodzi nawet Kukizowi.

Po co jednak narzekać? W gęstej atmosferze polskiej sceny politycznej, utrzymującej się w pełnej apatii części społeczeństwa i agresji rozgrzewającej do białości inne jego segmenty, internetowy kabarecik jest jak łyk świeżego powietrza. Jest dowodem na to, że żart przydaje się w każdej sytuacji. A jeśli na moment wywołuje równoczesny śmiech ludzi po dwóch stronach barykady, to dowodzi, że mieszanie kaduceuszem może jednak prowadzić w stronę normalności. ©℗

eprasa.pl 9637e63beb

WYWIAD NIEAUTORYZOWANY

Z Piotrem Apelem, posłem Kukiz'15
rozmawia Marek Migalski

Nie jesteśmy cichym koalicjantem PiS

MAREK MIGALSKI: Jest pan endekiem?
PIOTR APEL: Nie.

To dlaczego jest pan w jednym klubie z endekami?
Endecja jest pewnym elementem klubu Kukiz'15.

A piłsudczyków macie?
Mnie bliżej do Piłsudskiego niż do Dmowskiego.

To jeszcze zaproście socjalistów i komunistów do siebie i będziecie mieli pełną II RP.
To nie byłoby takie złe.

Naprawdę nie byłoby źle, że byłby pan w jednym klubie z komunistami?
Tak, bo mamy wspólne cele. Gdyby to byli przedwojenni komuniści…

Czyli KPP tak, ale PZPR już nie?
Limanowski by nam nie zaszkodził.

Jednak on chyba nie był komunistą! Był socjalistą.
No to tego typu socjaliści by mi nie przeszkadzali.

Co was łączy w tym klubie?
Chcemy doprowadzić do zmiany myślenia o systemie…

Wiedziałem, że padnie słowo „system".
To jest kluczowe. Dzisiaj obywatel, który jest suwerenem, nie ma takiej władzy, jaką mieć powinien.

Jak to? Przecież suweren wybrał PiS i ta partia rządzi.
Demokracji nie można ograniczać tylko do wyborów odbywających się raz na cztery lata. Demokracja to także decydowanie w drodze referendum.

Przecież pana klub głosował za odrzuceniem projektu obywatelskiego w sprawie liberalizacji prawa do aborcji.
Ja byłem za dalszym procedowaniem.

A klub?
Klub się podzielił. Uważamy, że w sprawach światopoglądowych referenda nie powinny się odbywać.

To jak to jest? Jesteście za prawem obywatela do referendów, a potem odmawiacie tego prawa w konkretnych sprawach?
Chodzi o to, żeby większość nie narzucała światopoglądu mniejszości.

Pewnie – lepiej, żeby to zrobiła grupa posłów.
W referendach powinny być rozstrzygane przede wszystkim kwestie gospodarcze.

Na przykład płacenie podatków?
Bądźmy poważni. Chodzi np. o CETA czy zmiany systemu emerytalnego.

90 proc. Polaków nie ma pojęcia, co to jest CETA, a w sprawach aborcji, kary śmierci czy prawa homoseksualistów ludzie mają wyrobione zdanie.
Dlaczego pan traktuje ludzi jako ograniczonych?

Są ograniczeni swoją wiedzą lub jej brakiem.
70 proc. wyborców deklarowało, że wie, co to jest CETA.

Niech pan rozszyfruje ten skrót.
To jest umowa pomiędzy Kanadą a Komisją Europejską…

Co to znaczy „CETA"?
To jest umowa o wolnym handlu pomiędzy Kanadą….

Oj, pan chyba nie wie, co to jest ta CETA…
Wiem. Nawet przeczytałem 14 tys. stron.

Przeczytał pan 14 tys. stron, ale nie wie pan, co to jest „C", „E", „T" i „A"?!
Nie chcę się pomylić.

A jak wam idzie walka z systemem po półtora roku? Macie jakieś sukcesy?
Myślę, że tak. Zwłaszcza jak na ugrupowanie, które jest w opozycji, więc takie, które de facto nie ma wpływu na legislację.

Na przykład?
Dzięki Kukiz'15 poruszona została kwestia CETA.

Naprawdę chce pan do tego wracać?
Kolejna rzecz – mówiliśmy o tym, jak władza wykorzystuje swoje przywileje.

Czym pan przyjechał na nasze spotkanie?
Autobusem?

Za darmo, prawda?
Tak.

No to jest pana przywilej. Ile pan zarabia jako poseł? Ja 3,5 tys. zł jako adiunkt na niezłym uniwersytecie.
Około 10 tys. na rękę.

Godziwie. 30 pana kolegów i koleżanek też ma tak fajnie.
Każdy, kto ciężko pracuje, a ja pracuję ciężko, powinien za to dostawać godziwe wynagrodzenie. Nie rozumiem natomiast, dlaczego każdy VIP musi jeździć na tzw. bombie?

eprasa.pl 9637e63beb

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

I co zrobiliście przez te 18 miesięcy, żeby to zmienić?
Zablokowaliśmy „Koryto plus", czyli podwyżki uposażeń dla posłów.

Jak to wyście zablokowali? Nie było głosowania w tej sprawie.
To dzięki temu, że Paweł Kukiz poruszył tę sprawę publicznie. To myśmy wprowadzili do debaty kwestię kwoty wolnej od podatku, sędziów pokoju itp.

Jednak wy nie jesteście klubem dyskusyjnym, tylko poselskim. Żaden z waszych projektów nie wszedł w życie. Może w ogóle nie przyjeżdżajcie do Sejmu, tylko niech Kukiz na Facebooku porusza tematy do dyskusji?
To tak nie działa. Musimy się spotykać z obywatelami, poznawać ich problemy.

Myślałem, że już je znacie i że weszliście do polityki, by je rozwiązywać, a nie się o nich dowiadywać. Jeżdżąc do tych obywateli limuzynami...
Nie limuzynami.

Marszałek Tyszka używa sejmowej limuzyny?
Ja mam swojego starego forda focusa.

Który rocznik? Uwierzę panu na słowo.
Ma już dziewięć lat.

Jednak marszałek Tyszka chyba się wozi limuzynami, prawda?
Nie wiem.

Jednak nie zaprzeczy pan?
Na pewno ma do dyspozycji auto sejmowe. Nie sądzę, by korzystał z niego bardziej, niż pozwala na to prawo.

Nie śmiałem tak przypuszczać. Korzysta jednak na tyle, na ile owo prawo pozwala. I ma swój gabinecik?
Ma. Jak każdy wicemarszałek.

No jasne, że jak każdy wicemarszałek. Wsiąkliście w ten znienawidzony przez was system, a jedyny efekt, którym się możecie pochwalić, to to, że „wprowadziliście pewne tematy pod dyskusję". Słabo.
O naszym pomyśle sędziów pokoju już parę razy pozytywnie wypowiadał się rząd.

I co? To już wam wystarcza?
Próbujemy wprowadzić to do polskiej legislacji.

A uważa pan, że to jest w ogóle dobry pomysł? Jak mieliby być wybierani ci sędziowie?
W wyborach powszechnych.

Czyli w moim rodzinnym Raciborzu raciborzanie wybieraliby takiego sędziego, który zajmowałby się...
... tymi najdrobniejszymi sprawami sądowymi.

Czyli mógłby to być lokalny mafioso?
Nie, bo nie zostałby wybrany.

Pamięta pan Stokłosę?
Pamiętam, tylko że uważam, iż te sprawy, którymi miałby się zajmować sędzia pokoju, nie interesowałyby lokalnego mafiosa.

Czy ja wiem...
Traktuje pan obywateli jako kogoś ograniczonego.

A Gawronika pan pamięta? Kto go wybierał?
Jeżeli pan uważa, że obywatele źle wybierają, to zrezygnujmy z demokracji. Albo mają oni prawo do decydowania o sobie, albo wybierzmy sobie inny ustrój. Ja wierzę w wyborców.

Może ja nie doceniam zdolności ludzi do trafnych wyborów, ale może pan je przecenia.
Jest wiele państw, w których takie rozwiązania funkcjonują.

A wie pan, jaka tam jest frekwencja wyborcza? Ile osób się stowarzysza? Jak silne jest społeczeństwo obywatelskie?
Musimy zrobić pierwszy krok w stronę budowania społeczeństwa obywatelskiego.

Tylko że wy chcecie zrobić nie pierwszy krok, lecz ostatni.
Na wszystko potrzeba czasu.

À propos – ilu posłów liczy dziś klub Kukiz'15? Ilu dzisiaj ubyło?
Stan jest bez zmian – 33 osoby.

A zaczynaliście od...?
Od 41.

Czyli na Bugu we Włodawie w ciągu roku ubyło jednej czwartej klubu.
Traktujemy się poważnie i szanujemy swoją wolność. Jeśli ktoś decyduje się na inny wybór, to my to respektujemy.

To tak jak w PO – Saryusz-Wolski zdecydował się na inny wybór i odszedł.
Przyzna pan jednak, że nasz język wobec tych, którzy od nas odchodzą, jest inny niż to, co się stało w PO.

Tak, przyznam. Tylko że gdyby Wolski był u was od początku i działał przeciwko wam, toby sobie mógł spokojnie u was zostać, bo przecież szanujecie swoją wolność.
Przecież nas łączy właśnie walka o obywatela.

eprasa.pl 9637e63beb

Jednak macie jakąś wspólną ideologię?
Oczywiście – to np. akceptacja wolnego rynku.

To nie jest ideologia.
Chcemy uprawiać politykę lokalną.

To też nie jest ideologia.
A co to jest?

To jest przekonanie. Ideologia to konserwatyzm, chadeckość, komunizm...
To niech mi pan wskaże ideologię PO czy PiS. I niech mi pan powie, czy jej przestrzegają.

Tutaj mnie pan ma. Jednak za to macie twarde przekonanie, że warchołów w Sejmie trzeba traktować ostro.
Co pan ma na myśli?

W czasie kryzysu grudniowego Kukiz mówił, żeby władzę oddać Staszkowi Tyszce, bo on wprowadzi porządek. Tak się kończy wasze umiłowanie demokracji, że chcieliście wyręczyć PiS w siłowym wyprowadzeniu posłów PO i Nowoczesnej?
Ten zabieg miał na celu pokazanie, jak bardzo z prowadzeniem obrad nie radzi sobie marszałek Kuchciński.

I dlatego postanowiliście mu pomóc przez wyręczenie go w atakowaniu strażą marszałkowską posłów opozycji?
Nie, chcieliśmy tylko pokazać, jakie błędy popełnił.

A wy jesteście w opozycji wobec PiS czy jesteście ich cichym koalicjantem?
Nie jesteśmy cichym koalicjantem. Popieramy poszczególne projekty rządu, ale to coraz rzadsze, bo one są coraz gorsze. Jesteśmy opozycją merytoryczną.

No tak, bo totalną są PO i Nowoczesna – jak podzieliła TVP.
Polityka polega na poszukiwaniu jak najlepszych rozwiązań dla Polski, a nie dla swojego ugrupowania.

Jako politolog jestem trochę bezradny, gdy zadaję sobie pytanie o to, dlaczego ludzie na was głosują. Pomoże mi pan?
Jesteśmy skuteczniejsi niż inne ugrupowania opozycyjne.

W jaki sposób?
Czy PO lub Nowoczesna wprowadziły jakikolwiek ważny temat do dyskusji? A my tak.

Mówi pan jak Palikot, który twierdził, że dzięki niemu do debaty publicznej zostały wprowadzone pewne ważne tematy.
Mamy największą liczbę złożonych projektów ustaw.

I gdzie są?
W zamrażarce marszałka Kuchcińskiego.

I jesteście dumni, że już dotarliście do zamrażarki Kuchcińskiego?
Wie pan, dlaczego jesteśmy z tego dumni? W przeciwieństwie do innych partii już teraz wiemy, co będziemy robić, gdy obejmiemy władzę. Mamy projekty ustaw, które chcemy wprowadzić w życie, a nie machać niebieską teczką, w której – jak się potem okazało – nic nie było lub że były w niej buble prawne.

Nawiązuje pan do...?
Do kobiety, która przed wyborami machała taką teczką.

Dopowiem za pana: do pani Beaty Szydło?
Tak. W tej teczce były m.in. takie buble jak ustawa o ziemi. My chcemy prowadzić politykę merytoryczną, a nie opartą na emocjach i kłamstwie.

A gdy Kukiz wypisuje na FB, że wśród wyklętych byli bandyci, to nie jest gra na emocjach?
Przecież w każdej grupie mogą znaleźć się bandyci.

Chyba nie w grupie, którą tworzymy pan i ja?
To jest za mała grupa (śmiech).

Zgadzamy się zatem obaj z Kukizem co do prawdziwości jego zdania o wyklętych, ale nie jest to gra na emocjach. A słowa o tym, że za protestami w Polsce stoją żydowscy bankierzy? Podpisałby się pan pod tym?
Kluczowe jest to, co Kukiz'15 robi przy omawianiu poszczególnych projektów ustaw...

Doceniam pana umiejętność uciekania od odpowiedzi, ale niech pan z kolei zrozumie, że nie mogę panu pozwolić na taką ucieczkę. Powtórzę: Czy podziela pan zdanie swojego lidera, że za protestami społecznymi w Polsce stoją żydowscy bankierzy?
Tutaj nie chodziło o żydowskich bankierów.

No tak – o jednego żydowskiego bankiera.
Chodziło o jednego Węgra.

Jakiego Węgra? O Żyda. Gdyby on powiedział, że chodzi o „węgierskiego bankiera", to może by to brzmiało inaczej.
Jednak narodowość ma znaczenie?

To ja pana pytam!
To przecież nie ma znaczenia, czy ten bankier jest Polakiem, Żydem, czy Węgrem.

No dla Kukiza chyba jednak ma, jeśli o tym mówi. Czy ja się mam panu przedstawić z wykazem pochodzenia moich przodków?
Najważniejsze w tej wypowiedzi było to, że jest pewien bogaty biznesmen, finansujący duże organizacje społeczne w Polsce, które organizują protesty przeciw zmianom.

Jasne, tylko że gdyby Kukiz tak właśnie powiedział, to ja bym się pana o to nie czepiał. Tylko że on powiedział, iż to żydowski biznesmen.
Zamiast skupiać się na meritum tej wypowiedzi, my dyskutujemy o przymiotniku, który nie ma znaczenia.

Jednak to nie ja wprowadziłem do debaty ten przymiotnik, lecz pana szef. Pan też uważa, tak jak on, że ludzi powinniśmy rozpoznawać po pochodzeniu?
Jednak Paweł Kukiz tak nie uważa. Znam go na tyle dobrze, że wiem, iż nie ma to dla niego znaczenia. Samo nazwisko Pawła wskazuje, że jego rodzina nie jest rdzennie polska. Także moje nazwisko wskazuje na to samo.

No właśnie – to może byśmy jednak zrezygnowali z tego etykietowania?
Tak otwartego i tolerancyjnego – w kontekście narodowościowym – polityka jak Paweł Kukiz trudno byłoby znaleźć w polskim parlamencie.

Popieramy poszczególne projekty rządu, ale to coraz rzadsze, bo one są coraz gorsze. Jesteśmy opozycją merytoryczną

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

TYLKO U NAS!
LEGENDA LWOWA: SZCZEPCIO I TOŃCIO

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

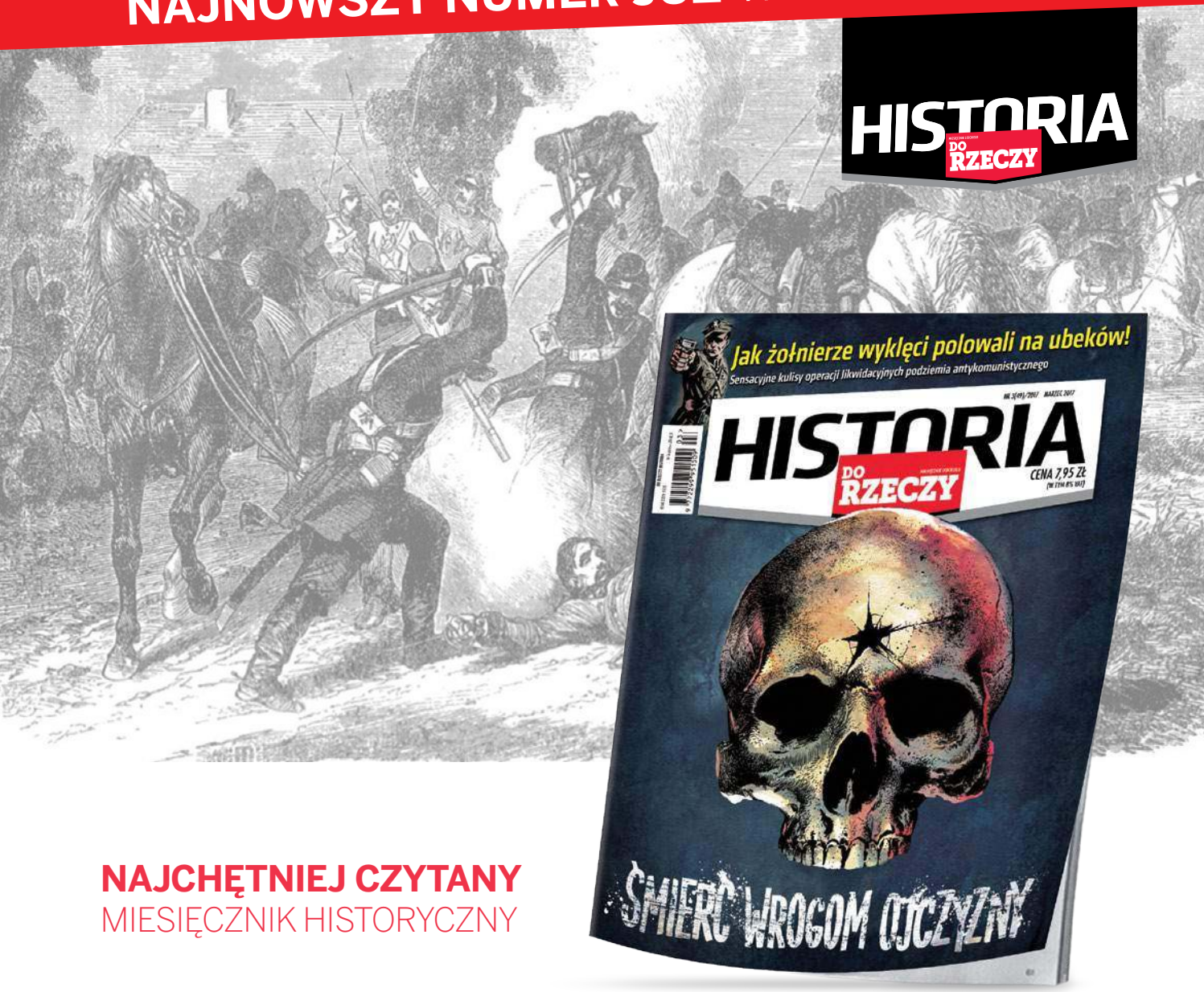

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Arkadiusz Karbowiak – Akcje likwidacyjne wyklętych / **Grzegorz Motyka – Wyklęci kontra Sowieci** / Jakub Ostromęcki – „Braveheart" a prawda historyczna / **Sławomir Cenckiewicz – Jaruzelski i kopalnia Wujek** / Marian Zacharski – Seks agentki PRL / **Marco Patricelli – Kulisy porwania Mussoliniego** / Sławomir Koper – Skandale rodziny Kossaków / **Piotr Zychowicz – Samospalenie polskiego księdza w ZSRS**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 9637e63beb

O włos od polskiej

Jacek Komuda

Władcy Gotów i Wenedów bez przerwy narażali życie podczas wojen. Kilkakrotnie omal nie zginęli z rąk naszych żołnierzy

Gustaw Adolf, zwany Lwem Północy, wielokrotnie ocierał się o śmierć. Zginął w bitwie pod Lützen w 1632 r.; malował Carl Wahlbom FOT. WIKIPEDIA

Dwaj najwybitniejsi królowie Szwecji: Gustaw Adolf zwany Lwem Północy i Karol XII „Szwedzki Meteor" skończyli tragicznie na polu bitwy. Pierwszy zginął z rąk wrogich kawalerzystów pod Lützen, drugi – trafiony w głowę kulą podczas oblężenia twierdzy Fredriksten w Norwegii. Przez całe życie obaj igrali ze śmiercią, prowadząc do ataku oddziały lub osobiście uczestnicząc w starciach. Walcząc z Rzecząpospolitą, nieraz wzięli po łbie sowity basarunek od szabli polskiej; nawet znacznie od nich ostrożniejszy Karol X Gustaw omal nie skończył przebity kopią husarską.

LEW I ŚCIĘTA SZABLA

Pierwszy raz życie króla Szwecji zagrożone było w czasie najazdu Gustawa Adolfa, który zaatakował Prusy Królewskie w 1626 r., zamierzając odciąć Rzeczpospolitą od Bałtyku. Dla Szwecji był to element śmiałego planu strategicznego – miał on odwrócić rzekomy atak Polski na protestantów niemieckich, a poprzez zajęcie portu w Gdańsku doprowadzić do pozyskania środków na dalszą interwencję w obronie protestantów w toczącej się w Rzeszy wojnie trzydziestoletniej. Jak wynika z analiz Radosława Sikory, Gustaw Adolf – inaczej niż jego ojciec Karol IX – działał ostrożnie i rozsądnie. Pamiętając rezultat bitwy pod Kircholmem, gdzie polska jazda rozniosła na strzępy armię szwedzką, unikał starć w otwartym polu, tocząc bitwy w trudnym terenie, gdzie Polacy nie mogli wykorzystać walorów husarii.

Wedle legendy Gustaw Adolf 1 lipca 1627 r. walczył z polskim husarzem, zdobywając jedną szablę z dwóch, które do dziś przechowywane są w Livrustkammaren, czyli królewskiej zbrojowni w Sztokholmie. Starcie to jest jednak mitem, bo szabla, którą rzekomo odebrał Polakowi, to czeczuga w typie czerkieskim, rzadko używana przez husarzy. Poza tym zaledwie miesiąc wcześniej od tego wydarzenia król został ranny w biodro w czasie nieudanej przeprawy piechoty szwedzkiej pod Kiezmarkiem.

Zapewne przekaz o zdobyciu szabli związany jest z walkami 10 sierpnia tegoż roku, gdy Gustaw Adolf znalazł się w opałach, próbując zaatakować armię hetmana Stanisława Koniecpolskiego pod Tczewem, zagradzającą drogę na Gdańsk. Król na czele 600 rajtarów napadł na obóz polski i uwikłał się w walkę z trzema chorągwiami husarskimi oraz jedną kozacką. W trakcie walki został porąbany przez polskich towarzyszy – zacięto go dwa razy w szyszak, dwa razy w rękaw, a dodatkowo ucięto szpadę (zapewne pałasz lub rapier) przy furdymencie (czyli rękojeści). Jak pisze Kuba Pokojski: „Można zastanowić się, jak dobrą szablę miał zwykły towarzysz husarski, że zdołał cięciem swej broni odciąć, i to w najgrubszym, najbardziej wytrzymałym i zdatnym do obrony miejscu, wyśmienitą broń białą króla Szwecji".

Odniesione rany nie zniechęciły Gustawa Adolfa do ataku na polskie pozycje 17 sierpnia. Nie chcąc ryzykować wystawiania się na szarżę husarii, w otwartym polu wyprowadził najpierw harcowników, prowokując Polaków do starcia, a potem wycofał armię za umocnienia polowe, licząc na to, że przeciw-

eprasa.pl 9637e63beb

szabli

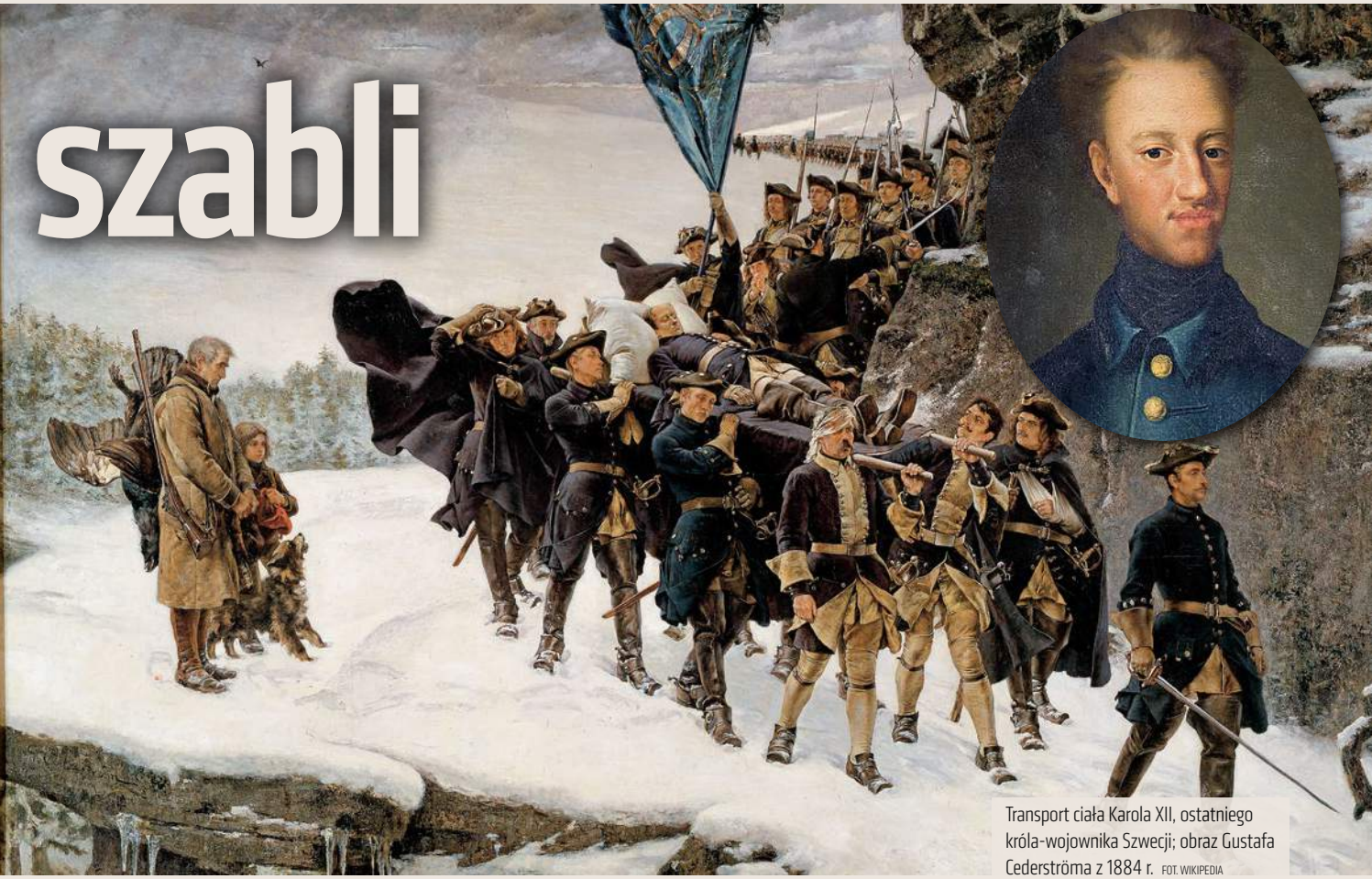

Transport ciała Karola XII, ostatniego króla-wojownika Szwecji; obraz Gustafa Cederströma z 1884 r. FOT. WIKIPEDIA

nik wykrwawi się w atakach na obóz. Koniecpolski okazał się ostrożniejszy – nie mogąc doczekać się bitwy, zarządził odwrót przez wąskie groble na Motławie. I wtedy niespodziewanie przyszły „Lew Północy" zaatakował! W dodatku szwedzka jazda nie uderzyła tak jak kawaleria zachodnioeuropejska, najpierw ogniem z pistoletów, ale od razu zaszarżowała na białą broń!

Wielu historyków zachodnich sądziło, że bitwa ta oznaczała koniec znaczenia husarii, która uległa nowej taktyce szwedzkiej kawalerii. „Polska jazda, uważana za najlepszą w Europie, była pobita, a pamięć Kircholmu złamana" – pisał biograf Gustawa Adolfa, Michael Roberts. Jednak najnowsze ustalenia Kuby Pokojskiego pokazują, że bitwa wyglądała zupełnie inaczej. Po pierwsze, Szwedzi uderzyli z zaskoczenia zaledwie na cztery chorągwie husarskie i dwie kozackie ochraniające wycofujące się pozostałe oddziały. Chociaż zaskoczone, roty polskie rzuciły się do kontrataku i rozbiły kirasjerów na prawym skrzydle wroga. Uległy i wycofały się dopiero w wyniku kontruderzenia pozostałej jazdy i jej ogromnej przewagi liczebnej. Oskrzydlone przez szwedzkie oddziały zostały wpędzone w bagna i poniosły duże straty, zanim nie przyszły im z pomocą piechota i pułk Marcina Kazanowskiego, który jednak musiał pokonać długą drogę, obchodząc Jezioro Rokickie.

Nierozstrzygnięte walki skończyły się moralną porażką strony polskiej. Niestety, chorągwie husarskie straciły większość kopii, bez których nie mogły walczyć z pikinierami szwedzkimi. Bezsprzecznie jednak dzięki miażdżącej przewadze kirasjerzy i rajtarzy Gustawa Adolfa pierwszy raz w historii pokonali strach przed husarią. Jeden z dowódców – Klas Ditryk – został trzykrotnie trafiony kopiami, z których żadna nie przebiła zbroi.

Sytuacja w polskim obozie stawała się ciężka. W dodatku następnego dnia Gustaw Adolf zarządził natarcie na szańce strzegące przepraw przez Motławę, aby otworzyć sobie drogę na Gdańsk. Zaczął też ostrzeliwać obóz przeciwnika. Nastroje w armii Koniecpolskiego były marne, zanosiło się – jak pisali współcześni – na kolejną klęskę niczym siedem lat wcześniej pod Cecorą.

Jednak armię Rzeczypospolitej uratował przypadek. W trakcie walki król Szwecji wyszedł na obserwację polskich pozycji i został trafiony kulą z arkebuza, wystrzeloną przez hajduka z oddziału Samuela Nadolskiego, w prawą pierś dwa palce od szyi, najprawdopodobniej w mięsień na barku. Rana nie była śmiertelna, jednak kuli nie udało się wyciągnąć. Powodowała częściowy paraliż prawej ręki, utrudniała pisanie i uniemożliwiała noszenie zbroi, co być może stało się przyczyną śmierci władcy na polu bitwy pod Lützen w 1632 r.

ŁAŹNIA POD TRZCIANĄ

Kolejny raz Gustaw Adolf omal nie dostał się do niewoli w bitwie pod Trzcianą w czerwcu 1629 r. Wówczas na wycofujące się spod Sztumu wojska szwedzkie uderzyły chorągwie Stanisława Koniecpolskiego i wspierające go posiłki cesarskie. Król postanowił ocalić piechotę, poświęcając jazdę, i sam stanął na jej

eprasa.pl 9637e63beb

czele, rozpoczynając bitwę z Polakami i Austriakami. W trakcie walki najpierw dopadł do niego jeden z cesarskich rajtarów i złapał za przechodzący przez prawe ramię pendent (pas od rapiera). Gustaw Adolf jednak zrzucił go przez głowę, tracąc przy tym kapelusz. Potem pomógł jeden ze szwedzkich rajtarów. „Masz, kamracie, ode mnie!" – krzyknął, wręczając mu nabity pistolet. Król zastrzelił przeciwnika, obalił rękojeścią drugiego, kiedy złapał go za rękę jeden z polskich husarzy. I znów Gustaw miał niebywałe szczęście, nie został bowiem – być może dzięki skromnemu ubiorowi – rozpoznany. Ponoć inny Polak zawołał do husarza, że pojmany to zwykły ciura i szkoda brać go do niewoli. Husarz wzniósł zatem szablę do cięcia, ale nim zdołał zabić króla, uderzenie rajtarów Erika Soopa rozproszyło Polaków. Opowiadano, że po walce Gustaw Adolf odszukał rajtara, który podał mu pistolet i zapytał, jak może odwdzięczyć się za uratowanie życia. „Proszę, aby wasz majestat dał dobrze się napić mnie i towarzyszom" – brzmiała odpowiedź, a szwedzki król zapewne nie żałował wina z osobistych zapasów. Sam mawiał później o starciu z husarzami Koniecpolskiego: „Nigdy nie byłem w tak gorącej łaźni".

Gustaw Adolf wyzywał śmierć już niedługo. Zaledwie pięć lat później zginął w bitwie pod Lützen w Rzeszy. Najpierw został ranny w lewą rękę, potem zaś, natknąwszy się na polu walki na oddział cesarskich kirasjerów – jak podaje Peter Englund – otrzymał kolejny postrzał w plecy, pod prawą łopatkę. Po upadku z siodła wleczony był przez chwilę przez rannego konia, ulubionego Streiffa, wreszcie spoczął na ziemi. Ledwie żywy król został teraz rozpoznany przez trzech cesarskich kawalerzystów, którzy przebili mu pierś lancą i lewą rękę rapierem. Umierający władca został dobity pchnięciami rapierów i strzałem z pistoletu w głowę przez kawalerzystów ograbiających trupy na polu bitwy. Tak dopełnił się los „Lwa Północy".

SZARŻA KOWALEWSKIEGO

Kilkanaście lat później w niebezpieczeństwie znalazł się znany z czasów potopu Karol X Gustaw, który zadał cios w plecy Rzeczypospolitej prowadzącej śmiertelną wojnę z Moskwą i Kozakami. Wkraczając do Wielkopolski i na Litwę, zmusił do posłuszeństwa szlachtę i magnatów, a króla Jana Kazimierza do ucieczki na Śląsk. Gwałty i łupiestwa Szwedów spowodowały jednak wybuch ogólnonarodowego powstania. W czasie bitwy z wojskami Jana Kazimierza pod Warszawą w lipcu 1656 r. król Szwecji dokonał śmiałego manewru, obchodząc od zachodu stanowiska polskie i grożąc przyparciem naszej armii do Wisły. W odpowiedzi Jan Kazimierz rzucił do szarży królewską chorągiew husarską pod dowództwem Aleksandra Hilarego Połubińskiego, która uderzyła na lewe skrzydło sprzymierzonych wojsk szwedzko-brandenburskich.

Podczas starcia doszło do zdarzenia, które odbiło się szerokim echem w Rzeczypospolitej i na świecie. Jeden z towarzyszy królewskiej chorągwi husarskiej, najprawdopodobniej Jakub Kowalewski (Kowalowski), zaszarżował na Karola Gustawa, godząc go kopią husarską w pierś, tuż pod szyją. Ostrze nie przebiło jednak zbroi, którą nosił szwedzki monarcha. W tej samej chwili ktoś z jego otoczenia zastrzelił dzielnego husarza z pistoletu, mierząc mu w głowę. Czyn ten powszechnie przypisywano Bogusławowi Radziwiłłowi, który znajdował się przy królu. Natomiast według źródeł szwedzkich życie Karolowi Gustawowi uratował gwardzista Bengt Trafvare.

Karol Gustaw pełen był uznania dla husarii, mówiąc: „Jazda polska w ręku dobrego dowódcy nie ustąpi żadnej w Europie"

Niezwykła szarża Polaka obrosła prawdziwą legendą. Henryk Sienkiewicz w „Potopie" napisał, że husarzem tym był Roch Kowalski, jednak Wespazjan Kochowski, Samuel Twardowski i Jakub Łoś uważają, że był to niejaki Jakub Kowalewski (Kowalowski). Pozostali pamiętnikarze i historycy wymieniają niejakiego Dąbrowskiego lub Konstantego Odachowskiego, którego – jak podaje prof. Mirosław Nagielski – rzeczywiście znajdujemy w rejestrach husarskiej chorągwi królewskiej dowodzonej przez Połubińskiego. Inne źródła historyczne przypisują to wydarzenie wojewodzicowi rawskiemu, Wojciechowi Lipskiemu. Za Kowalewskim przemawia to, że w roku 1661 na sejmie warszawskim jeden z posłów – Adam Kowalewski, pisarz ziemski i poseł zakroczymski – obwiniał księcia Radziwiłła, że sam swymi rękami zabił jego syna, który w dodatku był już niegroźny, bo strącony na ziemię.

Ta ostatnia wersja ma pewne znamiona prawdy, tłumaczy bowiem, dlaczego Janusz Radziwiłł w ogóle nie pisze w swoim pamiętniku o tym zdarzeniu. Skory do przechwalania się książę zapewne wspomniałby, jak uratował życie króla Szwecji, obalając pędzącego nań przeciwnika. Tymczasem dobicie powalonego Kowalewskiego nie przynosiło mu honoru w oczach współczesnych.

Jeszcze więcej kontrowersji budziła postawa Karola Gustawa, którego odwaga wynoszona była do granic absurdu przez historyków szwedzkich. Jeden z nich stwierdził, że król odparł uderzenie husarskiego drzewca... rapierem! Jeszcze w XVII w. skłoniło to z kolei polskiego historyka Wespazjana Kochowskiego do celnej riposty. „Zaprawdę – podawał – gdyby autor napisał, że kiedyś miał weń uderzyć piorun, a on to uderzenie odwrócił, zastawiwszy się kapeluszem, to mniej by się minął z prawdą, niż utrzymując, że kopię pędzącego husarza można odbić rapierem". Oddając jednak sprawiedliwość, należy dodać, że po bitwie Karol Gustaw pełen był uznania dla husarii, mówiąc do posła francuskiego Antoine'a de Lumbres'a: „Jazda polska w ręku dobrego dowódcy nie ustąpi żadnej w Europie".

Także ostatni najeźdźca na Rzeczpospolitą z czasów wielkiej wojny północnej Karol XII kilkakrotnie bywał w niebezpieczeństwie. Kiedy w sierpniu 1706 r. maszerował na Saksonię, aby zmusić Augusta II Sasa do rezygnacji z korony, jego oddział został rozproszony przez Polaków w okolicach Radomia i król spędził kilka godzin, błąkając się po lesie; dopiero nad ranem wrócił do obozu. Dwa lata później, maszerując na Grodno przez Kurpiowszczyznę, strzelił do niego pewien młodzieniec, omal nie kładąc go trupem na miejscu. Wypadki te nie zniechęciły Karola XII do narażenia swego życia i zdrowia. Tuż przed bitwą pod Połtawą został ranny w nogę i mógł dowodzić, jedynie leżąc. W 1718 r., przeprowadzając inspekcję twierdzy Fredriksten w Norwegii, został trafiony kulą, która przebiła jego głowę na wylot, kończąc bohaterską egzystencję ostatniego króla-wojownika Szwecji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Morderca dwóch milionów

Spośród całego ciągu zdarzeń, które doprowadziły do Holokaustu, nominacja Odilo Globocnika na dowódcę SS i policji w dystrykcie lubelskim Generalnego Gubernatorstwa miała znaczenie kluczowe. To on rozpoczął masowe gazowanie Żydów w Bełżcu i przeprowadził akcję „Reinhard", która kosztowała życie setki tysięcy ludzi. I w ten sposób uruchomił potworną machinę Zagłady.

Globocnik był więc jedną z najważniejszych figur II wojny światowej. Tymczasem w przeciwieństwie do swojego szefa, Heinricha Himmlera, pozostał w cieniu. Przeciętnemu Smithowi czy Kowalskiemu jego nazwisko niewiele mówi. Miejmy nadzieję, że znakomita biografia pt. „Zarządca do spraw śmierci" będzie krokiem do zmiany tej sytuacji.

Johannes Sachslehner kreśli pasjonującą sylwetkę masowego mordercy. Widzimy, jak młody, sympatyczny chłopak z Austrii zamienia się w „maszynę do wykonywania rozkazów". „Realizował je i wydawał – pisze Sachslehner. – Rozkaz był jego pragnieniem, gdy polecenie nie było jasne, prosił o doprecyzowanie. Dokładnie takiej samej postawy wymagał od swoich współpracowników: rozkazy musiały być wykonywane za wszelką cenę. To jedna strona. Druga zaś to paląca ambicja, która kazała mu marzyć o nowym „wzorcowym państwie i o realizacji gigantycznych projektów, z którymi wiązało się jego nazwisko".

Tym gigantycznym – a jednocześnie całkowicie utopijnym – projektem było całkowite przemeblowanie Europy Środkowo-Wschodniej. Ekspansja Niemców, kosztem innych, gorszych nacji. I całkowite usunięcie znienawidzonych Żydów. Najpierw poprzez masowe wypędzenie, a gdy stało się to niemożliwe – przez eksterminację.

Chociaż Globocnik mordował głównie Żydów – dał się we znaki również Polakom. To on w 1942 r. próbował zrealizować brutalną akcję germanizacyjną na Zamojszczyźnie. Przyniosła ona olbrzymie cierpienia miejscowym polskim chłopom i zakończyła się spektakularnym fiaskiem. Globocnik był bowiem nie tylko wielkim zbrodniarzem, lecz także wielkim fantastą.

„Zabiłem dwa miliony ludzi" – miał powiedzieć w 1945 r. Tak po prostu. Dwa miliony. ©℗

★★★★★★

JOHANNES SACHSLEHNER „ZARZĄDCA DO SPRAW ŚMIERCI" PRÓSZYŃSKI I S-KA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Okopy Świętej Trójcy

W latach II RP najbardziej wysunięta strażnica Korpusu Ochrony Pogranicza mieściła się u ujścia Zbrucza do Dniestru. Placówka znajdowała się na styku trzech granic: polskiej, sowieckiej i rumuńskiej, na terenie starej twierdzy o symbolicznej nazwie – Okopy Świętej Trójcy.

Warto podziwiać ludzi nieszafujących niepotrzebnie krwią Polaków

Fortecę wybudowano po utracie Kamieńca Podolskiego, gdy powstała konieczność zabezpieczenia południowych granic Korony. Inwestycję rozpoczęto 25 marca 1692 r., jednak gdy siedem lat później odzyskano Kamieniec, znaczenie twierdzy zmalało. W tej sytuacji August II zezwolił na przekształcenie jej w miasteczko, nadając osadnikom liczne przywileje i zwalniając ich na 10 lat z podatków.

Dramatyczne wydarzenia przyniosła Okopom konfederacja barska, gdy rebelianci pod dowództwem Kazimierza Pułaskiego bronili fortecy przed Rosjanami. Twierdza padła, a w czasie walk spłonął kościół, gdzie ulokowany był konfederacki szpital. Pod gruzami zginęło wielu obrońców, a reszta, z Pułaskim na czele, wycofała się przez Dniestr na terytorium tureckie.

Po rozbiorach Okopy całkowicie utraciły znaczenie militarne, w zamian jednak weszły do literatury polskiej. Zygmunt Krasiński, który jako młody chłopiec spędzał wakacje w pobliskich Dunajowicach, tutaj umieścił część akcji „Nie-Boskiej komedii". Stworzył z twierdzy ostatni bastion tradycjonalistów walczących z rewolucją.

Obecnie z fortecy pozostały tylko dwie bramy, a ich widok sprawia, że wizyta w tym miejscu jest wyjątkowym przeżyciem. Długi, wąski przesmyk między Zbruczem a Dniestrem, dwie kamienne budowle. Zapewne żołnierze KOP stacjonujący tutaj od 1928 r. czuli się podobnie jak ich poprzednicy sprzed wieków. Okopy ponownie stały się ostatnim bastionem chrześcijaństwa.

We wrześniu 1939 r. załoga KOP nie podjęła jednak walki z najeźdźcami, jej dowódca – por. Ludwik Winogradow – nakazał podwładnym przekroczenie granicy rumuńskiej. Uważam, że postąpił słusznie w sytuacji, gdy Niemcy dochodzili do Lwowa, a od wschodu zaatakowali Sowieci. Życie tych młodych ludzi w przyszłości mogło się okazać dla Polski bardziej przydatne niż bohaterska śmierć bez uzasadnienia strategicznego. Aktów bezcelowej bohaterszczyzny mieliśmy w naszych dziejach wystarczająco wiele, dlatego warto podziwiać ludzi nieszafujących niepotrzebnie krwią Polaków.

Być może wielu badaczy będzie miało inne zdanie na ten temat, ja jednak uważam, że życie ludzkie jest najwyższą wartością. ©℗

eprasa.pl 9637e63beb

Maria Rutowska

Stanisław Żerko

Akcja „Iskra-Dog”

Instytut Zachodni udokumentował niemieckie zbrodnie dokonane podczas powstania warszawskiego

Akcję dokumentowania zbrodni zainicjował Edward Serwański

RYS. MIDAS

Książka „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.” ukazała się wiosną 1946 r. i zawierała wybór spośród ponad 300 relacji o powstaniu warszawskim. Zebrał je w warunkach konspiracyjnych kilkudziesięcioosobowy zespół powołany przez pracowników podziemnego Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj, późniejszych twórców Instytutu Zachodniego.

Inicjatorem i kierownikiem akcji, której nadano kryptonim Iskra-Dog, był ppor. Armii Krajowej Edward Serwański. Patronat naukowy objął wybitny historyk i działacz organizacji narodowych prof. Zygmunt Wojciechowski, późniejszy twórca Instytutu Zachodniego.

Obaj byli członkami utworzonej w Poznaniu jesienią 1939 r. organizacji Ojczyzna, która wkrótce znalazła się w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Działała w Wielkopolsce i Generalnym Gubernatorstwie. Zorganizowała Główną Delegaturę Rządu RP dla ziem wcielonych do Rzeszy, przyczyniła się do utworzenia Biura Głównego Delegata Rządu dla ziem wcielonych (później przekształcone w Biuro Zachodnie Delegatury Rządu na Kraj). Działacze Ojczyzny wzięli też udział w pracach nad tworzeniem Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu. W lipcu 1944 r. ówczesny kierownik Ojczyzny Jan Jacek Nikisch został członkiem Rady Jedności Narodowej, reprezentacji politycznej Polskiego Państwa Podziemnego.

W działalności Ojczyzny poczesne miejsce zajmowała praca informacyjno-propagandowa oraz studyjno-dokumentacyjna. Dwa wątki wysuwały się zdecydowanie na czoło. Przede wszystkim uzasadnienie celowości przyłączenia do Polski tzw. ziem postulowanych: już w 1940 r. w podziemnych publikacjach Ojczyzny pojawiła się linia Odra – Nysa Łużycka jako przyszła zachodnia granica Rzeczypospolitej. Drugim nurtem było dokumentowanie zbrodni niemieckich.

W chwili wybuchu powstania warszawskiego wielu członków Ojczyzny znajdowało się już od dawna w Generalnym Gubernatorstwie. Niektórzy przybyli do Warszawy z rozkazu organizacji, inni zostali do GG wysiedleni, jeszcze inni wyjechali w obawie przed aresztowaniem. Ośrodkiem organizacji stały się Milanówek i Brwinów. Tam właśnie rozpoczęto w połowie sierpnia 1944 r.

eprasa.pl 9637e63beb

akcję zbierania relacji wśród mieszkańców Warszawy.

INICJATYWA SERWAŃSKIEGO

Z inicjatywą wystąpił Edward Serwański. Patronat naukowy nad całością prac objął prof. Zygmunt Wojciechowski, wówczas wicedyrektor Departamentu Informacji Delegatury Rządu. W kilkudziesięcioosobowym zespole byli zarówno wybitni intelektualiści (np. historyk mediewista prof. Kazimierz Tymieniecki), jak i zabezpieczający akcję rolnicy oraz robotnicy. Stworzono sekretariat, system łączności i przewożenia materiałów, system schowków, opracowano sposoby konserwacji zebranych materiałów, a zwłaszcza okólniki i instrukcje dla osób zbierających oraz protokołujących relacje. Wprowadzono kryptonimy osób i miejscowości, a nazwiska tych, którzy zdecydowali się je podać, szyfrowano. Relacje zbierano w Brwinowie, Milanówku, Pruszkowie, we Włochach, w Podkowie Leśnej, Józefowie i innych miejscowościach, a już po wygaśnięciu walk dodatkowe relacje uzyskano w kilku innych miastach.

Plon akcji stanowiło ponad 300 protokołów i dłuższych wspomnień. Dokumentację zabezpieczono konserwatorsko i zakopano w konwiach na mleko w remizie straży pożarnej w Brwinowie. Po przejściu frontu zbiór został wydobyty i przekazany do świeżo utworzonego Instytutu Zachodniego, który wkrótce znalazł siedzibę w Poznaniu. Akcja „Iskra-Dog" zbiegła się bowiem ze sfinalizowaniem, wciąż jeszcze w warunkach konspiracji, prac nad utworzeniem instytutu. Nowa placówka naukowo-badawcza została założona w Milanówku, na zebraniu w domu zajmowanym przez Zygmunta Wojciechowskiego.

Działacze Ojczyzny uznali, że w nowej rzeczywistości istnienie Instytutu Zachodniego powinno zostać zgłoszone władzom „Polski lubelskiej". Funkcjonowanie instytutu naukowo-badawczego w warunkach konspiracyjnych było zresztą niemożliwe ze względów praktycznych. Zygmunt Wojciechowski został w lutym 1945 r. przyjęty przez premiera kontrolowanego przez komunistów Rządu Tymczasowego, Edwarda Osóbkę-Morawskiego, i uzyskał obietnicę zapewnienia środków finansowych na działalność placówki niemcoznawczej.

Wśród kilku serii wydawniczych IZ szczególnie duże znaczenie miały „Documenta Occupationis Teutonicae" („Dokumenty okupacji niemieckiej"), których komitet redakcyjny utworzyli wraz z Zygmuntem Wojciechowskim Kirył Sosnowski oraz Karol Marian Pospieszalski. Jako tom pierwszy ukazał się jeszcze w 1945 r. obszerny dokument hitlerowskiego Górnośląskiego Instytutu Badań Gospodarczych. Tom został przekazany polskiej delegacji uczestniczącej w procesie zbrodniarzy hitlerowskich przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze i wykorzystany przez oskarżenie.

Jednocześnie trwały intensywne prace nad przygotowaniem do druku tomu drugiego „Documenta Occupationis", którym miał być właśnie wybór relacji zebranych podczas akcji „Iskra-Dog". Całość opracowywał Serwański, z udziałem Ireny Trawińskiej. Książka opuściła drukarnię w kwietniu 1946 r. Podobnie jak tom pierwszy serii tak i ten został wykorzystany w procesie norymberskim.

POD LUPĄ UB

Wkrótce Urząd Bezpieczeństwa zainteresował się środowiskiem Ojczyzny. Pierwsze aresztowania nastąpiły w roku następnym, jeszcze poza Poznaniem, ale niedługo później dotknęły także Instytutu Zachodniego. Serwański został zatrzymany 20 marca 1948 r. Zaproponowano mu współpracę. Odmówił, czego konsekwencją były areszt, brutalne przesłuchiwania w śledztwie, a później proces. Na ławie oskarżonych zasiadł wraz z Kiryłem Sosnowskim i Janem Jackiem Nikischem.

W sierpniu 1950 r. oskarżeni zostali uznani za winnych „działania z zamiarem zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego" poprzez „przynależność do nielegalnego związku pod nazwą »Ojczyzna«", utrzymywania kontaktów z działaczami Stronnictwa Narodowego oraz zbierania wiadomości o sytuacji w kraju „na rzecz nielegalnego związku tzw. »Delegatury Rządu«". Serwański został skazany na siedem lat więzienia; amnestia przyniosła zredukowanie kary do 3,5 roku, a zwolniony został w 1951 r. Profesor Zygmunt Wojciechowski zatrudnił go ponownie w Instytucie Zachodnim, narażając się władzom. Już zresztą wcześniej dyrektor IZ otoczył opieką rodziny swych aresztowanych pracowników (np. żonie Serwańskiego zapewnił środki do życia, zatrudniając ją w instytucie).

Aresztowanie dwóch czołowych pracowników instytutu zbiegło się w czasie z ograniczaniem działalności IZ przez władze. Postrzegały one instytut jako placówkę skupiającą reakcjonistów.

Wstępne decyzje o likwidacji placówki pozostały w zawieszeniu, niemniej sytuacja finansowa instytutu z roku na rok się pogarszała. W raporcie UB w 1953 r. pisano, że w Instytucie Zachodnim „gnieździ się cała robota konspiracyjna prowadzona przez »Ojczyznę«". W 1955 r., gdy zmarł ciężko chory prof. Wojciechowski, powrócono do planów zamknięcia placówki. Udało się temu zapobiec dzięki akcji grona uczonych, z prof. Gerardem Labudą na czele. Instytut mógł kontynuować badania, wśród których poczesne miejsce zajęło dokumentowanie i badanie zbrodni niemieckich w okupowanej Polsce. Ceną było jednak poddanie placówki ściślejszej kontroli ze strony władz partyjno-państwowych, nasilające się od drugiej połowy lat 60.

Edward Serwański pracował w Instytucie Zachodnim do emerytury. W 1970 r. w niewielkim nakładzie ukazała się jego monografia – „Wielkopolska w cieniu swastyki" – z licznymi ingerencjami cenzorskimi. Przez wiele lat pozostawał w kręgu zainteresowania poznańskiej bezpieki – także w latach 70., zwłaszcza gdy zaangażował się w akcję zbierania środków na fundusz Komitetu Obrony Robotników. W notatce z grudnia 1976 r. oficer SB zgłaszał zastrzeżenia w sprawie nadania temu uczonemu nominacji profesorskiej, podkreślając, że „Edward Serwański jest nieprzejednanym wrogiem naszego ustroju o zdecydowanie reakcyjnych nacjonalistycznych poglądach". Profesorem nadzwyczajnym uczony mógł zostać dopiero w okresie Solidarności, w 1981 r. Zmarł w roku 2000, w wieku 88 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Maria Rutowska – historyk, emerytowany pracownik Instytutu Zachodniego; prof. dr hab. Stanisław Żerko – pracownik Instytutu Zachodniego i Akademii Marynarki Wojennej.

KSIĄŻKĘ „ZBRODNIA NIEMIECKA W WARSZAWIE 1944 R. ZEZNANIA – ZDJĘCIA", OPRAC. E. SERWAŃSKI I I. TRAWIŃSKA, PRZEDMOWA Z. WOJCIECHOWSKI, WYDAWNICTWO INSTYTUTU ZACHODNIEGO, POZNAŃ 1946, INSTYTUT ZACHODNI WZNOWIŁ JAKO REPRINT, ZE WSTĘPEM AUTORÓW TEGO ARTYKUŁU. JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: WWW.IZ.POZNAN.PL.

eprasa.pl 9637e63beb

Prezydent Woodrow Wilson z małżonką i płk Edward M. House (z prawej) podczas uroczystości Dnia Wolności, Nowy Jork, październik 1918 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

Zapomniany bohater

Witold Orzechowski

W przededniu 100. rocznicy odzyskania niepodległości warto przypomnieć postać amerykańskiego orędownika sprawy odrodzenia Polski. Edward Mandell House zasługuje na lepsze miejsce w naszej narodowej pamięci

Jego pomnik stoi w parku Skaryszewskim w Warszawie, ukryty nieco z boku, między drzewami. Został tu postawiony w 1932 r. z inicjatywy Ignacego J. Paderewskiego, który zamówił pomnik u rzeźbiarza (Franciszka Blacka) i sfinansował wykonanie odlewu z brązu. Edward Mandell House (1858–1938), którego postać stoi na cokole, był amerykańskim politykiem i dyplomatą, najbliższym doradcą prezydenta USA Woodrowa Wilsona w latach 1910–1924, najbardziej wpływowym człowiekiem w Waszyngtonie. Był szarą eminencją Białego Domu w czasie prezydentury Wilsona i politykiem ważnym do tego stopnia, że przyćmił członków rządu oraz sekretarza stanu – Roberta Lansinga. Po Waszyngtonie krążył nawet dowcip: „Jak się literuje nazwisko Lansing? Odpowiedź: H-O-U-S-E".

I właśnie z tym wpływowym oraz zręcznym politykiem zaprzyjaźnił się polski wirtuoz i kompozytor Ignacy Paderewski, od roku 1915 mieszkający w USA. Miało to mieć wiekopomne skutki dla odzyskania niepodległości przez Polskę w 1918 r. House bowiem stał się pod wpływem Paderewskiego gorącym orędownikiem i przyjacielem Polski, której wówczas nie było od ponad 100 lat na mapie Europy. Później dyplomatyczne talenty Paderewskiego umożliwiły mu dotarcie, przy pomocy płk. House'a, do Białego Domu i uzyskanie kluczowego poparcia dla „sprawy polskiej" przez prezydenta Ameryki Wilsona.

eprasa.pl 9637e63beb

W czasie I wojny światowej w USA opinia publiczna popierała tzw. izolacjonizm, tzn. niemieszanie się do wojny w Europie. I rzeczywiście, gdy ta wybuchła w 1914 r. i wielomilionowe armie toczyły okrutny oraz długi bój (z użyciem czołgów, samolotów i gazów trujących) w formie nowoczesnej wojny, Ameryka popierała i kredytowała finansowo Anglię oraz Francję, ale trzymała się z daleka od akcji militarnych.

Dopiero w 1918 r. zapadła decyzja włączenia się USA do wojny w Europie, zdecydowało o tym także zatopienie parostatku pasażerskiego „Lusitania" przez niemiecką łódź podwodną z użyciem torpedy, a poniosło wtedy śmierć 128 Amerykanów. Amerykańskie łodzie podwodne w odwecie zniszczyły niemiecką flotę wojenną i ocaliły Anglię.

HOUSE I PADEREWSKI

Edward House – jak powiedziano: nieformalny minister spraw zagranicznych – pod wpływem Paderewskiego doręczył prezydentowi memorandum na temat niepodległości Polski i wytyczenia jej nowych granic nawiązujących do granic przedrozbiorowych (kosztem zaborców: Rosji, Niemiec i Austro-Węgier). Ponieważ w rezultacie działań wojennych wszyscy nasi zaborcy byli przegrani, a w Rosji upadł carat i wybuchła rewolucja bolszewicka, Stany Zjednoczone, wysyłając do Europy aliantom broń, sprzęt, pieniądze, żywność, lekarstwa i samochody, stały się de facto nowym mocarstwem światowym. USA wysłały na wojnę 850 tys. żołnierzy, którzy wsparli Anglików i Francuzów oraz doprowadzili do upadku cesarstw – niemieckiego i austro-węgierskiego. Powstała nowa koniunktura dla zapomnianej przez wszystkich Polski.

Woodrow Wilson w Wersalu w swoim 14-punktowym memorandum żądał powstania Polski z dostępem do morza. Paderewski wrócił do kraju, gdzie został przez Piłsudskiego mianowany delegatem na konferencję pokojową (wraz z Romanem Dmowskim). Gdy przybyli do Wersalu, Paderewski, znowu z pomocą House'a, miał przekonać niechętnych – premiera Anglii (Lloyda George'a) i prezydenta Francji (Clemenceau) – o sprawiedliwej konieczności zmiany granic Europy. Przy okazji „sprawy polskiej" niepodległość uzyskały też nowe kraje – Czechosłowacja i państwa bałtyckie. House jako przyjaciel Polski zasłużył (nie tylko zdaniem Paderewskiego) na pomnik w Warszawie.

Ten syn milionera z Teksasu, doskonale wykształcony prawnik, obdarzony czarującym sposobem bycia i wytrawny dyplomata przez wiele lat dominował jako potężny polityk w Waszyngtonie oraz Nowym Jorku. Przyjaźnił się nie tylko z bankierami Johnem Pierpontem Morganem i Davisonem Rockefellerem, lecz także z pisarzami – Henrym Jamesem i Rudyardem Kiplingiem. Miał wpływy wszędzie. Zauroczony wielką sztuką wirtuoza fortepianu, Paderewskiego, przez przypadek stał się naszym największym sojusznikiem w Ameryce. Dlatego powinniśmy o nim pamiętać, gdy zbliża się 100. rocznica odzyskania niepodległości w 2018 r.

Edward House stanie się jednym z bohaterów filmu fabularnego pt. „Paderewski", którego produkcję przygotowuje autor tych słów. W filmie pokazana zostanie dyplomatyczna walka o Polskę (która nie brała udziału w wielkiej wojnie, bo nie istniała na mapie), w której Paderewskiemu pomógł zapomniany dzisiaj sojusznik – płk Edward House.

Pomnik House'a został w 1951 r. zniszczony przez komunistyczne władze Warszawy i odbudowany z inicjatywy konserwatora zabytków Feliksa Ptaszyńskiego w roku 1991. Rekonstrukcji dokonał rzeźbiarz Marian Konieczny.

MIEJSCE DLA BOHATERA

Pomnik House'a należy moim zdaniem przenieść z parku Skaryszewskiego w bardziej reprezentacyjne miejsce w centrum miasta, a przy okazji władze Warszawy, dotychczas zajęte „reprywatyzacją" i nabijaniem majątków deweloperom, mogłyby zająć się inną – od dawna zaniedbaną sprawą – i nazwać jedną z głównych ulic Warszawy imieniem Ignacego Paderewskiego. Ten wielki artysta, a później premier Polski w 1919 r., nie ma bowiem swojej ulicy w stolicy (najbliższa jest w Rembertowie)! Rozumiem, że byli inni „bohaterowie" ważniejsi dla pani Hanny Gronkiewicz-Waltz oraz jej urzędników – do dziś nie usunięto pomnika gen. Berlinga i nie zmieniono nazwy al. Armii Ludowej (w centrum!).

À propos – ta ulica prowadząca od pl. Zbawiciela do pl. Na Rozdrożu (gdzie obok stoi pomnik Ignacego Paderewskiego) znakomicie nadaje się do przemianowania na ul. Paderewskiego.

Edward House uwieczniony na pomniku bardzo by się z tego ucieszył! Szanujmy historię i ludzi, którzy pomogli nam odzyskać utracony kraj oraz niepodległość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest producentem i reżyserem filmowym. Obecnie przygotowuje serial i film pt. „Paderewski" na 100-lecie odrodzenia Polski w 2018 r.

REKLAMA

eprasa.pl 9637e63beb

Dobroczynność z podtekstem

Teresa Stylińska

Kulisy morskiego przepływu emigrantów i udziału w tym organizacji pozarządowych finansowanych przez George'a Sorosa są szokujące

Aby położyć kres przemytowi ludzi, należy zwalczać nie tylko organizacje przestępcze, lecz także fałszywą, a przy tym motywowaną politycznie, dobroczynność Sorosa i istnej galaktyki otaczających go organizacji. Dobrze by było, gdyby Bruksela zechciała mieć tego świadomość".

Takiej dobrej rady parę dni temu udzielił władzom Unii Europejskiej włoski dziennik „Il Giornale". W tej króciutkiej uwadze zawarł potężny ładunek sensacji – mamy ludzi w potrzebie, organizacje, które niosą im pomoc, ale nie wiadomo, czym się naprawdę kierują, bezwzględnych przestępców, którzy wykorzystują nieszczęśników, wreszcie jego: George'a Sorosa, który dla jednych jest prawdziwym filantropem i zbawcą świata, a dla innych wielkim manipulatorem oraz sprawcą wielu nieszczęść. A tak czy inaczej – demiurgiem.

Włoski dziennik nie wątpi w jego możliwości, czego dowodem jest tytuł artykułu: „George Soros, człowiek, który płaci za inwazję na Europę". Bogacz (fortunę Sorosa szacuje się na 25 mld dol.) chce, według „Il Giornale", zainwestować 500 mln dol. w stworzenie flotylli statków do ratowania imigrantów płynących do Europy. Te pieniądze miałyby trafić w ręce organizacji pozarządowych.

Informacja, że finansowane przez Sorosa organizacje pozarządowe praktycznie współpracują z gangami przemytników, którzy za słone pieniądze organizują migrantom przerzut z Libii do Europy, brzmi prawdziwie sensacyjnie. Dlatego włoski dziennik nazywa NGO – zarówno miejscowe, jak i odległe fundacje niemieckie oraz holenderskie czy duże organizacje międzynarodowe – „przyjaciółmi przemytników". Choćby dlatego, że dzięki nim gangi mają ułatwione zadanie.

„TOWAR" U BRZEGÓW LIBII

Niepokojące informacje na ten temat zaczęły się pojawiać od listopada ubiegłego roku, gdy holenderska fundacja i zarazem think tank GEFIRA postanowiła przyjrzeć się dokładniej, jak wyglądają akcje ratowania imigrantów na Morzu Śródziemnym. Okazało się, że wbrew powszechnemu mniemaniu imigranci nie trafiają na pokład europejskich jednostek, gdy wiozące ich łodzie już docierają do wybrzeży Europy, lecz dzieje się to niemalże w punkcie wyjścia, na wodach libijskich. Co więcej – ludzie z organizacji humanitarnych dobrze wiedzą, gdzie i kiedy należy podpłynąć. To zaś oznacza, że muszą być w kontakcie z przemytnikami.

Badacze z GEFIRY odkryli takie działania, obserwując trasy 14 statków należących do dziewięciu organizacji humanitarnych, m.in.: Lekarze bez Granic, Save the Children i Jugend Rettet. Śledzili komunikaty, wykorzystali także dziennikarskie relacje z pokładu jednej z jednostek. Ustalili, że w procederze istotny udział ma włoska straż przybrzeżna. To ona przekazuje ratownikom informacje, za ile godzin i gdzie należy podstawić

eprasa.pl 9637e63beb

FOT. DAVID RAMOS/GETTY IMAGES

statek. Skąd straż to wie? Od przemytników. Chociaż, według GEFIRY, bywa i tak, że sygnał od nich otrzymują bezpośrednio same organizacje.

Imigranci najczęściej przywożeni są na Sycylię. Omijają Maltę, choć jest ona w zasadzie pierwszym ośrodkiem przyjmowania imigrantów docierających do Europy drogą morską z Libii. To o tyle ciekawe, że jedna z najbardziej aktywnych organizacji – MOAS (Migrant Offshore Aid Station), założona przez amerykańsko-włoskie małżeństwo Catrambone, jest zarejestrowana właśnie na Malcie. W dodatku trudno mówić o ratowaniu rozbitków, gdy ludzie nie tylko nie toną, lecz także są zawczasu przenoszeni na pokład statków całkowicie bezpiecznych. Zagrożenie, z uwagi na fatalny stan i przeładowanie łodzi wypływających z Libii, oczywiście istnieje, ale w takiej sytuacji tylko potencjalnie.

Zarzuty są na tyle poważne, że dwa urzędy prokuratorskie na Sycylii – w Katanii i Palermo – wszczęły w tej sprawie dochodzenie. Głos zabrał także Fabrice Leggeri, szef Frontexu, europejskiej agencji ochrony granic. – Nie wolno dopuścić do tego, by na pomocy niesionej imigrantom korzystały siatki przestępcze – powiedział dziennikowi „Die Welt". Dodał, że niektóre z NGO nienależycie współpracują z instytucjami europejskimi, a robiąc to, co robią, w gruncie rzeczy wystawiają ludzi na dodatkowe niebezpieczeństwo. Przemytnicy bowiem – pewni, że „towar" zostanie szybko zabrany – ograniczają do minimum pokładowe zapasy wody, żywności i paliwa.

George Soros jest bez wątpienia bardzo zaangażowany we wszystko, co się dzieje wokół kryzysu imigracyjnego. Czy sam go podsyca? Od chwili wybuchu kryzysu jego wypowiedzi i działalność dowodziły, że stoi twardo po stronie imigrantów, początkowo nazywanych, nie bez przesady, wyłącznie uchodźcami.

Pewnej, czytelnej zresztą informacji na temat intencji i sposobu myślenia Sorosa dostarcza treść wprowadzenia do raportu „Future of Europe", opracowanego w ubiegłym roku na zlecenie szwajcarskiego banku UBS. Ze wstępu, wspólnego autorstwa Sorosa i przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera, można się dowiedzieć, że Europa bardzo potrzebuje imigrantów. I to w wymiarze, o jakim nikomu raczej się nie śniło. Obaj panowie oszacowali te potrzeby na 1,8 mln ludzi rocznie przez najbliższych 10 lat! Dlaczego? Ponieważ Europa musi skutecznie konkurować gospodarczo z USA, a bez taniej siły roboczej tego celu nie zdoła osiągnąć.

NIELEGALNI I CYGANIE

W tym samym czasie na łamach periodyku „Foreign Policy" Soros, przedstawiając siedmiopunktowy plan złagodzenia kryzysu imigracyjnego (przewidujący m.in., że na politykę azylową Europa musi przeznaczać minimum 30 mld euro rocznie), dowodził, że jeśli kwestia imigracji zostanie rozwiązana, to łatwiej będzie uporać się z innymi problemami – od kryzysu greckiego, przez Brexit, do konfliktu z Rosją.

Chodzi zresztą nie tylko o liczby, lecz także o zmianę mentalności. Trzeba zmienić sposób myślenia i mówienia o imigrantach, wykorzenić z języka wszystko, co mogłoby trącić już nawet nie krytyką, ale choćby dystansem do przybyszów z innych światów. Na tym polu nieskrywane zapędy pedagogiczne zaprezentowała włoska organizacja pozarządowa Carta di Roma, finansowana przez Open Society Sorosa. Sugeruje ona, by język, jakim opisuje się sprawy imigracji, oczyścić ze wszystkiego, co mogłoby wywoływać choć trochę negatywne skojarzenia. Powinni zatem zniknąć „imigranci nielegalni" czy „Cyganie", nie należy też pisać, że ktoś „jest spoza Unii" ani że ma takie czy inne pochodzenie etniczne. Nawet ekstremizm ma być po prostu ekstremizmem, w żadnym razie „islamskim". Każde takie określenie jest według Carty równoznaczne „ze stygmatyzowaniem", a tego robić nie wolno.

CEL, NIE PRZESZKODA

Po co to wszystko? Jaki cel przyświeca organizacjom finansowanym przez Sorosa i ich patronowi? Dlaczego zależy im na tym, by przypływało coraz więcej ludzi, z którymi Europa od dawna już nie jest w stanie sobie poradzić? Chodzi o zapewnienie taniej siły roboczej czy o coś więcej? Może mają rację jego przeciwnicy, gdy twierdzą, że Soros chciałby doprowadzić do destabilizacji Europy (co skądinąd także służy interesom, chociaż nie tym, które opierają się na krystalicznie czystych podstawach) i przebudowania jej na nową modłę?

Soros sam w jakiejś mierze uchyla rąbka tej tajemnicy. Z jego licznych deklaracji wynika bowiem, że taka Europa, jaką ukształtowała historia, oparta na państwach narodowych, bardzo mu się nie podoba.

Jak wroga traktuje premiera Węgier, ponieważ Viktor Orbán ograniczył działania jego NGO na Węgrzech. W najbliższych dniach ma nastąpić ciąg dalszy. Parlament ma w planach przyjęcie ustawy, która zmusi NGO finansowane z zagranicy do szczegółowego przedstawienia źródeł i wysokości otrzymywanych środków. Aktywność Sorosa budzi też opór w innych krajach w Europie Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza w Rumunii i Macedonii. Jak zauważył lider rumuńskich socjaldemokratów Liviu Dragnea, „Soros finansuje działania, które niczego dobrego krajowi nie przyniosły".

A do jakiego stopnia organizacje humanitarne działające między Włochami a Libią naruszają prawo? Według „Il Giornale" ludzi zabieranych z łodzi w obrębie wód terytorialnych należy, zgodnie z prawem, odstawić na najbliższy brzeg. Prokuratura z Sycylii z pewnością ma co badać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Jacek Przybylski

Czy Barack Obama nadużył władzy i nakazał podsłuchiwanie członków ekipy swojego politycznego przeciwnika? Nowy gospodarz Białego Domu apeluje, by Kongres przeprowadził w tej sprawie śledztwo

FOT. RON SACHS/ZUMA/FORUM

Jak nisko prezydent Obama upadł, by podsłuchiwać moje telefony w czasie uświęconego procesu wyborczego. To jest Nixon/Watergate. Zły (albo chory) facet!" – napisał Donald Trump. I chociaż prezydent – tradycyjnie nieufny wobec mainstreamowych mediów – zarzut ten sformułował na Twitterze, to oskarżenie zabrzmiało niezwykle poważnie i na kilka dni temat ten zawładnął polityką w USA.

Gdyby takie oskarżenie udowodniono jeszcze za rządów Baracka Obamy, to przeszedłby on do historii nie tylko jako pierwszy czarnoskóry przywódca Ameryki, lecz także jako jeden z nielicznych prezydentów, którzy zostali w niesławie wykurzeni z Białego Domu. Amerykański prezydent nie może bowiem zgodnie z prawem nakazać podsłuchiwania obywatela Stanów Zjednoczonych. Taki nakaz może już jednak wydać np. Departament Sprawiedliwości, a przecież prokuratorów generalnych mianuje gospodarz Białego Domu.

Seria tweetów zawierających najbardziej szokujące oskarżenie od czasu, gdy Trump został 45. prezydentem USA, szybko sprawiła więc, że w amerykańskich serwisach informacyjnych zaczęto przypominać aferę Watergate, która w latach 70. doprowadziła do upadku administracji Richarda Nixona.

WSZYSCY LUDZIE PREZYDENTA

Według prezydenta Donalda Trumpa Barack Obama miał zlecić założenie podsłuchu „na liniach w Trump Tower", czyli w nowojorskim drapaczu chmur należącym do obecnego gospodarza Białego Domu. Miało do tego dojść przed listopadowymi wyborami prezydenckimi. Administracja Donalda Trumpa nie przedstawiła na poparcie swoich oskarżeń żadnych dowodów. Biały Dom poprosił jednak Kongres o przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie. Informację o skandalu polegającym na wykorzystaniu przez prezydenta Obamę „narzędzi rządowych do podsłuchiwania republikanów, chcących zająć jego miejsce" jako pierwszy podał konserwatywny prezenter radiowy Mark Levin. Administracja Baracka Obamy miała w 2016 r. dwukrotnie wystąpić o objęcie śledztwem członków ekipy Donalda Trumpa w ramach tzw. Ustawy o obserwacji obcego wywiadu (FISA).

Informacje Levina powtórzył Breitbart News. Według informacji tego portalu pierwsza prośba o monitorowanie kontaktów Trumpa i kilku jego doradców – złożona przez administrację Baracka Obamy w czerwcu zeszłego roku – została odrzucona. Druga, złożona w październiku, a więc zaledwie kilka tygodni przed wyborami prezydenckimi, miała już zostać przez sąd zaakceptowana. Ludzie byłego prezydenta swoją prośbę o zgodę na monitorowanie telefonów, a także serwera komputerowego w Trump Tower, mieli uzasadniać podejrzanymi kontaktami ludzi z ekipy Trumpa z rosyjskimi bankami. Jak pisał Joel Pollak z konserwatywnego portalu Breitbart, choć nie znaleziono żadnych dowodów, to inwigilacji nie przerwano. To bardzo poważny zarzut.

eprasa.pl 9637e63beb

inwigilator?

Oznacza on bowiem, że ludzie z otoczenia prezydenta Partii Demokratycznej pod pretekstem ochrony bezpieczeństwa narodowego nadużywali uprawnień do monitorowania kandydata na prezydenta opozycyjnej partii i wykorzystywali zdobyte w ten sposób informacje do wspierania jego głównej rywalki – Hillary Clinton. – Problem dotyczy nie tego, czy administracja Obamy szpiegowała ludzi zaangażowanych w kampanię Trumpa, ale rozmiarów tego [szpiegostwa] – przekonywał słuchaczy Levin.

Oskarżeniom prezydenta Trumpa zaprzeczył najpierw rzecznik prezydenta Baracka Obamy, a następnie były dyrektor wywiadu narodowego (DNI) James Clapper. Stanowcze stanowisko w tej sprawie miał też zająć obecny szef FBI James Comey, który – według doniesień liberalnych mediów, takich jak „The New York Times" i telewizja NBC – miał nawet poprosić Departament Sprawiedliwości o publiczne odparcie zarzutów prezydenta. Takie zachowanie szefa FBI jest zrozumiałe – gdyby bowiem twierdzenia zawarte w tweetach Donalda Trumpa się potwierdziły, to FBI znalazłoby się w potwornych tarapatach. Do zamknięcia tego wydania tygodnika Departament Sprawiedliwości nie odniósł się jednak do tej sprawy.

CHCĄ ZMIANY W BIAŁYM DOMU

Zwolennicy Partii Demokratycznej zarzucają prezydentowi, że cała sprawa ma być po prostu zasłoną dymną dla informacji o kontaktach członków jego administracji z przedstawicielami Rosji. Oskarżają również Donalda Trumpa o to, że o swoich podejrzeniach dotyczących podsłuchów nie rozmawiał nawet z FBI. Jak jednak zauważył rzecznik Białego Domu, w tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia, ponieważ gdyby prezydent Trump

eprasa.pl 9637e63beb

przed zwróceniem się w tej sprawie do Kongresu osobiście porozmawiał z szefem FBI, to mogłoby to być postrzegane jako próba wpłynięcia na losy śledztwa.

Sympatycy 45. prezydenta USA chwalą go za to, że ujawnił knowania „rządu cieni", którego członkowie chcą za wszelką cenę obalić Donalda Trumpa i nie dopuścić, aby przetrwał choćby do końca pierwszej kadencji. Głównym mózgiem konspiratorów miałby być Barack Obama. A jednym ze sposobów działania – rozpowszechnianie pogłosek o tym, że kandydat Partii Republikańskiej wygrał wybory dzięki pomocy prezydenta Rosji Władimira Putina. „Mogłoby się wydawać, że historia o »rosyjskich hakerach« została spreparowana nie tylko jako wyjaśnienie wstydliwej wyborczej porażki, ale po to, aby zatuszować prawdziwy skandal" – napisał redaktor portalu Breitbart Joel Pollak.

– Trump pokrzyżował plany tych ludzi, ponieważ zawsze jest krok, dwa kroki przed nimi – przekonywał słuchaczy Rush Limbaugh, konserwatywny publicysta i prowadzący „The Rush Limbaugh Show". Jego zdaniem prezydent Trump próbuje zwrócić uwagę na bezpośredni związek między przeciekami a członkami administracji Obamy i Partią Demokratyczną.

Oczywiście brzmi to niczym teoria spiskowa. Można też stwierdzić, że politycy na całym świecie coraz częściej muszą uważać na wszechobecne podsłuchy. Niektórzy ratują się nawet tak radykalnymi rozwiązaniami jak ucieczka z ery „smart" – np. członkowie komisji spraw zagranicznych parlamentu Danii ze względów bezpieczeństwa podczas podróży do Rosji w ogóle nie wzięli ze sobą smartfonów, tabletów ani laptopów, aby chronić się przed ewentualnymi hakerami.

OTWARTA WOJNA

W przypadku Donalda Trumpa sytuacja jest jednak poważniejsza. Jak bowiem zauważa m.in. „The Financial Times", obecny prezydent USA pozostaje w „mniej lub bardziej otwartym konflikcie ze wszystkimi – poza wojskowymi – instytucjami amerykańskiego rządu: od służb wywiadowczych do Departamentu Stanu i wielu innych służb cywilnych". Są one bowiem w dużej mierze opanowane przez ludzi mianowanych podczas ośmiu lat rządów Baracka Obamy, którzy często nawet nie ukrywają swojej niechęci do nowego gospodarza Białego Domu. Do mediów regularnie przedostają się więc nowe rewelacje uderzające w ekipę prezydenta Trumpa.

10 stycznia portal BuzzFeed opublikował kilkudziesięciostronicowe „wywiadowcze dossier", z którego miało wynikać, że Donald Trump ma nie tylko bliskie związki z Rosjanami, lecz także że Kreml ma na nowego prezydenta USA bardzo poważne haki (wśród nich perwersyjne nagrania wideo Trumpa z prostytutkami). Publikacja wywołała medialną burzę, chociaż sam BuzzFeed przyznawał, że „oskarżenia są niezweryfikowane, a raport zawiera błędy". „Fałszywe newsy – totalne polityczne polowanie na czarownice" – napisał na Twitterze Donald Trump. Mainstreamowe media stanęły zaś przed etycznym wyborem: powtarzać niesprawdzone informacje, które mogą być fałszywe, czy nie przejmować się warsztatem dziennikarskim i liczyć na wyższą klikalność oraz oglądalność. Ostatecznie większość mediów informacje publikowała, choć z zastrzeżeniem, że nie wiedzą, czy „newsy" są prawdziwe, czy fałszywe.

Jeszcze w marcu członkowie komisji wywiadu będą próbowali ustalić, kim są autorzy kolejnych przecieków tajnych informacji

19 stycznia – dzień przed oficjalną inauguracją 45. prezydenta USA – dziennik „The New York Times" napisał, że FBI, CIA, NSA i inne amerykańskie agencje rządowe badają zapisy podsłuchanych rozmów i powiązania finansowe między władzami w Moskwie a byłymi i obecnymi współpracownikami prezydenta elekta, w tym byłego szefa kampanii Paula Manaforta.

Na początku lutego „The Washington Post" ujawnił informację, że gen. Michael Flynn, doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, jeszcze zanim Donald Trump objął urząd prezydenta, rozmawiał z rosyjskim ambasadorem m.in. o możliwościach zniesienia sankcji nałożonych na Rosję. Trump zdymisjonował wówczas swojego doradcę. Na Twitterze zapytał jednak: „Prawdziwym problemem jest pytanie, dlaczego mamy tyle nielegalnych przecieków z Białego Domu. Czy takie przecieki będą miały miejsce, kiedy będę się zajmował Koreą Północną itp.?". Była to pierwsza tak wyraźnie przegrana bitwa obecnego prezydenta w walce z niechętnymi mu pracownikami cywilnych służb specjalnych.

Na początku marca – zaledwie dzień po wygłoszeniu przemówienia w Kongresie przez Donalda Trumpa, które zostało znakomicie przyjęte przez amerykańskich wyborców – „The Washington Post" ujawnił zaś informacje, że Jeff Sessions, nowy minister sprawiedliwości i prokurator generalny USA, zataił przed senatorami kontakty z ambasadorem Rosji.

„CICHY ZAMACH STANU"

Radiowiec Mark Levin oskarżył wówczas administrację Baracka Obamy – który w ostatnich tygodniach urzędowania rozszerzył uprawnienia agencji wywiadowczych – o próbę przeprowadzenia „cichego zamachu stanu", a także o nadużycie uprawnień i stosowanie „taktyki państw policyjnych". Chociaż brzmi to jak teoria spiskowa, to jedno jest pewne: tak złych stosunków między nowym prezydentem USA a jego poprzednikiem nie było w Stanach Zjednoczonych od wielu lat.

Można się więc spodziewać, że członkowie komisji wywiadu zajmą się nie tylko oskarżeniami o domniemaną ingerencję rosyjskich władz w amerykańskie wybory prezydenckie czy zarzutami o wspieranie przez Moskwę Donalda Trumpa. Śledczy w Kongresie zapewne spróbują również ustalić, kim są autorzy kolejnych przecieków tajnych informacji – prawdopodobnie są to bowiem osoby pracujące w administracji rządowej. W zeszłym tygodniu do różnych wątków, którymi będą musieli się zająć amerykańscy kongresmeni i senatorzy, doszedł też kolejny skandal: opublikowanie przez portal WikiLeaks tysięcy dokumentów ukazujących hakerski arsenał CIA, który rzekomo umożliwiał podsłuchiwanie milionów ludzi na całym świecie.

Amerykańscy eksperci nie mają wątpliwości, że działalność portalu WikiLeaks, kolejny raz ujawniającego dane uderzające w amerykańskie służby specjalne, zmierza wyłącznie do osłabienia bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Dziwnym trafem demaskatorski portal nie ujawnił bowiem dotąd żadnych istotnych tajemnic rządów w Pekinie lub Moskwie.

Nowe fakty mogą zacząć wychodzić na jaw już wkrótce. Komisja wywiadu Izby Reprezentantów pierwsze publiczne posiedzenie wyznaczyła bowiem już na 20 marca. Swoje śledztwo prowadzą już też republikańscy senatorowie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

FOT. HAZTEOIR.ORG

NIENAWISTNA PRAWDA O PŁCI

„Chłopcy mają penisy. Dziewczyny mają waginy. Nie daj się zmylić" – autobus z takimi napisami jeździł jakiś czas temu po ulicach Madrytu. To kampania, którą w stolicy Hiszpanii przygotowała prawicowa grupa HazteOir. Na autobusach widniało też twierdzenie: „Jeśli urodziłeś się mężczyzną, to jesteś mężczyzną. Jeśli jesteś kobietą – to będziesz kobietą". Rada Madrytu zarekwirowała ten autobus po otrzymaniu zgłoszenia od organizacji reprezentującej środowiska LGBT. Zdaniem lokalnych władz złamano zakaz umieszczania reklam na pojazdach innych niż miejskie. A dodatkowo prokuratura bada, czy takie hasła nie były mową nienawiści. Takich problemów nie dostrzeżono w czasie kampanii, na którą akcja HazteOir odpowiadała – rozmieszczania w przestrzeni publicznej plakatów przez organizację LGTB Chrysalis. Napisy na nich głosiły, że „są dziewczynki, które mają penisy, i chłopcy, którzy mają waginy". Wówczas, mimo protestów prawicowych środowisk, ekspozycji plakatów nie zakazano.

PIERWSZY DOM UCIECH Z LALKAMI

Gdy jedni Hiszpanie kłócą się o to, kto jest mężczyzną, a kto kobietą, inni wprowadzają na nowe tory starą branżę. W stolicy Katalonii – Barcelonie – otwarto właśnie pierwszy w Europie dom publiczny z sekslalkami. Hiszpanie wyprzedzili więc Brytyjczyków, którzy od jakiegoś czasu zapowiadali, że pierwszy dom publiczny z robotami będzie w ich stolicy. Kataloński dom uciech prezentuje w Internecie profile swoich „pracownic", a jego właściciele twierdzą, że klientom trudno będzie odróżnić seks z lalkami od seksu z prawdziwymi kobietami.

BO CZYTAŁ BIBLIĘ

Dyrekcja szkoły we francuskim Malicornay zdecydowała się zawiesić w obowiązkach nauczyciela za to, że na lekcji przeczytał dzieciom fragment Biblii. Zdaniem władz placówki w ten sposób nie uszanował on zasady świeckości państwa, która zapisana jest we francuskiej konstytucji. Zgodnie z nią nie można propagować żadnej religii w przestrzeni publicznej. Francuskie media podkreślają, że sprawa nie jest tak jednoznaczna, bo nauczycielom wolno uczyć o świętych księgach religii, nie wolno tylko im podejmować prób nawracania podopiecznych na jakąś wiarę. Za nauczycielem wstawiają się też rodzice, którzy cenią jego pracę, oraz władze miasta.

SZMUGLOWANE SZKOLNE KANAPKI

Za czasów rządów PO-PSL w ramach walki o zdrowsze jedzenie dla dzieci wyrugowano z placówek nawet drożdżówki. Skończyło się oburzeniem rodziców, ogólnonarodową dyskusją i ostatecznie „sukcesem" ówczesnej minister edukacji Joanny Kluzik-Rostkowskiej, która wynegocjowała powrót smakołyków z kruszonką do szkolnych sklepików. Podobny spór wybuchł właśnie we Włoszech, choć tam jedynie na szczeblu lokalnym. W czterech szkołach w Bolonii dzieci do szkoły mają przynosić jedynie owoce i warzywa (świeże lub suszone). Dyrekcja nie zgadza się na przekąski ani „węglowodany". A wszystko w trosce o zdrowie dzieci i „podwyższenie spożycia owoców i warzyw". Rodzice zaprotestowali i zapowiedzieli, że mimo zakazu, za którego nieprzestrzeganie i tak nie grożą żadne sankcje, nadal będą swoim dzieciom pakować do tornistrów kanapki oraz pizzę.

SZTUKA I ŻYCIE

Sztuką może być obieranie ziemniaków – co już doskonale sprawdziliśmy w polskich warunkach. Jednak niektórzy Brytyjczycy chyba jeszcze nie zrozumieli tak poważnych zabiegów artystycznych i w prasie dziwią się wystawie odsłoniętej niedawno w Serpentine Galleries w Londynie. Francuzka Laure Prouvost, której zamiarem było „scalanie życia i sztuki", pokazała wyspiarzom m.in. zużyte torebki po herbacie położone na kaloryferze. Cóż w tym takiego dziwnego? Czy Brytyjczycy nie kładą torebek po herbatkach na kaloryferach? ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 9637e63beb

Olivier Bault

Straszna Polska we Francji

Osłabły wpływy „Gazety Wyborczej" na przekaz o Polsce serwowany we francuskich mediach. Przechył lewicowo-liberalny wciąż jednak istnieje

Polskie życie polityczne nie budzi takiego zainteresowania we francuskich mediach jak w mediach niemieckich. Mniejszy jest też niż przed laty wpływ „Gazety Wyborczej" na to, co o Polsce mówi się nad Sekwaną.

„Chrześcijańska" gazeta „La Croix" nie bierze już swoich informacji prosto z artykułów „GW", gdyż ma na miejscu własną korespondentkę – Magdalenę Viatteau. W centroprawicowym „Le Figaro" nie pisze już o Polsce dziennikarka Arielle Thedrel, która Adama Michnika określała jako „sumienie moralne Polski", a nazwisko „Kaczyński" z reguły pisała tylko razem z określeniami w stylu „nacjonalista", „germanofob" i „rusofob". Zastąpiła ją dziennikarka Maja Szymanowska, która o Polsce opowiada jednak z feministycznego, liberalno-lewicowego punktu widzenia (także w publicznych stacjach radiowych i telewizyjnych).

W prestiżowym lewicowym dzienniku „Le Monde" Polską przestał zajmować się Piotr Smolar, syn prezesa zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, Aleksandra Smolara. Jego następca, Jakub Iwaniuk, pisze z Polski w podobnym duchu.

Jeśli chodzi o prasę codzienną, to tylko w lewicowym „Libération" o Polsce pisze ta sama korespondentka co w latach 2005–2007, czyli Maja Żółtkowska.

Warto też wspomnieć o Piotrze Moszyńskim, który o Polsce opowiada w publicznym radiu francuskim RFI i jest równocześnie korespondentem „Gazety Wyborczej" we Francji. Był także korespondentem TVP po czystkach rządu PO-PSL. Po powrocie do państwowej stacji prawicowych dziennikarzy postanowił tę współpracę demonstracyjnie zerwać.

OGÓLNY PRZECHYŁ

W codziennej francuskiej prasie jest podobnie jak w innych środkach przekazu – brak pluralizmu ideowego i ogólny przechył liberalno-lewicowy istnieją bowiem we wszystkich francuskich

FOT. DAVID RAMOS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9637e63beb

mediach mainstreamowych. Redakcje dobierają więc sobie takich korespondentów w Polsce, którzy serwują im opis zdarzeń widzianych oczami polskiej opozycji liberalno-lewicowej. A gdy nie korzystają z własnych korespondentów, powielają depesze lewicowo-liberalnej francuskiej agencji prasowej AFP lub bratniej ideowo brytyjskiej agencji Reuters. Przykład poglądów na temat Polski dominujących w AFP dawał w artykule opublikowanym 30 marca 2016 r. w języku angielskim („In Poland, conspiracies about a »Communist network« persist") szef warszawskiego oddziału tej agencji – Michel Viatteau, występujący też w przeszłości (np. gdy za namową premiera Mazowieckiego doradzał w reformowaniu PAP) jako Michał Viatteau-Kwiatkowski. Pisał o teoriach spiskowych w Polsce, zaliczając do nich hurtowo prace kwestionujące wnioski komisji Millera na temat katastrofy smoleńskiej, książkę „Resortowe dzieci. Media", twórczość dziennikarską Bronisława Wildsteina oraz doniesienia na temat Wałęsy jako TW „Bolka".

TUBA DLA PROPAGANDY

Redaktor naczelny najbardziej prawicowego i konserwatywnego dziennika „La Croix", Jean-Christophe Ploquin, o Polsce pisał na swoim blogu 15 października 2016 r., nazywając PiS „formacją ultrakonserwatywną". Stwierdzał też, że zaraz po wyborach „nowy reżim" zaczął wymieniać całą klasę rządzącą i „ujarzmiać niezależne instytucje". Nie obyło się bez sugerowania, że rząd PiS podporządkował sobie Trybunał Konstytucyjny. Rzecz jasna, szczegółów o tym, co było wcześniej, nie znajdziemy. W tekście Ploquina roi się od cytatów wypowiedzi lidera KOD, Mateusza Kijowskiego, na temat nowej władzy i Kaczyńskiego.

Podobne poglądy prezentuje korespondentka „La Croix" w Polsce, Magdalena Viatteau, żona szefa warszawskiego oddziału AFP. Pisząc dla podającego się za chrześcijański dziennika („la croix" to po francusku „krzyż") o ubiegłorocznym projekcie zakazu aborcji, Viatteau powiela propagandę polskich organizacji feministycznych o rzekomych 200 tys. nielegalnych aborcji dokonywanych co roku przez Polki. A niedawny kryzys parlamentarny korespondentka „La Croix" wyjaśniała francuskim czytelnikom poprzez wywiad z politologiem i publicystą Radosławem Markowskim, którego antypisowskie poglądy są w Polsce znane. Warto przy tym zauważyć, że z dużych francuskich dzienników „La Croix" i tak proponuje czytelnikom najuczciwsze doniesienia znad Wisły.

STRASZNY PIS

Korespondentka „Le Figaro", Radio France i telewizji France 24 Maja Szymanowska (we francuskich mediach występująca pod imieniem Maya) nie kryje na swoim facebookowym profilu feministycznych poglądów ani poparcia dla czarnych marszów. O samym PiS w wywiadzie dla portalu Café Babel 17 października 2015 r., a więc tydzień przed wyborami parlamentarnymi, mówiła tak: „Nie można zapominać o niebezpiecznym wzroście konserwatyzmu. Jarosław Kaczyński udzielił właśnie okropnej wypowiedzi na temat uchodźców, którzy przyniosą ze sobą choroby. Poza tym część ludzi się boi, nie czerpała korzyści z napływu funduszy europejskich i jest bardzo zmobilizowana. To są ludzie, którzy chodzą do kościoła, są bardzo zdyscyplinowani i stają się w pewien sposób zbrojnym ramieniem konserwatystów".

17 grudnia ubiegłego roku przed Sejmem Szymanowska wyjaśniała widzom telewizji France 24, że protesty opozycji zaczęły się, gdy konserwatyści postanowili odebrać przepustki „niektórym dziennikarzom pod pretekstem, że są oni zbyt krytyczni wobec urzędującej władzy, i w ten sposób szkodzą powadze i dobremu wizerunkowi parlamentu". Wyjaśniała także, że już rok temu PiS podporządkował sobie wszystkie media publiczne i cieszy się także poparciem mediów o. Tadeusza Rydzyka, „a i tak chcieli ograniczyć jeszcze bardziej wolność mediów, wykluczając z posiedzeń Sejmu tych dziennikarzy, którzy im się nie podobają".

Z kolei „Le Monde" i „Libération" nie znoszą Frontu Narodowego ani prawego skrzydła francuskiej centroprawicy, nienawidzą Viktora Orbána i Donalda Trumpa, którzy są w ich oczach reakcjonistami i quasi-faszystami, a zatem jeśli kiedyś zaczną pisać pochlebnie o PiS i Jarosławie Kaczyńskim, to wówczas powinno to być dla polskiego konserwatysty powodem do niepokoju, bo będzie oznaczało, że PiS stał się partią liberalno-lewicową lub skrajnie lewicową. Na razie rządy Polski i Węgier opisywane są w tych gazetach jako „demokratury", a w najlepszym wypadku porównywane są do rządzenia w obecnej Turcji. „Niektóre kraje, o których myśleliśmy, że są solidnie zakotwiczone w rządach prawa, przeżywają poważny regres: świecka i pluralistyczna Turcja ewoluuje w stronę teokratycznej dyktatury [...]. Węgry wybrały nacjonalistycznego lidera, który dusi wolność słowa; podobne zmiany grożą Polsce i Austrii [...]. Wszędzie wolność cofa się, podczas gdy nacjonalizm prze do przodu" – pisał 2 stycznia Laurent Joffrin, dyrektor redakcji „Libération", w tekście zatytułowanym „Zwycięstwo demokratur".

Wśród pereł lewicowej prasy francuskiej na szczególne uznanie zasługuje wstępniak z 26 lipca 2016 r. w „Le Monde" pod tytułem „Polska: spustoszenia rewizjonizmu historycznego". Tekst dotyczący polityki historycznej rządu PiS przełożył na język polski tłumacz i bloger Marcin Rey: „To jedna z cech właściwych ultranacjonalistycznym reżimom o autorytarnych skłonnościach: dokonują czystek. To rodzaj natręctwa. Czystki dotykają szeregów wyższych urzędników państwowych, wymiaru sprawiedliwości i szkolnictwa wyższego, mniej lub bardziej radykalnie, różnie bywa. Ale nie tylko o kontrolę nad Państwem poprzez osłabienie instytucjonalnych przeciwwag im chodzi. Łapę chcą także położyć na przeszłości, napisać ją na nowo, by uczynić z niej ireniczną odę ku narodowi, tej wartości nadrzędnej, w imieniu której roszczą sobie prawo rządzić. [...] Inspirator tego regresu – moralnego, intelektualnego i politycznego – zowie się Jarosław Kaczyński. Jest wodzem partii PiS – Prawo i Sprawiedliwość. Chełpiący się, że ma kontakt bezpośredni z Bogiem, zamierza wymazać całą złożoność i ciemne karty historii Polski, by uczynić z niej wzorzec katolickiej dobroci, ze wszystkimi potencjalnymi zagrożeniami, jakie dla demokracji niesie taka obsesja czystości".

Ku pocieszeniu polskiego czytelnika warto przypomnieć, że wśród swoich licznych sławnych lewackich odlotów „Le Monde" zaliczył w przeszłości entuzjastyczny artykuł o „uwolnieniu" stolicy Kambodży, gdy Phnom Penh wpadł w ręce ludobójczych Czerwonych Khmerów w 1975 r.

Zła prasa polskiej „dobrej zmiany" we francuskich mediach jest głównie związana z ich odmienną linią ideologiczną. Nie dotyczy to tylko kwestii Polski oraz Węgier i z tego powodu zaufanie Francuzów do tradycyjnych mediów jest niskie. Niekoniecznie więc przyjmują jako prawdę objawioną to, co o konserwatywnej Polsce mówią im mainstreamowi dziennikarze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Szariat na Dzień Kobiet

Witold Repetowicz

Rzekomo w imię religijnej tolerancji próbuje się dokonać zamachu na fundamenty porządku prawnego naszego kręgu cywilizacyjnego: równość wobec prawa i jego jednolitość

FOT. CHAIDEER MAHYUDDIN/AFP/EAST NEWS

W marcu 2007 r. Niemcy były w szoku, gdy do prasy przedostała się informacja o skandalicznym wyroku wydanym przez Christę Datz-Winter, sędzię sądu rodzinnego we Frankfurcie. 26-letnia obywatelka Niemiec pochodzenia marokańskiego wniosła o rozwód, gdyż jej mąż regularnie ją maltretował. Gdy policja zmusiła go do wyprowadzenia się, zaczął grozić żonie śmiercią. Sędzia widziała jednak ten problem zupełnie inaczej i odrzuciła pozew rozwodowy, tłumacząc to tym, że zgodnie z prawem szariatu mąż ma prawo karcić żonę. A powódka była najwyraźniej nieposłuszna. W wyroku sędzia przytoczyła nawet wersety koraniczne, a gdy spadła na nią krytyka, ze zdziwieniem odpowiadała, że motywował ją szacunek dla innych kultur.

Dziesięć lat później, w przededniu Dnia Kobiet, przedstawiciel Niemiec w komisji prawnej Rady Europy znalazł się w gronie głosujących za dalszymi pracami nad raportem dotyczącym możliwości stosowania prawa szariatu na naszym kontynencie. Dokument został przygotowany przez przedstawicielkę liberałów z Andory – Meritxell Mateu. I chociaż autorka sama w nim przyznaje, że Europejski Trybunał Praw Człowieka już dwukrotnie, w latach 2001 i 2003, orzekł że szariat jest sprzeczny z Europejską Konwencją Praw Człowieka, to uznała, że to wcale nie zamyka sprawy. Europejska Konwencja Praw Człowieka to akt fundamentalny Rady Europy, więc takie podejście zakrawa na absurd, na co zresztą zwrócił uwagę przedstawiciel Polski w tej komisji Dominik Tarczyński. Poseł PiS podkreślił, że w krajach szariackich, takich jak Arabia Saudyjska, nikt nie dyskutuje nad wprowadzaniem prawa europejskiego, więc działania Rady Europy są całkowicie nielogiczne. A także, że integralną częścią prawa szariatu są kary hudud, takie jak kamienowanie, amputacje czy krzyżowanie. Przekonało to jednak tylko czterech z 15 członków komisji i prace nad możliwością stosowania szariatu jako subsydiarnego systemu prawnego będą kontynuowane. Tarczyński zapowiada jednak, że zrobi wszystko, by to zablokować.

MAŁOLETNIE ŻONY

Jest o co walczyć, bo przypadek sędzi Datz-Winter nie był odosobniony. W 2004 r. Dalton McGuinty, liberalny premier kanadyjskiej prowincji Ontario, zlecił przygotowanie specjalnego raportu, w którym stwierdzono, że istnienie trybunałów

eprasa.pl 9637e63beb

szariackich, orzekających w sprawach rodzinnych, nie jest sprzeczne z prawem. Muzułmanie stanowią w tej największej prowincji Kanady ok. 5 proc. ludności. Co ciekawe, to nie Kanadyjczycy pochodzenia europejskiego doprowadzili ostatecznie do odrzucenia tego rozwiązania. Kampanię przeciw sądom szariackim w Kanadzie zorganizowali uchodźcy z Iranu, którzy przez niemuzułmańskich admiratorów szariatu zostali obrzuceni oskarżeniami o islamofobię. Brakowało tylko zarzutów rasizmu i ksenofobii.

Również w Niemczech odsunięcie Datz-Winter od sprawy owej Marokanki nie zniechęciło innych sędziów do odwoływania się do szariatu. W 2013 r. sąd apelacyjny w Hamm w Nadrenii Północnej-Westfalii orzekł, że jeśli sprawa rozwodowa dotyczy małżeństwa imigrantów, które zawarte było według prawa szariatu, to należy je dalej stosować przed sądem w Niemczech. Już wówczas niektórzy eksperci ostrzegali, że w Niemczech rozrasta się równoległy system prawny, a sądy coraz częściej to sankcjonują. W 2011 r. Joachim Wagner w swej książce „Sędziowie bez prawa: Islamska sprawiedliwość równoległa zagraża naszemu państwu konstytucyjnemu" przestrzegał, że rozwój sądownictwa szariackiego w Niemczech stanowi zagrożenie dla konstytucyjnej zasady państwa prawa. Te ostrzeżenia zostały jednak zignorowane i w niektórych wyrokach sądy niemieckie zaczęły sankcjonować poligamię, a także małżeństwa z udziałem dzieci poniżej wieku dozwolonego przez prawo niemieckie. Tę tendencję przyspieszył kryzys migracyjny 2015 r., który doprowadził do wzrostu liczby małżeństw poligamicznych i nieletnich w Europie, choć przeważnie zawartych poza nią. Według „Bilda" w 2016 r. tylko w Bawarii zarejestrowanych było 161 małżeństw z udziałem dziewczynek poniżej 16. roku życia.

Chociaż zwolennicy uznania równoległego systemu prawa szariatu przekonują, że dotyczy to tylko spraw rodzinnych, to Wagner dowodził, iż to nieprawda. W badanych przez niego sprawach kryminalnych z wyłącznym udziałem muzułmanów policja przeważnie korzystała z „muzułmańskich arbitrów", którzy rozstrzygali sprawę, a policja ją potem umarzała z braku dowodów. Wagner twierdził, że wyroki wydawane przez samozwańczych sędziów szariackich były wcielane w życie siłową perswazją, która skutecznie zniechęcała do szukania sprawiedliwości w normalnym systemie prawnym. Policja i sądy się na to godziły. Nie można zatem się dziwić, że w 2014 r. niemieccy salafici postanowili zrobić kolejny krok i wyprowadzili na ulice Wuppertalu „policję szariacką", która zakazywała przechodniom, już nie tylko muzułmanom, pić alkohol i słuchać muzyki. Może dziwić natomiast to, że w 2016 r. niemiecki sąd uznał, iż organizatorzy tej akcji nie złamali prawa.

Wpychanie się szariatu tylnymi drzwiami nie jest jednak zjawiskiem obecnym wyłącznie u naszego zachodniego sąsiada. W Wielkiej Brytanii działa Islamska Rada Szariatu, sprawująca zwierzchnictwo nad paralelnym systemem sądowniczym opartym na szariacie. Władze natomiast de facto uznały poligamiczne rodziny, przyznając zasiłki drugim, trzecim i czwartym żonom. Podobnie sytuacja wygląda we Francji, w Holandii i Szwecji. Lewicowe partie w Szwecji i Danii proponowały natomiast całkowitą legalizację poligamii muzułmanów. W 2016 r. Gatestone Institute podawał, że w Wielkiej Brytanii i we Francji mieszkało po 20 tys. rodzin poligamicznych. Szokuje brak jakiegokolwiek głosu protestu wobec tej sytuacji ze strony europejskich feministek. Tymczasem prawo poligamii przyznane wyłącznie mężczyznom na mocy prawa religijnego islamu stanowi oczywiste pogwałcenie zasady równości obu płci wobec prawa. Jest to też pogwałcenie art. 16. Konwencji ONZ ws. likwidacji wszelkich form dyskryminacji kobiet, mówiącego o równym prawie kobiet i mężczyzn w zakresie zawierania małżeństw.

Raport Meritxell Mateu wspomina o kilku przypadkach oficjalnego stosowania szariatu w obrębie krajów członkowskich Rady Europy. Chodzi w szczególności o muzułmanów zamieszkujących region Tracji Zachodniej w Grecji, którzy w sprawach rodzinnych i spadkowych mogą wybierać między sądem powszechnym a orzeczeniem muftiego. Problem w tym, że to konsekwencja traktatu z Lozanny kończącego I wojnę światową w odniesieniu do Turcji. Paradoksalnie sama Turcja zakazała wówczas szariatu na swoim terytorium. Greckie sądy starają się od dawna ograniczać stosowanie tego absurdalnego reliktu. Prawo szariatu, w pewnym zakresie, sankcjonowane jest też w Czeczenii, jednak trudno uznawać to za jakiś wzór do naśladowania. Do 2011 r. szariat obowiązywał też w należącej do Francji Majotcie. Ta jednak znajduje się na Oceanie Indyjskim, więc również nie ma to nic wspólnego z Europą i naszym kręgiem cywilizacyjnym. Znacznie bliżej stamtąd do Indonezji, w której wprowadzenie szariatu na wyspie Aceh w 2001 r. też miało służyć regulowaniu spraw rodzinnych, a skończyło się próbą wprowadzenia kamienowania w 2009 r.

ZDEPTANE PRAWA CZŁOWIEKA

Pretekstem opracowania raportu Mateu jest to, że niektóre kraje należące do Rady Europy lub jej programu „partnerstwa dla demokracji", podpisały międzynarodowe dokumenty muzułmańskie, takie jak deklaracja kairska czy Arabska Karta Praw Człowieka, w których zapisano, iż prawa człowieka muszą być przestrzegane, o ile nie są sprzeczne z szariatem. To czysty oksymoron, który oznacza po prostu odrzucenie praw człowieka w rozumieniu europejskim. Szariat jest bowiem z nimi całkowicie niekompatybilny. Trudno, żeby był, skoro jedną z głównych zasad jest odrzucenie równości kobiet i mężczyzn w oparciu o surę 4:34, stanowiącą, iż „mężczyźni stoją nad kobietami, bo Bóg dał wyższość jednym nad drugimi [...] napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie [...] bijcie je". W systemie szariatu ten zapis nie ma znaczenia wyłącznie religijnego, lecz stanowi po prostu normę prawną. Dlatego nawet niektóre kraje muzułmańskie odrzucają szariat. Próby jego ograniczonego wprowadzenia w Tunezji doprowadziły do zamieszek, które obaliły rząd „umiarkowanych islamistów". W Syrii, na terenach opanowanych przez Kurdów, zakazano natomiast poligamii. Rada Europy pcha nas w drugą stronę.

Faktem jest, że Turcja, Albania i Azerbejdżan, będąc członkami Rady Europy, podpisały deklarację kairską, mówiącą o wyższości szariatu nad prawami człowieka. Dokument ten to raczej manifest polityczny niż akt prawny. Ponadto stare irańskie przysłowie mówi: „Musa be suje chod, isa be suje chod", co oznacza, że światy muzułmański oraz chrześcijański mają swoje zasady i nie powinny wchodzić sobie w drogę. Turcja to nie Europa i nie nasz krąg cywilizacyjny. Niech zatem idzie swoją drogą, ale jej nam nie narzuca.

Ciężko zrozumieć logikę środowisk, które zainicjowały tę debatę, i to w przededniu Dnia Kobiet. Z jednej strony forsuje się kolejne dokumenty antydyskryminacyjne, takie jak konwencja antyprzemocowa, z drugiej zaś – toleruje się niezwykle dyskryminacyjny szariat. W imię tolerancji!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

Z Michałem Krupińskim, prezesem PZU
rozmawia Edyta Hołdyńska

I polskie, i globalne

FOT. PZU

EDYTA HOŁDYŃSKA: Fundusz Witelo nawiązał współpracę z globalnymi funduszami venture capital. Jest wśród nich twórca Skype'a. Mamy szansę na odkrycie na miarę Skype'a?

MICHAŁ KRUPIŃSKI: Żeby powstawały firmy technologiczne potocznie zwane jednorożcami – to znaczy takie, których wycena przekracza 1 mld dol. – potrzebnych jest kilka elementów. To przede wszystkim świetny pomysł. Start-upów z takim potencjałem jest w Polsce sporo. Wśród nich są firmy zaawansowane technologicznie i to one, jak podkreślali przedstawiciele funduszy venture capital, będą zmieniać poszczególne sektory gospodarki w skali globalnej. W Polsce mamy wybitnych fachowców z takich dziedzin jak matematyka, informatyka oraz szerzej – nauki ścisłe, co jest istotne, jeśli chce się stworzyć firmy bazujące np. na technologii big data czy sztucznej inteligencji. Mieszkałem kilka lat w Stanach Zjednoczonych. Poznałem tam absolwentów Politechniki Warszawskiej i AGH, którzy w latach 80. musieli emigrować z Polski. Czasem z powodu swojej działalności w Solidarności. W Stanach odnieśli prawdziwy sukces – dziś są właścicielami i pracownikami innowacyjnych firm.

To są jednak talenty, które wyemigrowały z kraju i nie tworzą już nam PKB. Jak to zmienić?

Polski nie stać na to, by pozbywała się takich skarbów. I tu trzeba powiedzieć o kolejnym składniku koniecznym, by powstawały innowacyjne firmy. Jest nim kapitał, który pomoże zatrzymać uzdolnionych. Musi to być jednak kapitał inteligentny, czyli taki, który ma doświadczenie. To właśnie wyróżnia fundusze VC, z którymi zaczęliśmy współpracę – one wiedzą, jak przekuć start-upy na firmy o skali globalnej. Kiedy biznes nabiera rozmachu, jest więcej procesów i pracowników, potrzebni są odpowiedni zarządzający, którzy wiedzą, jak rozwijać firmę. Globalne fundusze oferują szybkie skalowanie biznesu, wspierają swoje firmy portfelowe w uzyskiwaniu pierwszych kluczowych zleceń.

eprasa.pl 9637e63beb

Jak dotąd polskie firmy, nawet te innowacyjne, często myślą o biznesie lokalnym i nie tworzą planów na podbój świata.

Nikt nie ma monopolu na pomysły. Bardzo często zdarza się, że zanim polskie firmy osiągną odpowiednią skalę, inne już zdążą je wyprzedzić. Musimy być świadomi tego, że na świecie jest kilka tysięcy zaawansowanych technologicznie firm w każdej dziedzinie nauki. I wszystkie startują w tym samym wyścigu. Często firma ze Stanów Zjednoczonych, z Chin czy Europy Zachodniej szybciej osiąga odpowiednią skalę biznesu. To daje jej możliwość zatrudniania coraz lepszych pracowników i ciągłego rozwoju. W krótkim czasie taka firma staje się globalną korporacją. I dlatego tak ważny jest inteligentny kapitał.

Jakiego rodzaju projekty znajdą się w kręgu zainteresowań Funduszu Witelo? Które branże mają szanse?

Nasze radary są ustawione w szczególności na projekty, które zrewolucjonizują branżę finansową. To szeroko rozumiany fin-tech, czyli firmy opierające się na zaawansowanej analizie danych, zmieniające sektor samochodowy, ubezpieczenia, kredyty bankowe, digitalizację, banki. Dzięki temu rozwiązania dla naszych klientów będą mogły być możliwie tanie i proste w obsłudze. Ponadto pracując na zaawansowanych danych, jesteśmy w stanie wdrażać nowe produkty ubezpieczeniowe, np. chroniące przed konsekwencjami cyberataków, ubezpieczenia w zakresie zdarzeń katastroficznych i zdrowotnych. Jest wiele firm na świecie, które oferują szybką diagnostykę, co ma bezpośredni wpływ na rynek ubezpieczeń zdrowotnych i na życie. Te usługi mogą być dzięki temu lepiej wycenione.

Ściąganie kapitału z zagranicy trwa. Jednak jak go u nas zatrzymać i przekuć na polski kapitał?

Poza trzema obecnymi funduszami (Atomico, Evolution Equity Partners i DN Capital) docelowo chcemy nawiązać współpracę z jeszcze siedmioma. To będą nie tylko fundusze zagraniczne, lecz także polskie. W ten sposób możemy łatwiej inwestować w start-upy i wdrażać pomysły, które rodzą się w Funduszu Witelo, PZU czy bankach z Grupy PZU. Fundusze zobowiązały się otworzyć w Polsce biura, zatrudnić pracowników, żeby lepiej zakotwiczyć w Polsce nasze pomysły. I być z nimi na bieżąco. Liczymy również na to, że polskie firmy, w które zainwestują fundusze, będą mogły łatwiej pozyskiwać granty np. z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Właśnie dlatego nasz projekt powstał przy wparciu Ministerstwa Rozwoju oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Na świecie raczej nie postrzegają nas jeszcze jako kraj innowacyjny.

Przez wiele lat stosowany był u nas model gospodarki zależnej. Patrząc na nasz eksport, widzimy, że jest zadowalający, ale to głównie firmy zagraniczne reeksportują produkty z kraju. Polska była mocno uzależniona od kapitału zagranicznego i powstało mało firm, które działają w skali globalnej. To jednak nie oznacza, że mamy mało ludzi przedsiębiorczych. Po 1989 r. wiodące polskie przedsiębiorstwa zostały sprywatyzowane. Jako wiceminister skarbu, gdy dokonywałem audytów poprzedników, widziałem, że firmy zagraniczne kupowały polskie po to, aby szybko przejąć rynek. Zamykały ich działalność produkcyjną w Polsce i zdobywały rynek swoimi produktami. Już wtedy pozbyliśmy się dużej części firm, które mogłyby odgrywać dziś dużą rolę w światowej gospodarce. Im więcej jest w kraju rodzimych firm, tym jest on bogatszy. Na liście 500 największych przedsiębiorstw na świecie kilkanaście jest ze Szwajcarii. Polska tylko czasem się do tego rankingu załapuje.

Nasze radary są ustawione w szczególności na projekty, które zrewolucjonizują branżę finansową. To szeroko rozumiany fin-tech

Jak inne kraje wspierają rozwój rodzimej przedsiębiorczości?

Musimy odejść od myślenia, że inne kraje nie wspierają własnego kapitału. Na świecie rodzime firmy otrzymują potężną pomoc. Weźmy przykład naszych zachodnich sąsiadów. Przedsiębiorcy mogą liczyć na preferencje podatkowe niemieckiego rządu czy władz landów. Jeżeli firma musi zwalniać pracowników, to rząd robi wszystko, aby miała szansę tego uniknąć, np. rekompensując poniesione straty. Cała działalność banków rozwojowych też służy krajowym firmom. W USA to Export-Import Bank, w Niemczech – KfW, we Francji – CDP. Tak samo działają banki azjatyckie: koreańskie i japońskie. To potężne instrumenty wspierania narodowych interesów. Do tego dochodzi działalność międzynarodowych instytucji finansowych, takich jak Bank Światowy, które wspierają korporacje z krajów wysoko uprzemysłowionych w ich wejściu na rynki wschodzące. Nie tak dawno kontrowersje wzbudziło wsparcie Banku Światowego dla Lidla. Miało ono na celu pomóc mu w ekspansji m.in. na rynki polski i rumuński. Polskie przedsiębiorstwa powinny mieć przynajmniej te same warunki co firmy z innych krajów.

Zatem także polskie państwo powinno zająć się preferencyjnymi podatkami dla przedsiębiorców, usuwaniem barier administracyjno-prawnych?

Państwo powinno realnie zadbać o przedsiębiorców, bo to oni tworzą miejsca pracy. Donald Trump mówi: „Zależy mi na tym, aby amerykańskie firmy tworzyły miejsca pracy u nas, w Ameryce". Widzi wyraźnie mniejszą wartość w tym, że amerykańska firma stworzy miejsca pracy w Polsce, niż że da pracę Amerykanom. Świata nie zmienimy, więc musimy się dostosować. W skali całego globu widać już choćby przejście od kapitalizmu do talentyzmu. Kapitał będzie odgrywał mniejszą rolę. Na rynkach światowych jest jego nadmiar, tylko w Unii Europejskiej przedsiębiorcy mają miliardy euro gotówki. Skoro nie jesteśmy zadowoleni z tego, że konkurujemy niskimi kosztami pracy, to powinniśmy się zastanowić, jak możemy wygrać ten wyścig. Jeżeli kapitału nie mamy zbyt wiele, to zostają talenty. Stąd tak istotna jest inwestycja w edukację. Dostrzegamy, prowadząc naszą rekrutację np. aktuariuszy dla PZU, że Polacy chcą studiować nauki ścisłe.

Tyle że brakuje pomostu między nauką a biznesem. Między pomysłem a jego skomercjalizowaniem. Między studentem a jego miejscem pracy. Jak go stworzyć?

Nad tym pracuje wicepremier Jarosław Gowin. Chodzi o to, żeby wyselekcjonować branże, w których już teraz jesteśmy konkurencyjni. I podnosić jakość usług w tych sektorach. Firmy, które

eprasa.pl 9637e63beb

prowadzą centra kompetencyjne, już stawiają na bardziej zaawansowane technologie i rozwiązania. To nie może być tylko pomoc świeżego absolwenta rachunkowości w księgowaniu. Jeżeli będziemy tworzyli prawdziwe centra kompetencyjne dla poszczególnych korporacji, to jest tylko kwestią czasu, kiedy z tego wypączkuje firma polska. Ci ludzie wyjdą bowiem z korporacji i będą chcieli sprzedawać swoje usługi na rynku, uzyskując marżę przedsiębiorcy, a nie zatrudnionego. Polska musi być traktowana jako poważny partner. Z moich rozmów w Davos wyciągam wnioski, że zagraniczni inwestorzy traktują nas poważniej. Niestety, wcześniej nie zawsze Polska jako rynek była brana serio. W latach 90. ubiegłego wieku czy z początkiem XXI w. mieliśmy opinię kraju, który wyprzedaje swój majątek. I bardzo łatwo w nim prowadzić biznes zagranicznym podmiotom. Im było łatwiej niż polskim firmom. Takie są fakty.

Rząd cieszy się teraz z zaproszenia Mateusza Morawieckiego na szczyt G20. To poprawi wizerunek Polski wśród zagranicznych inwestorów?

Po ponad 10 latach w Unii Europejskiej wiemy, że są korzyści z bycia członkiem klubu, który ustala reguły gry. Kiedy pracowałem w Stanach, widziałem, że G20 staje się swego rodzaju ciałem koordynacji polityk gospodarczych na świecie i w dużej części programuje pracę Organizacji Narodów Zjednoczonych, Banku Światowego, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, OECD, a także Unii Europejskiej. W moim przekonaniu G20 jest najważniejszym ciałem, które ustala polityki gospodarcze dla całego świata. Polska gospodarka może mieć szansę, żeby się tam załapać. Biorąc pod uwagę jej potencjał i to, że skład G20 nie jest kalką z Excela z danymi PKB. Są tam takie kraje jak Argentyna i Republika Południowej Afryki, które mają niższy PKB niż Polska. Region Europy Środkowo-Wschodniej nie jest reprezentowany w G20. Obecność Polski wzbogaciłaby ten skład. Niezmiernie się cieszę z zaproszenia Polski na ten szczyt. Trzeba się tam pokazać, twardo zaakcentować swoje stanowisko. To bardzo ważne z punktu widzenia gospodarczego, aby być w tym elitarnym klubie i zabierać głos w polityce gospodarczej świata.

Fundusz Witelo podpisał umowy z najlepszymi funduszami VC na świecie: Atomico, Evolution Equity Partners i DN Capital FOT. PZU

A jak rynki reagują na bezkrólewie na Giełdzie Papierów Wartościowych?

Nie mogę komentować decyzji organów właścicielskich oraz nadzorczych. Kurs akcji PZU, Alior oraz Pekao po transakcji wzrósł o kilkadziesiąt procent w ostatnim czasie. Myślę, że wpływ na to mają nasze działania. Chociaż nie ma jeszcze wszystkich formalnych zgód, to już bardzo dużo zyskaliśmy na transakcji nabycia Banku Pekao. Jest dobre nastawienie do rynków polskiego i globalnego.

Rynki nie boją się zmian politycznych, odejścia od poprawności politycznej krajów, Grupy Wyszehradzkiej ani Stanów Zjednoczonych?

Na razie rynki reagują bardzo dobrze. Giełdy są na najwyższych możliwych poziomach. Nie przewiduję zmian w polityce handlowej w skali globalnej i w USA w kontekście NAFTA. Z mojego doświadczenia wynika, że jakakolwiek próba jej rozmontowania będzie albo rozłożona w czasie, albo zostanie nieco przemodelowana. Gwałtowne zmiany mogłyby mieć zbyt poważne konsekwencje. My przekazaliśmy naszą politykę handlową na poziom Unii Europejskiej. Z zapowiedzi zmian nie wynikną bardzo poważne reperkusje dla globalnej gospodarki. Jednak ze względu na politykę podnoszenia stóp procentowych przez Fed z całą pewnością pojawi się zagrożenie dla rynków wschodzących. To już przekłada się na sytuację w Chinach i Turcji. Problem pojawi się wraz z kryzysem w którejś z tych gospodarek. Pozostaje pytanie: Na ile Donald Trump postanowi ratować daną gospodarkę? I to będzie test dla nowej amerykańskiej administracji, bo pojawi się dylemat: Czy bardziej chronić miejsca pracy w Ameryce czy miejsca pracy amerykańskiej firmy w innym kraju? To będzie test nastawienia nowej administracji do stabilności gospodarki światowej.

Amerykańskie firmy powinny być obecne w Polsce na równi z polskimi?

Powinniśmy stawiać im twarde warunki. Uważam jednak, że w naszym interesie jest, by były u nas amerykańskie firmy i dokonywały transferów technologii do Polski. Nasi akcjonariusze mniejszościowi również są ulokowani w Nowym Jorku, Bostonie czy na Zachodnim Wybrzeżu. Są jeszcze niewykorzystane pola współpracy. Temu służy Fundusz Witelo. To ważne, by pokazać nowej władzy USA, że można współpracować z nami na zasadach partnerskich. Bez drenażu talentów. Są polskie firmy, które już teraz chcą inwestować w Stanach Zjednoczonych. I tak to powinno funkcjonować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Spryciarze z PSL

PSL wystąpiło z propozycją, by Polacy nie płacili abonamentu RTV, a publiczne radio i telewizję utrzymywać z jednej strony – tak jak dotychczas – z reklam, a z drugiej – i to jest nowość – ze stałej dotacji Ministerstwa Kultury. Czyli z pieniędzy płaconych przez podatników. A tak się – najzupełniej przypadkiem, rzecz jasna – składa, że rolnicy podatku dochodowego PIT nie płacą ani płacić nie zamierzają; ani od dochodów, ani od płynących do nich coraz szerszym strumieniem unijnych dotacji. W projekcie ustawy PSL-owcy proponują też, by wprowadzić abolicję dla wszystkich, którzy zalegają z opłacaniem abonamentu RTV, lecz idę o zakład, że byliby skłonni przystać na modyfikację, by dotyczyło to wyłącznie rolników. Nieprawdaż?

Cóż, nie od dziś wiadomo, że PSL-owcy urządzili w Polsce rolnikom, a więc również sobie samym, eldorado. Innym słowem: raj, i to nie tylko podatkowy, bo przecież nie płacą oni nie tylko podatku dochodowego PIT, lecz także w pełnej wysokości – czyli takiej, jak mieszkańcy miast – składek na swe emerytury i na leczenie siebie oraz swych rodzin. Jeśli chodzi o emerytury, to rolnicy uiszczają zaledwie kilka procent pieniędzy potrzebnych na wypłaty emerytur dla rolników; pozostałe ponad 90 proc. płacą za nich podatnicy, co każdego roku kosztuje ich ponad 15 mld zł. W przypadku składek na ochronę zdrowia jest podobnie – rolnicy płacą grosze, a resztę dopłacają za nich podatnicy.

Jednak i to nie wszystko, bo to mieszkańcy wsi bardziej od mieszkańców miast skorzystali też np. na programie „Rodzina 500+". O ile bowiem bardzo łatwo dojść, której rodzinie z co najmniej dwojgiem dzieci w mieście należy się 500 zł także na pierwsze dziecko, o tyle już w przypadku rodzin ze wsi, nierozliczających PIT, znacznie trudniej. A tak się jakoś złożyło, to znaczy w ten sposób ustawiono przeliczniki hektarowe, że na wsi naprawdę niewiele takich rodzin nie otrzymuje dodatku także na pierwsze dziecko.

A przecież rolnicy, którzy – jak wynika z raportu PI Research – potrafią świetnie korzystać z dobrodziejstw swego raju podatkowego, są już przeciętnie dużo zamożniejsi od nierolników (gdy przeciętna polska rodzina dorobiła się majątku wartego 441 tys. zł, przeciętna rodzina rolnika – majątku wartego 604 tys. zł). Jednak – jak wiadomo – każdemu człowiekowi, a rolnikowi – co widać po PSL-owskim pomyśle zniesienia abonamentu RTV – w szczególności, nigdy nie jest dość. Może więc Polacy z miast powinni raz na zawsze wziąć na swe barki cały ciężar utrzymania ojczyzny, zwalniając rodaków ze wsi nie tylko z konieczności płacenia przez nich tych groszy na własne emerytury i służbę zdrowia, które jeszcze uiszczają, lecz także z obowiązku płacenia VAT? PSL-owcy by się temu nie sprzeciwili. Nie mylę się? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Plastyczny umysł

W Massachusetts Institute of Technology (MIT) przeprowadzono eksperyment, którego rezultaty opublikowano w piśmie „Science". U zwierzęcia przeprogramowano połączenia w mózgu – część odpowiedzialną za analizę obrazu połączono z uszami, a część odpowiedzialną za analizę dźwięku z oczami. I stała się rzecz niebywała, część mózgu odpowiedzialna za słyszenie nauczyła się „widzieć", a część odpowiedzialna za widzenie nauczyła się „słyszeć". Opisano też przypadek niewidomego chłopca, który nauczył się odbierać fale dźwiękowe powstałe w wyniku klikania językiem i w ten sposób zaczął „widzieć".

Zamiast oglądać telewizję, możemy np. za pomocą kursów e-learningowych zdobyć nowe kompetencje

To oznacza, że ludzki mózg jest w stanie dokonywać rzeczy wielkich. Jakże często słyszymy, że ktoś jest dobry z przedmiotów humanistycznych i nigdy nie będzie dobry z matematyki. To nieprawda, każdy może stać się świetnym matematykiem, to tylko kwestia treningu mózgu i determinacji. Swój umysł można kształtować tak, aby rozwinął funkcje, na których nam zależy. Zamiast godzinami oglądać telewizję, możemy np. za pomocą kursów e-learningowych zdobyć nowe kompetencje.

Jeśli nie jesteśmy zadowoleni ze swojej pracy lub wykształcenia, to za darmo w kilka miesięcy możemy stać się specjalistą w dowolnej dziedzinie. Trzeba tylko wybrać odpowiedni kurs w Internecie (polecam platformy Coursera lub edX) i mamy nowy, lepiej płatny zawód.

Warto też pamiętać, że jest wiele poziomów kompetencji. Podstawowa to powtórzenie tego, czego się nauczyliśmy. Bardziej zaawansowany poziom to umiejętność wykorzystania wiedzy do rozwiązywania nowych problemów. Uczymy się nie przez słuchanie lub oglądanie, ale przez robienie tego samemu. To tzw. learning by doing.

Jeszcze nigdy w historii nie było takich możliwości na pozyskanie odpowiedniego wykształcenia, zmianę pracy na lepiej płatną. Absolwent europeistyki, dla którego jedyną dostępną pracą jest bycie kelnerem, może w ciągu kilku miesięcy, bez wielkiego wysiłku, za darmo, stać się specjalistą np. od cyberprzestępczości, a średnia płaca w tym zawodzie (w USA) to ponad 30 tys. zł miesięcznie.

Wasz los jest w waszych rękach, bardziej niż kiedykolwiek. Dzięki Internetowi. Trzeba tylko chcieć. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 9637e63beb

Złota zmiana

Łukasz Zboralski

Po 60 latach znów mamy polski lekkoatletyczny Wunderteam

To nie jest kraj dla malkontentów. Tracą ostatnie ostoje. Sport był bowiem dziedziną, która od dawna dawała pole do ponarzekania. Mieliśmy przebłyski, pojedyncze gwiazdy, ale w całości często bywało raczej słabo. Dzisiaj, gdzie nie spojrzymy, jest dobrze. Narciarscy skoczkowie – jeśli nie pojedynczo, to drużynowo – stają na pudle i to ze złotymi medalami, a na dodatek mamy eksplozję sukcesu tam, gdzie mało kto się spodziewał. Na niedawnych halowych mistrzostwach Europy polscy lekkoatleci wygrali klasyfikację medalową.

MGNIENIE LEGENDY

To, co wydarzyło się na hali w Belgradzie, przypomniało piękną dekadę lekkiej atletyki w Polsce – czas, gdy byliśmy niekwestionowaną potęgą. Sześćdziesiąt lat temu polska drużyna lekkoatletyczna pokonała RFN na stadionie w Stuttgarcie. Niemieccy komentatorzy określili wówczas naszych lekkoatletów mianem „Wunderteamu". Przez kilka kolejnych lat polski zespół udowadniał, że „cudowność" nie była przymiotnikiem danym na wyrost. Chociaż sukcesy zaczęły się ciut wcześniej – w 1956 r. podczas meczu lekkoatletycznego Polacy pokonali uznawanych za faworytów Węgrów. I czuć było już, że w polskim sporcie zaczyna się jakiś niesamowity rozdział. W tym samym roku na olimpiadzie w Melbourne był kolejny zwiastun potencjału, gdy Elżbieta Krzesińska zdobyła złoto w skoku w dal, a Janusz Sidło srebro za rzut oszczepem (w klasyfikacji medalowej Polska była już piąta).

A potem nadeszło to, co do dziś było jedynym dla Polaków wspomnieniem królowania na bieżniach. Zajmujący się lekką atletyką Jan Mulak stworzył potęgę. Objawiła się ona na wspomnianym wcześniej meczu z Niemcami. W 1967 r. wysoko pokonaliśmy w Krakowie drużynę Czechosłowacji, a potem znów upokorzyliśmy Węgrów, którzy szykowali się na rewanż. A później po drodze – zwycięstwa z Wielką Brytanią, Francją i NRD. Po pokonaniu RFN nasz Wunderteam był już światową potęgą. I w 1958 r. stanęliśmy do walki z niepokonanymi wówczas zawodnikami USA w Warszawie, którym niewiele ulegliśmy. Największy sukces przyszedł jeszcze w tym samym roku.

Na mistrzostwach świata w Sztokholmie aż osiem złotych medali zawisło na szyjach zawodników Wunderteamu. Oprócz nich zdobyliśmy dwa srebrne i dwa brązowe. W klasyfikacji medalowej ustępowaliśmy tylko ZSRS. Rozbłysły gwiazdy – Zdzisław Krzyszkowiak (długie dystanse biegowe), Jerzy Chromik (bieg z przeszkodami), Henryk Grabowski, Kazimierz Kropidłowski (skok w dal), Józef Szmidt (trójskok), Edmund Piątkowski (rzuty dyskiem), Tadeusz Rut (rzut młotem), Janusz Sidło (rzut oszczepem), Ewa Kłobukowska (sprint), Irena Kirszenstein (biegi, skok w dal), Jarosława Bieda (skok wzwyż).

Na igrzyskach w Rzymie w 1960 r. zgarnęliśmy siedem medali, a na kolejnych – w Tokio – udało się zdobyć osiem krążków.

Umowny okres Wunderteamu zamknęły mistrzostwa Europy w Budapeszcie w 1966 r. Tam zdobyliśmy siedem złotych medali, pięć srebrnych i trzy brązowe. Znów w klasyfikacji medalowej byliśmy drudzy, bo wyprzedziła nas NRD. Chociaż część gwiazd dopiero była u progu kariery – tak jak Irena Kirszenstein (potem Kirszenstein-Szewińska) – to takiej dominacji w LA już nie powtórzyliśmy przez ponad pół wieku.

BELGRAD – REAKTYWACJA?

Siedem złotych medali na halowych mistrzostwach świata w Belgradzie w tym roku to powtórka wyniku z 1966 r. Tym razem jednak w klasyfikacji medalowej byliśmy pierwsi, kończąc z jeszcze jednym srebrem i czterema brązowymi krążkami. Trudno nie pokusić się o słowo „dominacja", gdy polscy lekkoatleci zwyciężają w siedmiu z 26 rozgrywanych finałów. Druga w klasyfikacji Wielka Brytania zebrała pięć złotych medali, a trzecia drużyna – niemiecka – dwa.

eprasa.pl 9637e63beb

Jak to się stało? Skąd ten sukces? To historia, na którą składa się zapewne wiele czynników. Część to dobrze rozwijające się kariery młodych sportowców. Sprinterka Ewa Swoboda od dawna pokazywała, że w seniorskim sporcie będzie się liczyć. I właśnie w Serbii start tej 19-latki w seniorskiej kadrze zakończył się trzecim miejscem w biegu na 60 m. Ukrainka, która zajęła drugie miejsce, wyprzedziła Polkę o tysięczne części sekundy.

Nie inaczej rzecz ma się z Konradem Bukowieckim. O potencjale tego 19-latka wszyscy już wiedzieli, pisaliśmy o nim też w „Do Rzeczy". Mistrz świata juniorów i rekordzista świata juniorów do lat 20 trochę spalił się psychicznie na olimpiadzie w Rio de Janeiro. W Serbii nie pozostawił złudzeń – zgarnął halowe mistrzostwo świata w pchnięciu kulą. Wynikiem 21,95 m nie tylko zapewnił sobie złoty medal, lecz także już w tak młodym wieku wymazał rekordy żywej legendy – Tomasza Majewskiego, który po zakończeniu kariery zasiada w zarządzie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. To Bukowiecki jest dziś nie tylko halowym rekordzistą Polski, lecz także bezwzględnym rekordzistą kraju.

Adam Kszczot – najszybszy na 800 m – niczego udowadniać nie musiał. W Serbii był faworytem do złotego medalu. To jego trzecie w karierze halowe mistrzostwo Europy. Sukcesu spodziewać się też można było po tyczkarzu Piotrze Lisku. – Liczyło się tylko zwycięstwo – wyznał już po zawodach.W ostatnim czasie nikt oprócz niego nie forsował 6 m. Chociaż z drugiej strony niefortunna seria złamanych tyczek mogła powodować lęk o prawdziwą formę sportowca. Okazało się jednak, że nie tylko Lisek zdobył złoto, lecz także na trzecim miejscu podium tyczkarzy stanął Polak – Paweł Wojciechowski.

27-letni Sylwester Bednarek sięgnął po złoty medal w skoku wzwyż (2,32 m). Dla niego to prawdziwe odrodzenie – sam przyznawał, że to duży powrót po latach posuchy. Przed Belgradem na podium po raz ostatni stanął w 2009 r. w Berlinie, gdzie zdobył brąz.

Złoto wybiegały też obie polskie sztafety na 4 x 400 m – kobieca: Patrycja Wyciszkiewicz, Małgorzata Hołub, Iga Baumgart i Justyna Święty oraz męska: Kacper Kozłowski, Łukasz Krawczuk, Przemysław Waściński, Rafał Omelko.

Prezes PZLA Henryk Olszewski podkreślał po mistrzostwach Europy, że sukces był możliwy m.in. dzięki „polityce szerokiego szkolenia". Dzięki długiej ławce kandydatów udaje się lepiej wyłuskać prawdziwe talenty. Olszewski zaznaczał jednak, że takie podejście sporo kosztuje.

Tymczasem Ministerstwo Sportu zamierza pomóc związkom sportowym poszukać oszczędności. Minister sportu Witold Bańka w mediach wyliczał problemy związków sportowych, które jego zdaniem wiążą się m.in. z mało transparentnym wydawaniem pieniędzy. I zapowiedział zmiany. Nie będzie już możliwe to, że zlecenie od związku dostaje firma, w której pracują osoby spokrewnione z członkami zarządu związku. Zdaniem ministra takich umów nie będzie można zerwać, ale nowe przepisy wymuszą wówczas dymisje członków zarządów, co do których zachodziłyby podejrzenia o nepotyzm.

Tymczasem nowy polski Wunderteam już latem będzie musiał dać sobie i kibicom odpowiedź, czy potęga drzemiąca w ich mięśniach jest stała. Ile razy w sierpniu na mistrzostwach świata w Londynie usłyszymy „Mazurka Dąbrowskiego"? Nie wiadomo. Wiadomo za to na pewno, że polska lekka atletyka ma kadrę i narzędzia, by przygotować sukces na igrzyska olimpijskie, które za trzy lata odbędą się w Tokio.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W nowym Wunderteamie są halowe mistrzynie Europy w sztafecie 4 x 400 m: Patrycja Wyciszkiewicz, Małgorzata Hołub, Iga Baumgart i Justyna Święty FOT. SANJIN STRUKIC/PIXSELL/FORUM

eprasa.pl 9637e63beb

Pomidor zamiast raka

Katarzyna Pinkosz

Czy na wędlinach, hamburgerach, chipsach i frytkach wkrótce pojawią się napisy podobne do tych na paczkach papierosów: „Powoduje raka”?

Na korytarzach Centrum Onkologii nie brakuje osób, które chciałyby cofnąć wskazówki zegara i zmienić swój jadłospis, aby uniknąć raka. Żeby go pokonać, często przechodzą teraz na drakońskie diety propagowane w Internecie, a odradzane przez onkologów. Piją np. litry wyciskanych soków albo do każdego posiłku dodają siemię lniane, orzechy, sezam, olej lniany i inne produkty z tłuszczami omega-3. Często jest z tego jednak więcej szkody niż pożytku. O ile dieta nie wyleczy z raka – choć bardzo wspomaga jego leczenie – o tyle w dużej mierze może jemu zapobiec.

50–70 proc. nowotworów udałoby się uniknąć dzięki zmianie stylu życia. Chodzi oczywiście o zaprzestanie palenia papierosów, większą aktywność fizyczną i inny sposób odżywiania. Jest o co walczyć, bo w Polsce co roku ponad 140 tys. osób dowiaduje się, że ma raka, a prognozy pokazują, że będzie jeszcze więcej. Za 10 lat liczba nowych zachorowań może wzrosnąć nawet o 40 proc.

ZGUBNE KILOGRAMY

– Droga do raka ma początek już w dzieciństwie, a nawet w okresie przed narodzinami, kiedy organizm dziecka programuje się na całe życie. Ogromne znaczenie ma to, co kobieta je w czasie ciąży, a potem czy dziecko jest karmione piersią i prawidłowo żywione w pierwszych latach życia – mówił podczas II Narodowego Kongresu Żywienia prof. Mirosław Jarosz, dyrektor Instytutu Żywności i Żywienia.

W tym, co codzienne jemy, znajdują się liczne składniki powstrzymujące powstawanie raka. Inne z kolei powodują zmiany w DNA i stymulują tworzenie nowotworów.

Od dawna wiadomo, że nadwaga i otyłość oznaczają ryzyko cukrzycy typu 2 i chorób serca, coraz więcej badań potwierdza też, że wraz z każdym kilogramem nadwagi rośnie ryzyko zachorowania na raka. Tkanka tłuszczowa m.in. produkuje estrogeny, które u kobiet sprzyjają rozwojowi hormonozależnego raka piersi, a także związki wywołujące w organizmie przewlekły stan zapalny. Zbędne kilogramy przyczyniają się do powstawania kilkunastu typów nowotworów, m.in. piersi, jelita grubego, wątroby, przełyku, macicy. Osoby z nadwagą częściej chorują też na nowotwory mózgu, choć bezpośrednia przyczyna nie jest znana.

Lepiej więc unikać produktów bogatych w cukier i tłuszcz, które powodują otyłość. Jednak głodówki, anoreksja i „czerpanie energii z kosmosu” też nie działają korzystnie. – Niedożywienie, zwłaszcza w dzieciństwie, jest czynnikiem ryzyka nowotworów. U mężczyzn niedożywionych w dzieciństwie występuje o 25 proc. większe ryzyko zachorowania na raka, a u kobiet o 15 proc. – potwierdza prof. Jarosz.

GÓRĄ WEGETARIANIE

Z informacji przekazanych przez naukowców cieszyć się będą wegetarianie. Co prawda mięso nie zostało całkiem zakazane, ale głośno mówi się, że trzeba je mocno ograniczyć. Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem uznała wędliny, kiełbasy, kiełbaski i parówki za produkty rakotwórcze. Do ich konserwowania używa się m.in. azotanów, które w organizmie przekształcane są w nitrozoaminy mające działanie rakotwórcze. Zostały one zaliczone przez Międzynarodową Agencję Badań nad Rakiem do grupy 1: związki o potwierdzonym działaniu rakotwórczym. – W czasie wędzenia powstają też wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (WWA), z których benzopiren jest również zaliczany do związków o potwierdzonym działaniu rakotwórczym – dodaje doc. Hanna Mojska z Instytutu Żywności i Żywienia. W grupie produktów prawdopodobnie rakotwórczych znajduje się smażone oraz grillowane mięso. W trakcie jego obróbki termicznej powstają m.in. WWA oraz aminy aromatyczne. Ich szkodliwe działanie udokumentowano w badaniach na zwierzętach.

Jeśli nie chcemy zachorować na raka, to powinniśmy znacznie ograniczyć jedzenie wołowiny i wieprzowiny, czyli czerwonego mięsa. Agencja Badań nad Rakiem zaklasyfikowała je do grupy 2A (prawdopodobnie rakotwórcze). Powodem jest wysoka zawartość żelaza hemowego. Jest ono bardzo dobrze przyswajane przez organizm, dlatego mięso tak często jest zalecane w celu zapobiegania anemii. Jednak w dużych ilościach hem może uszkadzać DNA, prowadząc do procesów nowotworzenia, a także stymulować rozwój bakterii produkujących substancje rakotwórcze. – Codzienne spożywanie 50 g mięsa czerwonego zwiększa o 18 proc.: ryzyko raka jelita grubego – dodaje prof. Jarosz. Dla porównania: kotlet schabowy wielkości dłoni waży ok. 150 g. Udowodniono też związek między spożywaniem dużej ilości czerwonego mięsa a rakiem trzustki, prostaty, płuc, piersi. Kobiety, które spożywały dużo czerwonego mięsa jeszcze przed okresem dojrzewania, mają blisko o połowę

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 9637e63beb

większe ryzyko zachorowania na nowotwór sutka jeszcze przed menopauzą.

BEZ SOLI I ALKOHOLU?

Zaleca się maksymalnie 5 g soli dziennie, tymczasem przeciętny Polak zjada jej 12–15 g, gdyż jest ona dodawana do niezliczonej ilości produktów, takich jak wędliny, ryby wędzone, żółte sery, pieczywo, płatki kukurydziane. Nadmiar soli to nie tylko ryzyko nadciśnienia, udaru mózgu i zawału. – Każdy dodatkowy gram soli to wzrost ryzyka raka żołądka. Sól sprzyja zakażeniom *Helicobacter pylori*, nasila przewlekły stan zapalny, sprzyja tworzeniu związków rakotwórczych – wylicza prof. Jarosz.

Ze względu nie tylko na nią, lecz także akrylamid lepiej zrezygnować z frytek, słonych paluszków, chipsów, herbatników, wafelków, a także dobrze przypieczonego ciasta czy chleba o mocno brązowym kolorze skórki. Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem uznała akrylamid za związek prawdopodobnie rakotwórczy. Powstaje w trakcie obróbki termicznej, w temperaturze powyżej 120 st. C, szczególnie w produktach ziemniaczanych i zbożowych. Sporo jest go też w kawie, zwłaszcza rozpuszczalnej oraz zbożowej, gdy w składzie znajduje się cykoria.

Wyniki badań naukowców nie spodobają się zwolennikom piwa, wina, nie mówiąc już o mocniejszych trunkach. – Alkohol jest odpowiedzialny w istotny sposób za siedem nowotworów, i to nie tylko przewodu pokarmowego, np. przełyku, krtani, wątroby, żołądka, jelita grubego, lecz także raka piersi. Wywołuje sprzyjający powstawaniu nowotworów przewlekły stan zapalny, uszkadza DNA, ułatwia wnikanie związków rakotwórczych do tkanek i komórek. – W niektórych typach nowotworów nawet niewielkie ilości alkoholu zwiększają ryzyko. 10 g czystego etanolu dziennie zwiększa ryzyko raka wątroby, a nawet 6–8 g etanolu zwiększa ryzyko raka piersi – dodaje prof. Jarosz. Dla porównania: w dużym piwie (500 ml) 4,5 proc. znajduje się 18 g czystego etanolu, a w kieliszku wina 12-procentowego – 16,8 g etanolu.

Powinni zmienić też zwyczaje amatorzy gorącej herbaty. Picie napojów o temperaturze przekraczającej 65 st. C zostało zakwalifikowane do grupy czynników 2A: prawdopodobnie rakotwórcze. Gorące napoje niszczą śluzówkę i mogą przyczyniać się do powstania raka przełyku.

Skoro mamy zapomnieć o grillowanym mięsie, kotlecie schabowym, słonych paluszkach, wafelkach, pachnącej skórce od chleba, winie, a nawet gorącej herbacie, to co nam pozostaje? Przede wszystkim uwierzyć, że zmiana stylu życia ma sens. – Dzięki temu, że już zmieniła się dieta Polaków, udaje się rocznie uniknąć 3 tys. zachorowań na raka jelita grubego. Mężczyźni palą mniej papierosów niż kiedyś, dlatego spadła liczba zachorowań na raka płuc. W ciągu 20 lat udało się dzięki temu uratować 320 tys. osób, i to bez żadnych interwencji medycznych. Teraz chodzi o to, żeby na podstawie wiedzy, jaką mamy, nadal zmieniać styl życia – przekonuje prof. Jarosz.

Zdaniem ekspertów wystarczy unikać produktów wysokoprzetworzonych. Jeśli mięso, to białe, chude i w rozsądnych ilościach. Lepiej sięgać częściej po kaszę, fasolę, chudy nabiał, a przede wszystkim postawić na bogate w błonnik warzywa i owoce. Im więcej porcji, różnorodności i barw, tym lepiej, bo każdy kolor oznacza inny rodzaj związków antynowotworowych. Cebula i czosnek zawierają związki organosiarkowe, brokuły – sulforafan, a marchew, dynia, morele, sałata – karotenoidy. Likopen z pomidorów hamuje wzrost komórek nowotworowych. Potwierdzone właściwości przeciwnowotworowe mają też polifenole zawarte w jagodach i borówce amerykańskiej oraz katechiny z zielonej herbaty. Składniki antynowotworowe znajdują się też w grzybach, np. popularnych boczniakach. – Wiemy już dziś, jaka żywność powoduje raka, a jaka przed nim chroni. Ostatnie lata przyniosły wiele badań naukowych, które postawiły kropkę nad i. Pytanie teraz, co z tą wiedzą zrobimy – zastanawia się prof. Jarosz.

Decydując się na to, co dziś zjeść na obiad, warto zwrócić uwagę, że chociaż Ministerstwo Zdrowia obiecuje, iż skrócą się kolejki do leczenia i poprawią jego efekty, to na razie mamy mniejsze szanse na wyleczenie raka niż mieszkańcy Europy Zachodniej. Tym bardziej warto położyć na talerz porządną porcję marchewki i brokułów, by po prostu nie zachorować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9637e63beb

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GEAR S3 CLASSIC

Pozwala odebrać połączenie telefoniczne, dyskretnie przeczytać SMS na nudnym firmowym zebraniu lub po cichu obudzić użytkownika za pomocą wibracji. Najnowszy smartwatch Samsunga to jeden z najlepszych gadżetów dla fanów technologii ubieralnych. Nie jest to jednak ciągle smartwatch idealny.

Okrągły ekran AMOLED o średnicy 1,3 cala (i rozdzielczości 360 x 360 pikseli) wyświetla żywe kolory i jest na tyle jasny, że bez obaw można go używać nawet w ostrym słońcu.

Jest już też na tyle duży, że możemy na nim szybko przeczytać nowy e-mail, zapoznać się z newsami, sprawdzić kolejne zadania do zrobienia czy prognozę pogody. Wygodną i intuicyjną nawigację po systemie inteligentnego zegarka zapewnia zaś obrotowy pierścień. Aplikacji jest sporo. Brakuje jednak np. takich programów jak Google Maps.

W smartwatch wbudowano też m.in. GPS, barometr, wysokościomierz i pulsometr. Głośnik oraz mikrofon umożliwiają z kolei przeprowadzenie krótkiej rozmowy telefonicznej (mówienie do nadgarstka nawet w czasach najdziwniejszych gadżetów nadal budzi pewne zainteresowanie otoczenia), nawet jeśli połączony za pomocą Bluetooth smartfon leży schowany w torbie kilka metrów dalej. To bardzo przydatna funkcja, gdy chcemy szybko odebrać telefon, a akurat jedziemy samochodem lub obładowani siatami wracamy z zakupów. Niestety, do Gear S3 nie da się przełożyć karty SIM i np. pójść pobiegać bez konieczności taszczenia ze sobą wielkiego phabletu. Zegarek może się jednak spodobać fanom gadżetów wspomagających zdrowy tryb życia. Aplikacja S Health regularnie sprawdza puls, monitoruje sen, liczy liczbę pokonanych danego dnia pięter czy zrobionych kroków. Gdy zbyt długo posiedzimy przed ekranem komputera, zegarek wyświetli zaś prosty komunikat: „Rusz się!". Za kolejne rekordy otrzymamy natomiast wirtualne pochwały. Niestety, gadżet Samsunga nie jest wystarczająco wodoodporny, aby móc z nim pływać lub nurkować. Nieco dokładniejszy mógłby być również zastosowany w tym modelu pulsometr.

Gear S3 w wersji Classic wygląda na tyle elegancko, że można go bez większych obaw założyć do marynarki i wyruszyć na oficjalne spotkanie. Trzeba jednak uważać, bo zegarek jest dość gruby i noszenie go do koszuli ze spinkami może być dość trudne. Z kolei w silnym oświetleniu obrotowy pierścień mieni się czasem niczym cekiny na spodniach tancerki disco polo.

Gadżet robi jednak wrażenie solidnie wykonanego. Koperta zrobiona jest ze stali nierdzewnej, a pasek z prawdziwej skóry da się w razie potrzeby łatwo wymienić. Bardzo duży rozmiar smartwatcha (46,1 x 46,1 x 12,9 mm) sprawia jednak, że jest to w zasadzie gadżet tylko dla mężczyzn, a i to nie dla wszystkich – na niektórych nadgarstkach może bowiem wyglądać komicznie. Wygląd tarczy można zmieniać w dowolnym momencie. Do wyboru jest 15 gotowych wzorów, ale za pomocą aplikacji można ściągnąć wiele innych. System działa płynnie i podczas testu ani razu się nie przyciął.

Kolejna dobra wiadomość: akumulator o pojemności 380 mAh sprawia, że inteligentnego zegarka nie trzeba wreszcie ładować codziennie. Podczas naszego testu bateria wystarczała na dwa–cztery dni użytkowania na jednym ładowaniu. Czas ten zależy m.in. od tego, czy chcemy, aby wyświetlacz był zawsze włączony, czy wystarczy, kiedy będzie się podświetlał akurat wtedy, gdy będziemy chcieli na niego spojrzeć. Cena: ok. 1,6 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

BOND I PANIENKI

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Moda na urządzenia dyskretnie robiące zdjęcia lub nagrywające filmy bynajmniej nie okazała się przejściowa. I choć snapchatowe okulary Spectacles to głównie zabawka dla nastoletnich panienek, a okulary Google utknęły gdzieś na etapie przedprodukcji, to kolejne firmy szukają podobnych rozwiązań i szansy na rynku. Swoje pięć minut zapewne będzie miało też urządzenie o nazwie Beoncam, będące sferyczną – a więc coraz bardziej popularną – kamerką, którą można nosić na ręku, bo z daleka wygląda jak zegarek. Ba, podobnie jak on pokazuje również godzinę. Urządzenie, które możemy przyczepić też do paska od plecaka albo od spodni (w zależności od tego, jaką akcję chcemy nagrać), pozwala nie tylko na kręcenie filmów, lecz także na pstrykanie fotek o rozdzielczości 5 Mpix, czyli w jakości, delikatnie mówiąc, średniej, ale za to w formacie 360 stopni. Bateria wystarcza na blisko trzy godziny ciągłego działania. Cena urządzenia, które można zamówić już na portalu Indiegogo, to ok. 380 zł. W sprzedaży od lipca, więc jeśli ktoś chciałby wybrać się z Beoncam na plażę nudystek, to na pewno zdąży.

CHIŃSKI HONOR

Z telefonami firmy Honor, spółki córki chińskiego producenta Huawei, zetknąłem się rok temu całkiem przypadkiem, w porywie szaleństwa decydując się kupić Honor 7 zamiast wygiętego LG, i rozczarowany nie jestem. Teraz na rynek wchodzi kolejna wersja smartfona chińskiego producenta – Honor Magic, który rzeczywiście może oczarować. Zachwyca szklana symetryczna konstrukcja całkowicie pozbawiona kantów. Telefon wyposażono w procesor Kirin 950, pamięć RAM – 4 GB, podwójny tylny aparat fotograficzny (2 x 12 Mpix), przedni do selfików – 8 Mpix, i – uwaga! – zakrzywiony ekran o przekątnej 5,1 cala. Bateria ma opcję superpower, która – zdaniem producenta – gwarantuje naładowanie telefonu w mniej niż 40 minut, technologia WiseScreen sprawia, że telefon rozpoznaje swojego użytkownika – wystarczy na niego spojrzeć, by się odblokował, rozpoznaje też dotyk dłoni i zaczyna pracę. Bardzo ciekawą innowacją jest funkcja FaceCode, dzięki której powiadomienia o nowych wiadomościach i połączeniach wyświetlają się tylko właścicielowi. Fajnych bajerów jest znacznie więcej. Mniej fajna będzie cena smartfona Honor Magic, która wyniesie ok. 2250 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 9637e63beb

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem (5+5)

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego. Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego, którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

eprasa.pl 9637e63beb

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pusty szwedzki stół

Szwedzki stół", czyli po szwedzku „smörgåsbord", oznaczający otwarty bufet, z którego każdy zabiera, co chce, używany był prawdopodobnie już w XVI w. Etymologicznie wywodzi się od dwóch słów: „smör" oznaczającego kawałki chleba i „bord" – stół, czyli mówiąc krótko – kanapki na stole, jednak w tradycji polskiej związany jest z legendą z czasów potopu. W 1656 r. Karol X Gustaw oblegał Zamość i chciał skłonić układami Jana Zamoyskiego „Sobiepana" do poddania miasta. Wówczas ordynat wydał za murami ucztę dla Szwedów, ustawiając im potrawy na stole, ale dla despektu nie dał im krzeseł. Od tego czasu zaczęto rzekomo nazywać taką formę podawania przekąsek i dań „szwedzkim stołem". Piszę „rzekomo", bo nie znalazłem w żadnym późniejszym źródle historycznym takiego słowa. Określenie „smörgåsbord" zostało przez Szwedów spopularyzowane w 1939 r., w czasie wystawy światowej w Nowym Jorku, gdzie serwowano potrawy z takiego właśnie stołu. Tymczasem prawdziwy stół szwedzki był w XVII w. raczej... pusty, bo specyficzna kuchnia tego narodu wykształciła się później.

Cóż zatem jadało „pludractwo", które najechało Rzeczpospolitą? Arystokracja i szlachta szwedzka spożywały podobne potrawy co nasza magnateria. Jak podaje Peter Englund, były one przygotowywane na sposób francuski, a na kuchni tej opartych jest przecież wiele przepisów kuchni polskiej. Uczta zaczynała się od dań z ryb, potem były pasztety, drób i wreszcie różne rodzaje mięsa. Tak jak u nas jadano dziczyznę, tyle że uzupełnioną o północne frykasy – np. mięso reniferów, a także ptactwo: cietrzewie, głuszce, jarząbki, żurawie i zupełnie niejadane u nas szpaki.

Na szwedzki stół trafiało ptactwo domowe: gęsi, kury, bażanty, kaczki, indyki i oczywiście kapłony. A także ogromna liczba ryb: karpie, łososie, węgorze, sumy, szczupaki, ślizy, dorsze, flądry, sławne szwedzkie śledzie, witlinki, leszcze, sandacze, sieje i jesiotry. Spożywano także wołowinę, cielęcinę i baraninę.

Jak jadał zwykły chłop? Dość skromnie, chyba gorzej niż kmieć w Polsce. Z powodu różnicy klimatu i mniejsze plony spożywał więcej ryb niż potraw z mąki. Głównymi potrawami, jak podaje Englund, były: różne rodzaje zupy, kleiki mączne, kasza, groch, kapusta, rzepa lub cebula, kwaśne mleko, solone masło. Sporo jadła przyrządzano ze składników, które można było zebrać na polu i w lesie, np. z jagód. Do tego dochodziła ogromna masa suszonych, wędzonych lub solonych ryb. Mieli też Szwedzi swoje dziwne potrawy, choćby kapustę ze zsiadłym mlekiem, często jadali raki, uznawane za potrawę dla ubogich.

Chleb był ciemny, przygotowywany z żyta lub jęczmienia, czasem doprawiony brzeczką piwną. W czasach głodu wypiekano go z kory drzew. A głód zdarzał się nie tylko z powodu nieurodzajów. Na przykład w 1628 r., kiedy zwodowano galeon „Vasa", na polecenie króla skonfiskowano w Sztokholmie cały zapas chleba na suchary dla załogi, co wywołało rozruchy. Tymczasem okręt zatonął zaraz po wyjściu z portu. ©℗

Janssons frestelse FOT. FOTOLIA

Glögg

Gotujemy dwie szklanki soku pomarańczowego. Kiedy zacznie wrzeć, wrzucamy przyprawy: imbir, cynamon, goździki, kardamon, skórkę pomarańczową. Gotujemy mieszaninę przez blisko pół godziny. Następnie przez sitko przecedzamy wywar do garnuszka i dodajemy kilka dużych łyżek miodu, dolewamy też około trzech czwartch litra półwytrawnego wina i pół szklanki wódki. Podgrzewamy, ale uważamy, aby nie zagotować. Napój podajemy gorący, dorzucając do kubków po kilka rodzynek i migdałów bez skórki.

Janssons frestelse z ziemniaków

Smarujemy masłem garnek i posypujemy tartą bułką. Obieramy i kroimy w talarki 1 kg ziemniaków, kilka cebul. Układamy w garnku warstwami na przemian – ziemniaki, anchois (z puszki), cebulę i znowu kartofle. Zapiekankę pieczemy w temperaturze ok. 200 st. C przez pół godziny. Wyjmujemy, zalewamy śmietaną, solimy, doprawiamy białym pieprzem i posypujemy tartą bułką lub startym suchym serem. Pieczemy przez kolejne pół godziny albo do chwili, kiedy jest dobrze zrumieniona.

eprasa.pl 9637e63beb

CO LUBI, A CZEGO NIGDY NIE TKNIE ELŻBIETA DZIKOWSKA

Lubię próbować różnych smaków, ale są rzeczy, które jadam tylko podczas podróży i nie przenoszę ich do swojej kuchni. Do takich potraw z pewnością mogę zaliczyć pierożki nadziewane jajeczkami mrówek, które jadłam w Meksyku. Chwaliłam ich smak, ale z grzeczności, szczerze mówiąc – nie smakowały mi.

Za to w Gabonie miałam okazję jeść pytona, upieczonego zresztą przez polskich misjonarzy. Był bardzo dobry, przypominał w smaku królika albo młodego kurczaka. Jest wiele potraw, które wyglądają na bardzo niesmaczne, ale potrafią zaskoczyć, jeśli tylko odważymy się je skosztować. Na przykład owoc durian, który odstręcza nieprzyjemnym zapachem, wręcz cuchnie, a jest wyjątkowo smakowity.

Są jednak rzeczy, których nigdy nie wzięłabym do ust. Nie zdecydowałam się np. zjeść szarańczy smażonej z pikantnymi przyprawami. Na pewno nie spróbowałabym też dżdżownicy. Co prawda nigdy mi ich nie podano, ale odstręcza mnie ich widok, od kiedy wiem, że w niektórych miejscach na świecie jada się dżdżownice.

Ceviche

Bardzo lubię kuchnię chińską i włoską, ale dziś zaproponuję coś z Ameryki Łacińskiej. Jest to danie rybne, najlepsze można zjeść w Peru, Ekwadorze i Meksyku. To surowa ryba morska, najczęściej corvina albo lenguado (sola), ale można też użyć tuńczyka lub karmazyna, więc ceviche można bez problemu przygotować w Polsce.

Składniki:

- ok. 500 g surowej ryby (może być karmazyn lub tuńczyk)
- ok. 150 ml soku z limonek
- cebula • kolendra • sól i pieprz

Przygotowanie:

Filety kroimy w kostkę, zalewamy sokiem z limonki. Dodajemy cebulę i kolendrę. Solimy i pieprzymy do smaku. Rybę powinniśmy marynować w ten sposób co najmniej 15 min. Powstaje bardzo zdrowe i smaczne danie, które najlepiej popić peruwiańskim koktajlem pisco sour, czyli niezbyt mocnym alkoholem na bazie winogron z dodatkiem białka z kurzego jajka, cynamonu i cukru. ©℗

oprac. raw

Elżbieta Dzikowska jest historykiem sztuki, sinologiem, podróżniczką, autorką książek, filmów i programów dokumentalnych.

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM, FOTOLIA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Donald Trump i befsztyki

To, że Donald Trump lubi złocone meble na lwich nogach oraz kobiety z dużym biustem, było wiadomo od dawna. Żeby jednak zbadać, jakie są upodobania kulinarne prezydenta, trzeba było dobrze powęszyć. Wszechobecni dziennikarze wytropili ostatnio, że prezydent jada befsztyki mocno wysmażone. Niby nic takiego, w końcu o gustach się nie dyskutuje. Jednak okazuje się, że stopień wysmażenia steku może dać asumpt do zaawansowanej psychoanalizy. W grę wchodzą sprawy poważne: męskość oraz cechy charakteru rzutujące na politykę.

Media od razu zajęły odpowiednie stanowiska. The Huffington Post wysunął równie śmiałą, co łatwą do przewidzenia tezę, że mięso wysmażone jest najgorszym z możliwych. Portal Jezebel, odpowiednik naszego Pudelka, stwierdził, że prezydent zachowuje się jak jakiś dzieciak. Magazyn kulinarny „Eater" w dość długim wywodzie udowodnił, że upodobanie do poszczególnych rodzajów mięsa ma wpływ na poziom zaufania do innych oraz umiejętność korzystania z rad. Nie trzeba dodawać, że mięso wysmażone wybierają ludzie nieufni i zamknięci.

Przewidywalnie zareagowały również media prawicowe: „Tylko mężczyźni pozbawieni testosteronu jadają mięso, które nie jest wysmażone na skwarkę". Ktoś inny z prawej strony posunął się dalej: „Tylko sataniści i pedofile jedzą surowe mięso". „Więc zgadza się, że Trump czymś takim się brzydzi" – odtweetował mu kolejny. Na to odezwała się lewica: „Nikt nie oddałby głosu na Trumpa, gdyby wiedział, że jada befsztyki well-done". I tak dalej. Dyskusja w Internecie wiążąca stopień czerwoności/różowości/brązowości mięsa z cechami płciowymi/intelektualnymi konsumenta nabierała rozpędu. Cytowano badania „naukowe". Mięso jest męskie, warzywa kobiece – to udowodnione. Silny, umięśniony macho jest utożsamiany z befsztykiem krwistym.

Przykłady? W Etiopii mężczyźni jedzą surowe mięso; rzeczownik „mięso" w większości języków jest rodzaju męskiego. Wysuwano argumenty polityczne: ktoś, kto jada mięso, nie dba o dobro planety. Zdania o wegetarianach i rowerzystach nie padły, ale było blisko. W każdym razie wyniki kulinarnego testu psychologicznego potwierdziły przewidywania.

Tak to się robi w Ameryce. A u nas? Najwyższy czas prześwietlić gusta kulinarne władzy. Może zrozumiemy, o co chodzi w naszej zaciekłej wojnie plemiennej. ©℗

Casa 9637e63beb

NASZ TEST: VOLVO S90

Fla limuzyna Volvo dla tych, którzy są nieco znudzeni tradycyjnymi niemieckimi wozami, może być jak powiew świeżego szwedzkiego powietrza. S90 łączy charakterystyczny majestatyczny wygląd z aurą skandynawskiej pogody ducha.

W KABINIE

Design jest elegancki, minimalistyczny, wręcz chłodny. Użyte materiały (m.in. drewno, aluminium i miękkie w dotyku plastiki) są wysokiej jakości, solidnie wykonane i dobrze spasowane.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Największą zaletą luksusowej kabiny jest jednak jej przestronność. Na brak miejsca nie powinni narzekać nawet wysocy pasażerowie, choć osoba siedząca na środku tylnej kanapy – ewidentnie zaprojektowanej z myślą o dwóch, a nie trzech osobach – nie będzie miała zbyt wiele przestrzeni na nogi.

Pojemność bagażnika przy rozłożonych siedzeniach wynosi 500 l – to mniej, niż oferują bezpośredni konkurenci, tacy jak Audi A6 Avant (565 l) i BMW serii 5 (530 l), ale ustawny kufer jest wystarczający, aby bez trudu zapakować parę dużych walizek.

Centralnym elementem konsoli jest 9-calowy kolorowy wyświetlacz dotykowy. Za jego pomocą obsługuje się nie tylko nawigację i system multimedialny, lecz także np. ustawienia klimatyzacji. Mapy i menu są przejrzyste, a system reaguje błyskawicznie. Takie rozwiązanie jest więc w większości przypadków wygodne, choć w czasie szybkiej jazdy obsługa dużej liczby stosunkowo niewielkich ikonek na ekranie może wymagać od kierowcy nieco więcej uwagi, niż powinna.

Jak przystało na auto klasy premium, kabina jest bardzo dobrze wyciszona. Silnika niemalże nie słychać. Również przy prędkościach autostradowych do wnętrza praktycznie nie docierają odgłosy wiatru ani pokonywanej drogi. Dzięki temu dobrze słychać muzykę, która za sprawą głośników Bowers & Wilkins brzmi w tej limuzynie naprawdę świetnie.

JAZDA

Testowany model w wersji D4 – z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM – od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 8,2 s. Limuzyna z tym silnikiem przeznaczona jest jednak raczej do stabilnej, komfortowej jazdy niż do sportowych szaleństw, choć w trybie dynamicznym na autostradzie można bez stresu trzymać się głównie lewego pasa. W wersji R-Design, w której zawieszenie jest twardsze niż standardowe, auto staje się nieco zwinniejsze i daje sporo frajdy, np. podczas jazdy po zakrętach.

Przy w miarę spokojnej jeździe model S90 spalał w cyklu mieszanym 7,4 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Inżynierowie Volvo od lat robią wiele, aby marka uchodziła niemal za synonim bezpieczeństwa. W testach zderzeniowych Euro NCAP auto uzyskało więc komplet pięciu gwiazdek, a w kategorii ochrona dorosłych zdobyło aż 95 proc. pkt.

Limuzyna jest też wyposażona w wiele systemów poprawiających bezpieczeństwo. Volvo S90 może np. samodzielnie utrzymywać się w pasie ruchu, adaptacyjny tempomat automatycznie dostosowuje prędkość do panującego ruchu, a kolejni „asystenci" ostrzegają kierowcę przed pojazdami znajdującymi się w martwych polach lusterek czy przed samochodami jadącymi prostopadle do nas (np. podczas wyjeżdżania z parkingu).

Model S90 potrafi także autonomicznie hamować i to nie tylko wówczas, jeśli wykryje, że zaraz uderzymy w tył poprzedzającego samochodu – auto umie bowiem rozpoznawać pieszych, rowerzystów, a nawet duże zwierzęta. Limuzyna jest też wyposażona w system rozpoznawania znaków drogowych, a także w przydatny podczas parkowania system kamer pokazujących widok 360 stopni.

CENA

Za najtańsze S90 z silnikiem Diesla o mocy 150 KM, manualną skrzynią biegów i napędem na jedną oś trzeba zapłacić 185,3 tys. zł. Na limuzynę z silnikiem o mocy 190 KM, automatyczną skrzynią biegów oraz napędem na cztery koła trzeba wydać co najmniej 211,9 tys. zł.

Najdroższa wersja benzynowa – z silnikiem o mocy 320 KM – to koszt 294 tys. zł.

Końcowy rachunek zależy oczywiście od tego, ile opcji dodatkowych zaznaczymy przy zamówieniu, ale przekroczenie bariery 300 tys. zł wcale nie jest trudne.

KONKURENCI

Audi A6, BMW serii 5, Hyundai Genesis, Infiniti Q70, Jaguar XF, Mercedes klasy E, Lexus GS. ©℗

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl 9637e63beb

VIKO YACHTS

EST 1987

VIKO 20, VIKO S 21, VIKO S 22, VIKO 23, VIKO 25, VIKO S 26, VIKO 27DS, VIKO S 30 , VIKO 40

VIKO YACHTS

www.vikoyachts.com
e-mail: info@vikoyachts.com,
tel. + 48 61 670 96 05, + 48 61 306 71 71

eprasa.pl 9037e65beb

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Format prezydencki

MARCIN MAKOWSKI: Donald Trump przemówił w Kongresie i stał się cud. Prawie wszyscy komentatorzy byli zgodni, że to jego najlepsze i prawdziwie prezydenckie wystąpienie. Nie można tak było od początku?

MATTHEW TYRMAND: Nikt nie staje się prezydentem z dnia na dzień, ale sam fakt, że nawet Van Jones – mocno lewicowy doradca Baracka Obamy – stwierdził, że Trump właśnie zasłużył na to miano, o czymś świadczy. Myślę, że jego przemówienie było tak dobre głównie dlatego, że powtórzył i wzmocnił najlepszą stronę swojej kampanii. Zapowiedź restartu amerykańskiego snu szła w parze z zapewnieniem, że Ameryka znowu będzie samodzielna. Wrażliwość na kwestie społeczne została uzupełniona obietnicą powrotu na kontynent wartościowych miejsc pracy, nowymi projektami z zakresu infrastruktury, walką nie tylko z terroryzmem, lecz także z plagą narkomanii. Z perspektywy Polski na pewno istotne było potwierdzenie mocnego kursu na wzmocnienie NATO, które będzie mitem dopóty, dopóki państwa członkowskie nie wezmą sobie do serca, że zobowiązały się do płacenia 2 proc. PBK na obronność.

Obrazowo można powiedzieć, że wypadkowa tego, co przekazał w Kongresie Trump, brzmiała tak, jakby Stephen Bannon spotkał się z Ivanką Trump. Trochę populizmu, szczypta wrażliwości, tona amerykańskości. Tyle że dzień później wróciły stare dobre tweety, z oskarżeniami mediów i Obamy na czele.

A czego się spodziewałeś? Pod tym względem Trump już się nie zmieni, ale chyba takiego go ludzie wybrali. Nie zmienia to jednak faktu, że z punktu widzenia jednoczenia podzielonego politycznie państwa znacznie korzystniejszy jest ton, który wybrał w Kongresie. Kiedy trzeba było przemówić do emocji, osobiście podziękował wdowie po poległym komandosie Navy SEALs. To, że część demokratów na złość nie wstała wtedy z miejsc, pokazuje, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia. I o tym nie można zapominać, czytając ostre tweety prezydenta. Wojna przeciw obecnej administracji przypomina nieco sytuację w Polsce, nie ma dnia bez fałszywych oskarżeń i szukania powiązań z Rosją, a w świetle ostatnich zarzutów Trumpa, że Obama podsłuchiwał go w trakcie kampanii, wcale bym się nie zdziwił, gdyby w śledztwie, które powinno być przeprowadzone w tej sprawie, zaczęły wychodzić znacznie gorsze rzeczy.

Oskarżenie prokuratora generalnego Jeffa Sessionsa o kontakt z ambasadorem Rosji to też kolejny element „spisku" wymierzonego w Trumpa? Sporo tych wrzutek służb.

I każda z nich rozłożona na czynniki pierwsze okazuje się żałośniejsza od poprzedniej. Atakowanie Sessionsa jako tajnego agenta Putina zakrawa na śmieszność. Zdjęcie, które mu wyciągnięto ze spotkania z ambasadorem Rosji, pochodziło z konwencji dyplomatycznej w Cleveland, podczas której administracja Obamy umówiła senatorom spotkanie z bodaj setką innych przedstawicieli państw. To ich praca, aby spotykać się i rozmawiać, szczególnie że nikt nie ukrywał nawet podobnych relacji. Najlepsze jest to, że demokraci, którzy najostrzej zaatakowali Sessionsa, sami mieli zdjęcia z Putinem, Miedwiediewem… To jest czysty absurd.

Zakończmy po europejsku. Jacek Saryusz-Wolski oficjalnym kandydatem rządu na szefa Rady Europejskiej. Genialny gambit PiS czy tania zagrywka obliczona na zemstę na Tusku?

Myślę, że coś pośrodku. To ciekawy ruch pod względem wizerunkowym i taktycznym, ale raczej skazany na niepowodzenie wyborcze. Dobrze, że rząd pokazał Tuskowi, iż nie jest ślepy na jego mieszanie się w sprawy krajowe i niekorzystne dla Polski ruchy pod względem polityki migracyjnej. Nawet jeśli ta walka skończy się wyborem europejskiego socjalisty, to strata będzie niewielka. Unia to i tak socjalistyczny projekt. Dobrze, żeby była pod tym względem szczera. To tylko przyspieszy jej erozję. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 9637e63beb

Polska na Dzień Dobry
7:00 - 9:00

Flesz informacyjny

7:20 Kalendarz Historyczny

Flesz informacyjny

7:35 Gość programu

Flesz informacyjny

7:50 Chłodnym Okiem - Ziemkiewicz, Terlikowski, Nisztor, Stankiewicz

Flesz informacyjny

8:20 Kultura

Flesz informacyjny

8:35 Ekonomia

Flesz informacyjny

8:50 Chłodnym Okiem II

www.telewizjarepublika.pl

OKIEM BLOGERKI

KATARYNA

Sukces na miarę naszych możliwości

WOJCIECH BIEDROŃ: Sprawa Jacka Saryusza-Wolskiego była pretekstem do tego, by w Unii Europejskiej toczyła się wreszcie jakaś dyskusja. To duży sukces polskiego rządu.

Parafrazując kultową scenę z „Misia": To jest sukces na miarę naszych możliwości, my tym sukcesem otwieramy oczy niedowiarkom. Patrzcie – mówimy – to nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo.

Nie ma nic gorszego, niż wykrwawiać się w bitwie nie do wygrania

Gdyby nie dyplomatyczna ofensywa PiS Rada Europejska bez większych ceregieli przedłużyłaby mandat Donalda Tuska na kolejne dwa i pół roku, bo do czasu zgłoszenia przez rząd „kandydatury" Jacka Saryusza-Wolskiego (używam cudzysłowu, bo jak się na takim szczeblu zgłasza kandydata cztery dni przed dniem wyboru i bez najmniejszego choćby sondowania jego szans, to znaczy, że się tej kandydatury nie traktuje poważnie) był jedynym i raczej pewnym kandydatem, bo nikt – Polska też nie – nawet nie rozważał wystawienia mu rywala. Jeśli więc wybór Tuska był prawie pewny, to racjonalny rząd powinien spróbować trochę uszczknąć z tego sukcesu odwiecznego wroga, sprzedając go jako dowód swojej politycznej dojrzałości. Nie lubimy Tuska, mogliśmy go skutecznie zablokować, ale nawet nie próbowaliśmy, bo w imię polskiej racji stanu wolimy, aby nieuchronne dyskusje o Europie dwóch prędkości toczyły się pod przewodnictwem Polaka, który może i niespecjalnie pomaga, ale na pewno nie zastąpiłby go nikt, komu interes Polski byłby bliższy. Zaciskamy więc zęby i jeśli nie umiemy poudawać poparcia dla niego, to przynajmniej poudawajmy obojętność wobec tego, co i tak dawno przyklepane. Nie ma nic gorszego, niż wykrwawiać się w bitwie nie do wygrania. A ta, jak widać, taka właśnie była.

Nie mam wyobraźni Magdaleny Ogórek i nie umiem sobie zracjonalizować otwierania kolejnego frontu, być może jest to element genialnej strategii genialnego stratega, której genialność docenią dopiero kolejne pokolenia. Muszę się tutaj zgodzić z człowiekiem, którego odejście z polityki ucieszyło mnie najbardziej, bo tym razem celnie ujął ostatni sukces Kaczyńskiego.

JANUSZ PALIKOT: I tak oto stał się Tusk realnym liderem w Europie. I wszystko to byłoby niemożliwe bez Jarosława Kaczyńskiego. Ile może jednak zdziałać człowiek z pasją.

Nie mam pojęcia, po cośmy jedli tę żabę, nie dostrzegam żadnych pozytywów ostatniej (oby) misji Waszczykowskiego. I nawet żałuję, że nie mam telewizora, bo tylko w „Wiadomościach" umieją to sprzedać jako moralne – a może nawet faktyczne – zwycięstwo rządu. Chociaż Wojciech Biedroń z portalu WPolityce.pl też daje radę. Jest sukces. Duży sukces. Tylko niektórzy nań za głupi. ©℗

PODSŁUCHANE

Na złość

Grzegorz, kurde, to co ja mam o tym Saryuszu w końcu mówić?
Co chcesz, Marcin, byle źle.
No, ale właśnie musisz mi dać jakieś wytyczne. Bo niby jak – że on tak nagle się zły zrobił? Cały czas był dobry i nagle jest zły?
Dobra, czekaj, siedziałem nad tym wczoraj z Grupińskim, gdzieś tu mam notatki. O, są. No więc tak: idziemy w ten deseń, że Saryusz nadużył naszego zaufania, bo już od dawna skumał się z pisiorami i tylko symulował, że jest lojalny. Mieliśmy zdrajcę i szpiega we własnych szeregach, bo za bardzo ufamy ludziom, ale na szczęście się wydało.
O, to ja tu mam supersprawę: Guy mi przysłał zdjęcie sprzed dwóch miesięcy, przypadkiem komórką zrobił w Strasburgu. Zobacz.
No, patrzę. I co? Siedzi Saryusz przy stole i je. Chodzi o to, że ośmiorniczki je?
Nie, jakie tam ośmiorniczki. Mule jakieś albo zwykłe kartofle. Nieważne. Ale zobacz, z kim przy tym stole siedzi!
No, facet jakiś. Łysawy. I drugi. Też łysawy.
Kurde, Grzegorz, to Legutko jest. A ten drugi, bokiem, Krasnodębski. Dowód, że już wtedy szczur spiskował!
Dobra, możemy to pokazać. Aha, pamiętaj, żeby zawsze odmieniać oba człony jego nazwiska.
Czyjego?
Saryusza-Wolskiego. On chce, żeby pierwszego nie odmieniać, to mu na złość zrobimy. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie żyjemy już w demokracji, ale autokracji o charakterze wodzowskim i fundamentalistycznym".

PROF. MAGDALENA ŚRODA
w wywiadzie dla portalu Wiadomo.co

eprasa.pl 9637e63beb

fot. Jerzy Gumowski

Sicz again

Znowu rozsierdzę arcyukrainofilów takich jak panowie Mucha, Grzesik i Wildstein–junior, czy też pani Romaszewska, którzy swego czasu flekowali mnie za publicystykę karcącą lizusowski stosunek naszych władz i *„autorytetów”* wobec Kijowa wyraźniej banderowskiego niż demokratycznego. Powodem pisania niniejszego felietonu stały się niezrozumiałe dla wielu rodaków lutowe zawirowania stosunku PiS wobec Ukrainy, których przyczyna tkwi w turbulencjach jankeskiej *„wojny na górze”* między Trumpem a *„służbową”* spuścizną Baracka Husseina O.

Mój twardy stosunek do nienawidzących nas Ukraińców to skaza na mojej religijności (*„jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”*): nie umiem odpuścić ukraińskim zwyrodnialcom, którzy na Wołyniu przybijali polskie dzieci żywcem do stodół, bram i płotów bretnalami (kiedy tych brakowało, wbijali dzieciarnię na sztachety), mężczyzn zakopywali po ramiona i ścinali im głowy kosą, młodzież rozpiłowywali, a weteranów rozdzierali końmi, ciężarnym kobietom rozcinali brzuchy i widłami dobywali płód, starym kobietom pakowali młotkami żelazne bolce lub zwykłe gwoździe w czaszkę — zaszlachtowali tak sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków, pastwiąc się z radością i pomysłowością (Stanisław Srokowski: *„Banderowcy nacinali ofiarom koło łokcia skórę, ściągali ją jak z królika, suszyli i robili rękawiczki”*, 2008), bo samo rozłupanie czaszki siekierą nie dawało bestialcom satysfakcji, ten naród tak ma. Ukraina już ćwierć wieku czci owych sadystów, stawia im pomniki, gloryfikuje ceremonialnie i pedagogicznie, a Polska ćwierć wieku milczy i przymila się niby kopana w tyłek dziwka, udając (gwoli antyrosyjskiej *„racji stanu”*), że nie widzi i nie słyszy tego.

Dla mnie Wołyń był zawsze *„unforgiven”*, byłem tedy i dalej jestem głuchy na forowaną przez rodzimych racjonalistów/pragmatyków proukraińską *„reason of state”*. Ponad dekadę temu grzmiałem w moim **„Salonie 2”** (2006), nie pierwszy raz zresztą: *„Podlizywanie się ukraińskim nacjonalistom to erupcja politycznej głupoty ludzi, którzy rządzą RP”*. I gdyby to byli tylko akolici Salonu, jak Komorowski! Niestety, byli to również *„nasi”*, exemplum premier Jan Olszewski, który wybielał banderowców niegdyś i praktykuje to wciąż; w wywiadzie dla **„Do Rzeczy”** mówił rok temu: *„ — Nie można obciążać winą za tę zbrodnię całej UPA (...) Moim zdaniem strona ukraińska działa pod wpływem pewnych emocji, które można zrozumieć”* (te *„emocje”* owocują na Ukrainie choćby ikonografią religijną ukazującą Stepana Banderę jako świętego w otoczeniu aniołów). Strona polska cały czas (przez ćwierć wieku) konsekwentnie sprzyjała owym ukraińskim *„emocjom”*, na przykład w r. 1998, kiedy Bronisław Geremek, szef UW, zmusił marszałka Sejmu, Macieja Płażyńskiego, by ten nie poddał pod głosowanie uchwały o wołyńskim ludobójstwie, którą przygotował poseł Marian Piłka, lub w 2007, gdy krakowskie księgarnie odmówiły rozpowszechniania zbioru relacji **„Dzieci Kresów”**, bo zawierał on wspomnienia takie jak Wandy Paliszewskiej, która cudem przeżyła hekatombę wołyńską: *„ — Dziewczynka leżała na ziemi, a Ukrainiec przydepnął jej nóżkę i z całej siły szarpał za drugą, by rozedrzeć dziecko. Gdy to zrobił, wrzucił ciało do studni”*.

∞ *Siurpryza ukraińska* ∞

Zamiataniu wołyniobójstwa (© WŁ) pod dywan przez establishment polityczny III RP towarzyszyło aktywne wsparcie elit systemu postkomunistycznego. 137 mandarynów Salonu (Geremek, Blumsztajn, Holland, Lityński, Wielowieyski, Mazowiecki, Boni, Rotfeld, Wujec, Jastrun, Wajda, Onyszkiewicz, Borowski, Bratkowski i kompania) zaprotestowało publicznie (list do Rady Warszawy) przeciw planowanemu pomnikowi ofiar ludobójstwa na Kresach Wschodnich — polskich ofiar zezwierzęcenia UPA/OUN. Celebryckim huncwotom pomagało środowisko akademickie — Marek A. Koprowski: *„Wśród polskich historyków jest wielu naciągaczy, którzy służąc nie tyle prawdzie, ile «poprawności politycznej», głoszą, że polskie podziemie niepodległościowe łączyło z UPA braterstwo broni”* (2016). Takiego prokijowskiego wazeliniarstwa było dużo. I tyleż samo było dyplomatycznych umizgów.

Aż niespodziewanie nastąpiła wolta. Kilka radiowych i prasowych (również w ***„Tygodniku Lisickiego”***) wypowiedzi *„Prezesa”* (styczeń–luty) pokazało krytyczne spojrzenie władz na Kijów (Kaczyński: *„ — Nie możemy ciągle przez lata zgadzać się, by na Ukrainie budowano kult ludzi, którzy wobec Polaków dopuścili się ludobójstwa”*). Inni działacze PiS–u podchwycili ten nowy zaśpiew, co redaktor portalu Kresy.pl, Tomasz Kwaśnicki, wyśmiał jako *„groteskową, pożałowania godną hipokryzję”*, przypomniawszy, iż PiS całe lata *„uprawiało politykę bezmyślnie proukraińską, udając, że stoi na straży pamięci o Kresach, lecz karygodnie poświęcając Wołyń na ołtarzu dobrosąsiedzkich relacji”*, więc jeśli dziś — jak rzekł Kaczyński — stosunki polsko–ukraińskie *„wyglądają niby znak zapytania”*, to nie dlatego, że PiS zmądrzało (i nawet nie dlatego, że tuż przedtem miały miejsce na Ukrainie różne antypolskie prowokacje, m. in. profanacje pomników ofiar wołyńskich), ale dlatego, że w Waszyngtonie coś się akurat zmieniło. Istotnie, zmieniło się, jednak ta zmiana trwała tylko parę dób, ku bolesnemu zaskoczeniu wielu ludzi, także pana Kaczyńskiego i pana Kwaśnickiego.

Polityka Obamy była proukraińska m. in. dlatego, że fundowany przez Sorosa kijowski Majdan wyniósł do władzy sporo ukraińskich figur o żydowskich korzeniach (Poroszenko, Hrojsman, Jaceniuk), zatem żydowskie lobby Waszyngtonu dało administracji rządowej placet na głoszenie, iż *„Ukraina jest całkowicie wolna od antysemityzmu”*. Było cymesowo, Ameryka przyłączyła się do kontrrosyjskich sankcji i żądała od Kremla zwrotu Krymu, Paul Jones (warszawski ambasador USA) żądał od polskich władz, by nie uznawały rzezi wołyńskiej za *„ludobójstwo”*, itp. Lecz tuż po wyborze Trumpa buchnęła na Ukrainie seria antyżydowskich ekscesów (zaatakowanie synagogi w Humaniu, kijowska demonstracja skandująca: *„Precz z Żydami!”*, itp.). Żydowskie lobby nad Potomakiem mocno się wściekło i poprosiło Trumpa, by przestawił wajchę, również nad Wisłą, stąd usłyszeliśmy zmianę pisowskiej tonacji wobec Ukrainy. Któż mógł przewidzieć, że kilka dni później Waszyngtonem wstrząśnie skandal będący efektem wojny Trumpa ze specsłużbami amerykańskimi, ciągle jeszcze obsadzonymi gremialnie przez ludzi poprzedniego prezydenta. Dymisja gen. Flynna (prezydencki doradca, który wcześniej zarzucał CIA wspieranie syryjskich dżihadystów) zmusiła Trumpa do wypowiedzi proukraińskich, przez co część warszawskich sfer politycznych została *„z ręką w nocniku”* (delikatniej możemy to zwać konsternacją/konfuzją). Tak, polityka międzynarodowa jest pląsem równie zdradliwym jak wewnątrzkrajowa, a czasami nawet bardziej. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 9637e63beb

Rentis. Optymistyczna zapowiedź wiosny

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 309 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

GAZELE BIZNESU 2016
17. EDYCJA RANKINGU NAJBARDZIEJ DYNAMICZNYCH MAŁYCH I ŚREDNICH FIRM
Puls Biznesu

eprasa.pl 9637e63beb